

WIEZIEN
Rafał Wałęka **ZEMSTY**



©copyrights to: **Goneta.net**
Wydawnictwo internetowe

Wirtualne Wydawnictwo „Goneta” Aneta Gonera
www.goneta.net
ul. Archiwalna 9 m 45, 02-103 Warszawa

Okładka: Monika Owieśna
corvux@rsb.pl

ISBN: 978-83-62041-14-5

Wydanie I

Warszawa, marzec 2010

Notka o autorze:

Rafał Wałęka — urodził się 8 marca 1988 roku w Szczecinie. Gdy miał rok rodzice przeprowadzili się na Śląsk, do Kuźni Raciborskiej. Tam też ukończył wszystkie kolejne szkoły. Liceum o profilu sportowym kończył już w Raciborzu. Po zdaniu matury wybrał szkołę policealną w Rybniku o profilu fototechnik. Po dwóch semestrach zmienił zdanie i zdał egzamin na Wydział Turystyki i Rekreacji.

Autor sam traktuje swoje pisarstwo jak hobby. Zaczął pisywać jeszcze w gimnazjum. Tak naprawdę wszystko tam zaczęło się dzięki panu Markowi Czogalikowi, jego nauczycielowi języka polskiego, który rozbudził w młodym Rafale pokłady wyobraźni pisarskiej. Pisanie to czysta przyjemność dla niego w umilaniu wolnych chwil.

Młody wiek Autora wcale nie zwiastuje tak już rozwiniętego pisarstwa. Wypowiedzi bohaterów, pilnowanie szczegółów, rozwijanie myśli — wszystko to daje nadzieję na szybki rozwój literacki Autora.

Z sukcesów Rafała Wałęki należy wymienić:

- wiersze w Antologii „Knowacz część 2” — 2009
- tytuł Autora Miesiąca w dziale proza (sierpień) PKPzin (Polskie Kulturalne Podziemie)
- E-book „Kot Leona — Darwin czy...” w Escape Magazine
- także wiele publikacji w Internecie, m.in. w Digart.pl; Knowacz.pl; Opowiadania.pl.

„Więzień zemsty” — to klasyczny kryminał, przypominający trochę zwartą, pełną akcji, pozbawioną emocji fabułę rodem z filmów hollywoodzkich z Humphreym Boghartem w roli głównej.

Twardziel Marek Morwin przez całe życie był facetem od brudnej roboty, wykorzystywany wiele lat przez tzw. aparat działaczy komunistycznych, gdzie szef tytułował Marka „towarzyszu”. Marek

zabijał bez pytań, bez mrugnięcia okiem. W odpowiednim momencie historii Polski objęła go fala odzyskania czwartej demokratycznej niepodległości wraz z Solidarnością. Był wtedy zamknięty w więzieniu, miał dużo czasu na myślenie i zrozumiał całe morze zła, w jakim brał udział.

Fabuła książki oparta jest o tzw. Puskę Pandory. Co to oznaczało w starożytności każdy wie. W „Więźniu zemsty” ma ona podobne znaczenie, ale przybrała bardziej nowoczesne kształty.

Marek Morwin z pewnych powodów ukrył Puskę Pandory. Teraz wiele osób chce ją odnaleźć. Chcą ją zdobyć wszyscy najmocniej zaangażowani, czyli ci źli, ale też i ci, którzy chcą na tym coś zarobić oraz ci, co chcą się mścić za krzywdy. W tym wszystkim tkwi Marek Morwin i Patryk Kowal. Obaj chcą zemsty, obaj chcą zadośćuczynienia, obaj mają ze sobą prywatne porachunki. Odgrywają oni dużą rolę w całym tym spisku, w który zamieszany jest nawet sam prezydent Polski.

Ktoś w tej książce ginie, ktoś przeżywa, ktoś się nawraca, ktoś cierpi. Jak to się skończy w przypadku Marka Morwina, jego rodziny i innych bohaterów? Przekonaj się. Wszystko znajduje się poniżej...

SPIS TREŚCI

Tytuł	nr strony
Notka o Autorze	3
„Więzień zemsty”	3
Odcinek 1.	7
Odcinek 2.	12
Odcinek 3.	16
Odcinek 4.	18
Odcinek 5.	21
Odcinek 6.	25
Odcinek 7.	27
Odcinek 8.	33
Odcinek 9.	37
Odcinek 10.	41
Odcinek 11.	45
Odcinek 12.	48
Odcinek 13.	51
Odcinek 14.	54
Odcinek 15.	57
Odcinek 16.	62
Odcinek 17.	67
Odcinek 18.	69
Odcinek 19.	74
Odcinek 20.	78
Odcinek 21.	82
Odcinek 22.	88
Odcinek 23.	96

Tytuł	nr strony
Odcinek 24.	102
Odcinek 25.	105
Odcinek 26.	109
Odcinek 27.	113
Odcinek 28.	117
Odcinek 29.	119
Odcinek 30.	124
Odcinek 31.	132
Odcinek 32.	137
Odcinek 33.	141
Odcinek 34.	151
Odcinek 35.	154
Odcinek 36.	156
Odcinek 37.	164
Odcinek 38.	178
Odcinek 39.	191
Odcinek 40.	206
Odcinek 41.	215

Odcinek 1.

MAREK MORWIN

20 marca 2006 — godzina 14:15 — ZAKŁAD KARNY W RACIBORZU

Więzienie w Raciborzu nie było zwykłą placówką dla zwyrodnialców. Dzięki dotacjom z Unii Europejskiej standard tego miejsca może nie dorównywał wielogwiazdkowym hotelom, ale cóż... Niektórzy i tak twierdzili nawet, że to jedno z niewielu miejsc, gdzie chce się trafić za karę, a o uciezkach w ogóle nie może być mowy. Opinia publiczna próbowała wyrazić swój sprzeciw na różnorakie sposoby. Od kilku kobiet przykutych kajdankami do bramy, po większe manifestacje. Wzburzony tłum nie potrafił przełknąć tego, że więźniowie nie są karani rygorystycznie, tylko trafiają na kilkuletnie wakacje do „placówki wychowawczo-społecznej o wysokim standardzie”.

Tak właśnie miał w zwyczaju nazywać ów przybytek naczelnik. Jego osoba pełniąca tę funkcję także różniła się od wszystkich podobnie jak on zatrudnionych osób w kraju. Wyróżniał się miłą aparycją, otwartością i urokiem osobistym. W zakładach karnych w Polsce przeważnie dominują apodyktyczni, zamknięci w sobie furiaci, którzy część zachowań, niestety, przejmują od swoich podopiecznych. Michał Pasikonik — blisko trzydziestoletni urzędnik, skończył Turystykę i Rekreację. Przeliczył się jednak, myśląc, że złapał Pana Boga za nogi, kończąc ten kierunek. Człowiek ten, który teraz pełnił funkcję naczelnika w raciborskim więzieniu, był typem karierowicza. Uważał, że stać go na coś więcej niż pilnowanie grupy psychopatów i kryminalistów. Marzyła mu się kariera polityczna.

Michał Pasikonik był synem znanego polityka, Mariana Pasikonika. Po ojcu przejął umiejętność łagodzenia konfliktów z mediami. Opanowanie tzw. *public relations* było u niego wręcz wzorowe, i to zapewne tylko dzięki niemu raciborskie więzienie stało się jedną z lepszych placówek tego typu w kraju. Mimo to tamtejsi „pensjonariusze” niezbyt go szanowali. Dla nich był kolejnym wykształciuchem, który na studiach myślał, że podbije świat, a został boleśnie sprowadzony na ziemię przez polski rynek pracy. Nie mówiło się tego oficjalnie, ale nie od dziś wiadomo, że bez znajomości nie da się przeżyć. Pasikonik został więc naczelnikiem najnowocześniejszego więzienia w Polsce. Bramy, cele, zamki — większość sterowana elektronicznie. Oszczędzało to pracy strażnikom, których i tak było już niewielu. Zawód ten bowiem nie cieszy się zbytnim powodzeniem. Traktowany jest jako szkodliwy dla zdrowia, niebezpieczny i mało opłacalny. Wysokie, sięgające drugiego piętra mury uniemożliwiłyby ucieczkę nawet najlepszym alpinistom czy skoczkom. Kilku śmiazków próbowało zbiec. Jednak po nieudanych próbach zaprzestano tych eskapad. Monitoring wysokiej jakości nie pozwalał na samowolkę skazanym. Pozostawali pod ciągłą obserwacją i kontrolą. Zaczęto ich także wychowywać, uczyć kultury i zachowania. Duża biblioteka zapewniała rozwój intelektualny. Było to więzienie nowej generacji. Ludzie w końcu przestali protestować pod murami, gdyż nie przynosiło to efektu. Poza tym opinia publiczna podzieliła się. Coraz więcej osób zaczęło wręcz wspierać i chwalić raciborskie więzienie, widząc jak w końcu zaczyna działać w Polsce proces zwany resocjalizacją. Wśród więźniów to miejsce było nazywane „Perłą”. Skazani w innych ośrodkach czasami pracowali społecznie, by zasłużyć na przeniesienie tutaj.

Wszędzie jednak znajdują się oporni i uparci ludzie, którzy nie chcą się zmienić, tylko twardo tkwią przy swoich złych i zbrodniczych

skłonnościach. Takim właśnie człowiekiem był Marek Morwin... Zbliżał się do czterdziestki. Spędził w więzieniu niemal całe lata 90. Shazę i disco polo znał tylko z radia. Był typem samotnika, który roztaczał wokół siebie niewidzialną barierę — zapach samotności. Stanowiła ona zaporę, jakiej nie chciał przekroczyć żaden ze współwięźniów. Znalazło się niegdyś kilku śmiazków, którzy polszczyznę chcieli mu zastąpić grypserą. Zostali jednak boleśnie uświadomieni, gdy próbował ich przekonać, że nie ma zamiaru doksztalcać się lingwistycznie. Posłużyli swoim własnym ciałem za przykład dla innych, którym przyjdzie do głowy niepokoić spokojnie odsiadującego wyrok Morwina.

W więzieniu często przechadzał się wokół specjalnie wydzielonego miejsca, zwanego potocznie spacerniakiem. Jego szerokie, umięśnione ramiona, wysoki wzrost i zimny wyraz twarzy budziły respekt. Taka kombinacja zapewniała spokój i nietykalność. Łysa głowa przywodziła na myśl wściekłego skina, wracającego po przegranym meczu swojej ukochanej drużyny. Kogoś w stylu: „bez kija nie podchodź, bo on też może mieć kij”. Miał opinię zamkniętego w sobie mordercy, który tylko czeka, by pod pretekstem bójki wrócić do dawnego hobby... Każdy wolał omijać go szerokim łukiem. Jednak nikt tego głośno nie mówił, w obawie że wymknie się komuś jedno słowo za dużo. Kilkundniowy, jak na czterdziestolatka już mocno szpakowały, zarost zawsze widniał na jego twarzy. Dodawało mu to powagi. Podobnie jak blizny na twarzy uświadamiały, że ten człowiek wiele przeżył, i jeszcze więcej przetrwał. Tego jednak dnia coś pchnęło dwóch śmiazków do ataku na postawnego więźnia...

Było to dwóch nieco niższych niż Morwin i podobnych do siebie mężczyzn — bracia Broniewscy: Krzysztof „Krzyż” i Olek „Kołacz”. Obaj ogoleni na zero mieli identyczne tatuaże na bokach głowy. Wyglądali niemal jak bliźniacy. Rozgorzała bójka. Młodzi bracia wyprowadzili Marka

z równowagi. Zazwyczaj pełen spokoju, teraz musiał się bronić. W trakcie walki poczuł, że brakowało mu tej adrenaliny. Walka dla Morwina działała na niego jak narkotyk, przed którym na próżno próbował uciec od już tak długiego czasu.

Wokół trzech walczących natychmiast zebrał się ciasny krąg więźniów.

— Leją się! Leją się! — krzyczał spragniony krwi i rozrywki tłum kryminalistów.

Krzysztof Broniewski złapał z tyłu szyję Morwina i zaczął go dusić. Z przodu zaś ustawił się drugi z braci. Jednym ruchem ręki wyjął z kieszeni kawałek blachy, który miał zastąpić nóż. Pomimo tak trudnej sytuacji na naznaczonej bliznami twarzy Morwina nie drgnął żaden mięsień.

„Nie z takich sytuacji wychodziłem” — powiedział sobie w duchu Marek, robiąc krok do tyłu.

Wyczekiwał na ruch napastników. Olek Broniewski zbliżył się z ostrym narzędziem na niebezpieczną odległość pchnięcia. Jednak żaden z ciosów nie dotarł w miejsce docelowe. Pomimo słusznej postury Morwin był bardzo zwinny. W końcu postanowił skończyć te igraszki. Złapał duszącego go mężczyznę za barki, po czym przerzucił jego ciało nad głową, robiąc skłon ku ziemi. Bezwładne ciało Krzysztofa runęło na brata szykującego się do kolejnego ataku. W ten sposób nadziało się na trzymany przez niego naostrzony kawałek blachy. Morwin tylko splunął, wyrażając w ten sposób pogardę i znudzenie dla atakujących go więźniów.. Podszedł do Olka Broniewskiego, zrzucił z niego krwawiącego brata i podniósł za szyję do góry. Olek wyraźnie się dusił.

— Puść... puść... — dyszał charczącym głosem.

Marek nie reagował, tylko mocniej ścisnął go za gardło i zbliżył swą twarz do kryminalnej facjaty napastnika.

— Zapytam tylko raz, a ty tylko raz odpowiesz. Ktoś cię nasłał? Czy jesteś aż tak głupi? — Niski metaliczny głos Morwina budził szacunek i strach.

— Nie mogę... on... mnie zabije... — charczał Olek, ale to tylko sprawiło, że poczuł jeszcze mocniejszy uścisk na swojej szyi.

Po chwili wskazał jednak wzrokiem na strażnika więziennego, który z górnego stanowiska przyglądał się beczynnemu całemu zajściu.

Puścił więc Broniewskiego i obrzucił strażnika badawczym spojrzeniem.

„Nie znam go. Kto to? Nowy?” — zastanawiał się Morwin i prawie w tej samej chwili padł na ziemię ogłuszony przez innych klawiszy, którzy dopiero przybiegli przerwać bójkę przekonani, że przybyli na czas...

Odcinek 2.

MAREK MORWIN

**13 maja 2004 — godzina 22:00 — DOM AGATY PATYCKIEJ,
Leszczyny (woj. śląskie)**

Marek ostrożnie zbliżył się do jednopiętrowego, stojącego tuż przy lesie, małego domu o płaskim dachu. Osoba tam mieszkająca musiała lubić ciszę i spokój, gdyż w odległości kilkudziesięciu metrów w sąsiedztwie nie było żadnego budynku, o żywej duszy nie wspominając. Jedynym najbliższym domostwem była psia buda z jednym mieszkańcem. Był to owczarek niemiecki, często wyjący do księżyca w pełni. Morwin, ubrany na czarno od stóp do głów, dokładnie obejrzał dom, planując wszystko. Według opracowanego wcześniej pomysłu bez wahania zastrzelił strażnika domostwa. Nie chciał, by ten swym szczekaniem zaalarmował właściciela. Psina tylko cicho pisnęła, konając przy budzie, podczas gdy skradający się Marek zwinnie wspiął się na balkon. Następnie powoli zajrzał przez okno do słabo oświetlonego mieszkania. W jego wnętrzu siedziała ładna, drobna blondynka. Popijała kawę z trzymanego oburącz kubka. Nie było to jednak delectowanie się napojem dla relaksu. Wyglądała na zdenerwowaną, jakby nieobecną i oderwaną od rzeczywistości.

Morwin próbował się jeszcze bardziej wychylić, by lepiej wybadać i ocenić sytuację. Poślizgnął się jednak na jakiejś zabawce dla psa. Chcąc złapać równowagę, starał się czegoś uchwycić. Pechowo jego ręka sięgnęła jakiejś doniczki. Przewrócił się, mocno przy tym hałasując.

Wystraszona hałasem blondynka poderwała się do ucieczki, upuszczając kubek, który hałaśliwie się roztrzaskał.

Marek już wiedział, że z cichego załatwienia sprawy wyjdą nici. Usłyszano go. Porzucił więc skradanie się i przeszedł do planu B. Łokciem wybił szybę i starał się otworzyć balkon, podczas gdy śmiertelnie wystraszona kobieta zamknęła się w sypialni, barykadując drzwi łóżkiem. Wyciągnęła telefon komórkowy, szukając wzrokiem numeru do swojego chłopaka... Był pierwszą osobą, która przyszła jej na myśl. Ostatnio często wzywała policję, ponieważ cierpiała na manię prześladowczą. Czuła więc, że nie przyjęliby jej zgłoszenia lub po prostu zignorowali.

— Patryk, Patryk... dlaczego cię tu nie ma? — mówiła głośno do nieobecnego chłopaka. Z ulgą udało się jej wybrać numer do niego i usłyszała znajomy dzwonek w szufladzie. Wciąż z telefonem przy uchu, podeszła do biurka, gdzie leżał migający telefon jej chłopaka.

— Naprawdę mnie zostawiłeś... — wymamrotała głosem, który zdradzał żal i rezygnację.

Upuściła komórkę i jakby otrząsając się, dopiero teraz zauważyła, że napastnik jest już w środku. Łzy spłynęły jej po policzkach, a surowa i bezlitosna lufa pistoletu kaliber 9 mm z tłumikiem została wymierzona w jej głowę. To mogło oznaczać tylko egzekucję.

— Nie zboli. Nie płacz... — powiedział Marek do kobiety, naciskając spust.

— Boli. Dlatego płaczę... — odparła tuż przed wystrzałem.

Ofiara ze świeżą dziurą w głowie padła martwa bezwładnie na łóżko. Z rany zaczęła się lać krew.

Morwin przez chwilę patrzył na denatkę. Leżała nieruchomo, wpatrując się bezbarwnym wzrokiem w pustkę na suficie. Morderca jednak przypomniał sobie, po co tu przybył. Zabrał się pospiesznie do przeszukiwania mieszkania, aż w końcu to znalazł. Wsiadł do auta ze

swoją zdobyczą. Spojrzał raz jeszcze na zdobyte pudełko, po czym odjechał z piskiem opon...

Nazajutrz sam zgłosił się na policję. Pokazał broń i przyznał się do winy, mówiąc: jak, gdzie i kiedy. Zaskoczony bezprecedensową i nielogiczną sytuacją detektyw Dypek zatrzymał Morwina i zgodnie z jego życzeniem obaj udali się na miejsce zbrodni. Morderca dopiero tu ze szczegółami opowiedział, w jaki sposób pozbawił życia Agatę Patycką. Zabójstwo na odludziu bez świadków i nagłe przyznanie się do winy było niczym w porównaniu z tym, co zdradził Morwin po oględzinach na miejscu zbrodni. Twierdził, że zabójstwa dokonał na zlecenie Zenona Burczyka, posła KPR-u, obecnego kandydata na prezydenta w zbliżających się wyborach. Początkowo rewelacji Morwina nie traktowano poważnie. Jednak gdy zeznał to pod przysięgą, przedstawiając też nagraną rozmowę z tym właśnie posłem — ludzie zmienili zdanie. Wezwano nawet psychologa, który nie stwierdził niepoczytalności. Wariograf także nie wskazywał na kłamstwo.

W świetle takich dowodów Sąd Rejonowy w Warszawie skazał Marka Morwina za zabójstwo Agaty Patyckiej na 30 lat kary pozbawienia wolności. Nie dostał dożywocia, gdyż przyznał się do winy, a nie było nigdzie świadków morderstwa. Miejscem odsiadki miał być zakład karny w Raciborzu, jedno z nowocześniejszych więzień w Polsce.

Natomiast pięćdziesięciodwuletni poseł Zenon Burczyk został pozbawiony immunitetu w trybie natychmiastowym oraz miał odsiedzieć 40 lat kary pozbawienia wolności w zakładzie karnym we Wronkach. Wydarzenia te wstrząsnęły opinią publiczną w przeddzień wyborów prezydenckich w Polsce. Nie było czasu na szukanie nowego kandydata. Przepisy także nie przewidywały takiej sytuacji. Polacy wybrali więc prezydenta, a właściwie walkower wybrał go za nich, bo zwyciężył Edward Krzywda z partii Wolnych i Sprawiedliwych. Nowy prezydent obiecał

bezwzględną walkę z przestępczością, poczynając od zwiększenia kar dla kryminalistów, czym na wstępie zyskał wielu zwolenników. Optował za przywróceniem kary śmierci, a szybkie skazanie Morwina i Burczyka miało być pokazem nowej, mocnej, sprawiedliwej Polski, która karze szybko i skutecznie...

Odcinek 3.

AGATA PATYCKA

7 maja 2004 — godzina 19:00 — DOM AGATY PATYCKIEJ,
Leszczyny

Między mężczyzną a kobietą toczyła się kłótnia...

— Nie wiesz? Tyle się zbierałem, a ty teraz twierdzisz, że musisz pomyśleć?! — pytał podniesionym głosem mężczyzna.

— Patryk... nie mogę! Jeszcze nie teraz... — tłumaczyła się Agata.

— Ale dlaczego, do jasnej cholery?! Oświadczam ci się po trzech latach związku, ty mnie kochasz, ja ciebie Kocham. O co biega?! — pytał Patryk, chodząc nerwowo po pokoju i najwyraźniej nie mogąc ogarnąć całej sytuacji

— Chodzi o to... mówiłam ci, że jestem w ciąży...

— No i? Przecież nie tylko z powodu dziecka chcę, byś była moją żoną... O co bie...

— Nie jestem pewna, czy to twoje dziecko... — westchnęła bardziej niż powiedziała Agata, najwyraźniej zrzucając pewien ciężar z serca.

Wyglądało to jednak tak, jakby ten ciężar spadł wprost na nogę Patryka.

— Co?! — zapytał zdębiały i zszokowany Patryk.

— To było przelotne. Dwa miesiące temu, gdy się pokłóciliśmy. Na imprezie redakcyjnej Michał... oboje wypiliśmy za dużo i... on o niczym nie wie... — tłumaczyła się Agata, łudząc się, że może coś zmienić.

— Z tym Michałem?! Z tym Szczochem?! Z tą redaktorską menda?!
Wiem teraz, w jaki sposób dostałaś pracę w redakcji!!! — wykrzyczał
wściekle Patryk, który najwyraźniej stracił nad sobą kontrolę.

Słowa te wyrzucił z siebie z dawno nieodczuwanym gniewem. Agata oberwała nimi prosto w serce. Stała naprzeciw niego. Był na wyciągnięcie ręki. Wyraz twarzy kobiety zmienił się, a z oczu pociekły jej łzy. Uderzyła Patryka w policzek otwartą dłonią. Ten milczał, patrząc jej w oczy. Szukał w nich usprawiedliwienia. Na próżno.

Przez chwilę obrzucali się w ciszy takimi wrogimi i pełnymi wzajemnego niezrozumienia spojrzeniami.

Jedno oczekiwało na ruch drugiego. Patryk obrócił się i pospiesznie wyszedł, wściekle trzaskając za sobą drzwiami. Agata rzuciła w nie tym, co miała pod ręką. Wazon roztrzaskał się, a Agata zrezygnowana siadła na ziemi.

— Kocham cię, idioto... — Siadając, powiedziała pod nosem głosem pełnym gorczy.

Spojrzała z nostalgią na pierścionek, który przed kilkoma minutami dostała od chłopaka. Wiedziała, że myślenie o tym, dlaczego przespała się z Michałem, skoro kocha innego, i czy dziecko jest Patryka — doprowadzi ją tylko do depresji, a więc jest bezcelowe.

— Wróci. Idiotka ze mnie. On, on... musi wrócić — pocieszała się.

Oczekiwany telefon jednak milczał jak zaklęty. Nazajutrz Agata udała się do pobliskiego szpitala wojewódzkiego. Po kilku dniach wróciła tam i odebrała wyniki badań. Następnie dotarła na pocztę...

Odcinek 4.

EDWARD KRZYWDA

11 maja 2004 — godzina 21:20 — WILLA EDWARDA KRZYWDY,
Rybnik (woj. śląskie)

Pokój był pogrążony w półmroku. Świece, palące się leniwie na stole, delikatnie podkreślały romantyczny nastrój. Wytrawne wino, a tuż obok wyszukane potrawy. Wszystko to napełniało magią romantyczności pomieszczenie, w którym kolację spożywały dwie osoby. Taka kolacja wymagała wykwinnych gości.

— ...I wtedy zobaczyłem ciebie w tym klubie. Poczułem, że musi nas łączyć coś specjalnego... magicznego...

— Ha... ha... Jesteś czarujący Edwardzie, aż dziw bierze, że jesteś wciąż kawalerem... — powiedziała rudowłosa, ponętna dziewczyna w czerwonej sukni, rzucając Edwardowi delikatne, aczkolwiek znaczące spojrzenie.

— Mój czar jest niczym w porównaniu z magią twojej urody — odpowiedział siedzący naprzeciw mężczyzna, delikatnie całując kobietę w dłoń.

Ta uśmiechnęła się, chwytając kielich i upiła łyk czerwonego wina.

— I do tego romantyk z ciebie straszny... Miło, że mnie tu zaprosiłeś... — dodała.

— Może być jeszcze milej... — powiedział mężczyzna, który znacznie zbliżył swoje krzesło do krzesła kobiety.

Zaczął całowanie od dłoni, ale posuwał się coraz wyżej. Drugą ręką złapał kobietę w okolicach uda. Gdy ta zorientowała się, co się dzieje, natychmiast odepchnęła Edwarda.

— Jestem dziewczyną do towarzystwa, a nie dziwką! — wykrzyczała rudowłosa kobieta.

— A tam... wszystkie jesteście takie same. No nie rób się zakonnica... Chodź do mnie — mówił napastliwy mężczyzna, zbliżając się powoli z wyciągniętymi rękami do kobiety.

— Spróbuj mi coś zrobić, a poskarżę się szefowi... Obsmarują cię totalnie... A wiesz, co to znaczy... — zagroziła rudowłosa kobieta, wyciągając telefon.

— Grozisz mi suko? — zapytał mężczyzna.

Wyglądał, jakby lekko się opamiętał.

— Odwieź mnie natychmiast do klubu, a nic nie powiem — przyrzekła przyparta do ściany kobieta.

W tym momencie wszedł do pokoju barczysty mężczyzna w garniturze, najwyraźniej ochroniarz.

— Szysko w początku Szefie? Słyszał żem ja krzyki jakie... — zapytał.

— Tak, idioto... W porządku... Szykuj limuzynę... — rozkazał mężczyźnie, po czym przeprosił kobietę i po chwili byli już w samochodzie.

Odetchnęła z ulgą.

Edward Krzywda patrzył na nią ukradkiem raz po raz. Nie był przyzwyczajony do porażek.

„Jak śmiała mnie odrzucić? Dziwka...” — zadręczał się Edward, opróżniając kolejną butelkę szampana.

Gdy byli blisko klubu, dziewczyna chciała wysiąść. Jednak na nic zdało się szarpanie klamki od drzwi.

— Bawimy się dalej, laluniu... — powiedział Krzywda do rudowłosej dziewczyny.

— Otwieraj to! — krzyknęła i z wściekłością rzuciła się na niego.

Ten jednym płynnym ruchem uderzył ją butelką dopiero co opróżnionego szampana. Skutecznie ją znokautował. Dał kierowcy i swoim dwóm ochroniarzom pewne instrukcje. Rudowłosa kobieta ocknęła się sama w aucie pół godziny później z okropnym bólem głowy. Obudził ją szum wody i odgłosy wymiotującego niedaleko mężczyzny. Dźwięki płynącej wody były wyraźne. Rzeka musiała być niedaleko...

Odcinek 5.

PATRYK KOWAL

22 marca 2006 — GODZINA 19:04 — ZAKŁAD KARNY W RACIBORZU

Wobec nieudolnej próby ataku braci Broniewskich na Morwina Patryk zdał sobie sprawę, że tego śmiecia musi wyrzucić jednak sam. Nie może być kolejnej pomyłki. Plan musi być dopracowany w każdym calu i... co najważniejsze — skuteczny.

Nie wykonają go bezmózdzy kryminaliści na zlecenie. Musi być to człowiek z dostępem do komunikacji, który wszędzie może wejść...

Patryk zajął się więc rozdawaniem poczty w więzieniu, wiedząc, że Morwin może dostać kolejny list od Janka Kopacza. Dostawał pocztę tylko od niego. Marka nikt nie odwiedzał, ale akurat w tym więzieniu nie był to przypadek odosobniony. Wykonując swoje nowe codzienne obowiązki, rozdał wszystkie listy skazanym, a pocztę Morwina zostawił na koniec. Postanowił sprawdzić, co takiego pisze Jan Kopacz. Usiadł więc w kantynie strażników i gdy tylko został sam, otworzył kopertę i zabrał się do czytania.

Witam przyjacielu. Moja kobieta wciąż samotna, ale trzyma się. Ja staram się jej pomóc, jak tylko mogę. Na szczęście bieda nas nie dotyka dzięki spadkowi mojego ojca. Twoje skarby z dzieciństwa są bezpieczne i ukryte. Pilnuję ich jak oka w głowie. Może kiedyś pochwalimy się nimi przed światem? Na razie trzymam się twoich życiowych rad...

Trzymaj się brachu, niedługo znów napiszę

Janek Kopacz

„Co za Janek Kopacz? Co to za przyjaciel? Wspólnik? Próbowałem go znaleźć, ale nic... Kompletnie nic...” — takie myśli zaprzętały głowę Patryka, gdy zaklejał kopertę na nowo.

Udał się na spotkanie z Morwinem. Przed wejściem do odizolowanej celi nr 66 stało dwóch uzbrojonych strażników.

— Poczta. Już sprawdzona — powiedział, machając strażnikom kopertą przed oczami.

— Pamiętamy, że tu broni nie wnosimy? Nie musimy cię macać, co? — zapytał strażnik, a Patryk skinął głową.

Strażnik sprawdził kopertę i uśmiechnął się szyderczo.

— Te... Romek patrz... ten psychol znów ma list od Janka Kopacza. Chyba się pedałki kochają... — zażartował jeden ze strażników.

— Eee tam... ja bym te cioty wykastrował. Ty, Patryk uważaj, by ci pałki nie buchnął, bo on tam dosyć samotny jest bez chłopaka... Ha... ha... — zawtórował drugi strażnik, puszczając porozumiewawczo oko, gdy oddawał kopertę.

Następnie wpuścił go do środka, zatrzasnąwszy drzwi celi.

Patryk zbliżył się do krat i wolno podał Morwinowi list. Ten spojrzał na kopertę i powiedział:

— No... widzę, że znów czytaliście list od Janka... Tajemnicę korespondencji macie w dupie, klawiszowcy zasrane... Nie macie własnego życia, to walicie gruchę przy cudzych listach, co?

Patryk nie odpowiedział, tylko patrzył na zabójcę swojej dziewczyny.

Morwin, bluzgając wciąż pod nosem, czytał list. Potem szybko dobył długopis i napisał na kartce: „WAL SIĘ KLAWISZU!”

— Masz tu, listonoszku, odpowiedź. I tak pewnie przeczytasz. Mam to w dupie... — powiedział więzień, podając kopertę przez kraty.

Patryk jednak, zamiast zabrać list, złapał Morwina za rękę i przyciągnął do krat. Więzień uderzył twarzą o kraty, co chwilowo go zamroczyło. Patryk wykorzystał okazję i wyciągając drugą rękę Marka, obie skuł mu kajdankami tak, że ten nie mógł się ruszyć. Skuty przy kratkach więzień stał teraz twarzą w twarz z zadowolonym z siebie strażnikiem, który wyjął mały nożyk i przyłożył go do gardła Morwinowi. O dziwo! Więzień nie krzyczał, nie wołał pomocy, nie błagał o litość. Patrzył tylko w oczy Patrykowi, próbując zrozumieć sytuację.

— Długo czekałem na tę chwilę... Zaraz cię wypatroszę, jak wieprza... — powiedział Patryk, zaciskając z wściekłością zęby.

— I co powiesz strażnikom? Że zaciałem się przy goleniu? — odparł Morwin spokojnym i pełnym pogardy tonem.

— Mam to w dupie... Ważne byś zdechł... To za Agatę... — powiedział strażnik, ale zawahał się na chwilę, gdy usłyszał skruszonego więźnia.

— Żałuję — wykrztusił z nożem trzymanym na gardle.

— Co? — zapytał zaskoczony Patryk.

Wyznanie jednak wydało mu się szczere.

— Agata Patycka... Pamiętam... Myślisz, że zadźganie mnie wszystko załatwi? Wydaje ci się, że sam dla sportu ją zabiłem?

— Zamknij się... — warknął wrogo Patryk.

— Możesz pozbawić mnie życia... Oczywiście. Nic trudnego... Tylko pomyśl najpierw, czy wolisz ukarać mnie, czy ludzi, którzy są na wolności... Ci, co zlecili to zabójstwo...

Patryk wiedział, że może wszystko skończyć w tej chwili. Nie będzie musiał słuchać tych pustych usprawiedliwień. Nie da sobie namieszać w głowie.

— Kogo lepiej ukarać? Psa spuszczonego ze smyczy czy jego złego pana? Może obu? Kolejność powinna być jednak odpowiednia, czyż nie? Oni nie zaprowadzą cię do mnie, ale ja mogę zaprowadzić cię do nich...— mówił Morwin, oczekując niepewnie na ruch Patryka, który wciąż trzymał mu nóż na gardle.

Odcinek 6.

AGATA PATYCKA

11 maja 2004 — godzina 21:45, Rybnik

Agata Patycka nie należała do osób lubiących siedzieć beczynnie w jednym miejscu. Zawsze jej lekarstwem na smutki była praca. Nie inaczej było tym razem. Nie chciała już myśleć tylko o tym, kiedy odezwie się Patryk i czy w ogóle się odezwie. Czy wróci, gdy odbierze list. Postanowiła czymś się zająć. Agata miała 24 lata i była studentką Fotografii Artystycznej na Uniwersytecie w Rybniku. Pracowała też w gazecie „No Kpiny” jako fotoreporterka. Postanowiła wykonać jedno z zadań zaliczeniowych z uniwersytetu, by się odprężyć. Była już dosyć późna pora, więc akurat pora na zdjęcia nocne do pracy „Zakątki zapomniane nocą”.

Zabrała aparaty i pojechała nad rzekę, gdzie niedaleko mostu znajdował się stary zamek. Idealny do fotografowania nocą. Po zrobieniu kilkunastu ciekawych zdjęć usłyszała raz po raz krzyki jakiejś kobiety. Była reporterką, więc nie mogła się powstrzymać, żeby nie zaspokoić swojej ciekawości.

Skradała się niczym wytrawny myśliwy, korzystając z osłony nocy. W końcu dotarła na odpowiednią odległość, by zrobić zdjęcia. Była zszokowana tym, co zobaczyła.

Rudowłosa kobieta w podartej, czerwonej sukni wybiegła z czarnej, wykwintnej limuzyny. Nie uciekła jednak daleko. Momentalnie dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn ruszyło za nią w pościg, który nie trwał długo. Dogonili ją i powalili na ziemię. Gdy ją tak trzymali, nie chcąc

pozwoić na kolejną próbę ucieczki, chwiejnym krokiem nadszedł Edward Krzywda. Ocierając usta z wymiocin, kłął pod nosem. Agata rozpoznała go natychmiast. To poseł partii Wolnych i Sprawiedliwych. Kandydat na prezydenta Polski w najbliższych wyborach. Nigdy mu nie ufała i nie miała zamiaru na niego głosować, ale to przeszło jej najśmielsze podejrzenia. Po chwilowym szoku, dobywając aparat, podeszła bliżej i z ukrycia zaczęła robić zdjęcia. Mimo nocnych ciemności dzięki odpowiedniemu sprzętowi wszystko było dokładnie widać. Wszystkie twarze widoczne były jak na dłoni.

„To dopiero będzie materiał” — myślała Agata podniecona tym, że bawi się w paparazzi.

Dopiero teraz jednak spostrzegła, że rudowłosa kobieta broni się przed gwałtem. Edward był pijany, spocony i wściekły, ponieważ alkohol, owszem, podziałał na niego... hamując sprawność seksualną. To z kolei wzbudziło uśmiech politowania u napadniętej ofiary. Ochroniarze odwróceniem plecami, na rozkaz szefa zachowywali jednak kamienne twarze. Przez respekt i strach? A może też coś takiego przeżyli?

Choć Edward Krzywda robił co mógł, by zgwałcić tę kobietę, to nie potrafił.

— Z biologią nie wygrasz — szepnął jeden z ochroniarzy do kolegi.

— Cicho, bo usłyszy. Nie płaci nam za durne komentarze... — odparł drugi ochroniarz.

Rudowłosa kobieta także spostrzegła ciężkie próby gwałticiela. Zamiast krzyczeć, zaczęła się śmiać i szydzić z niego:

— I co, nie stajesz ci mięczaku? Ha, ha, znam takich jak ty... Damski bokser... — kpiła, powstrzymując przy tym łzy, nie chcąc okazać słabości.

Ochroniarze powstrzymywali uśmiech. Gdy Edward przerwał, chcieli podnieść ofiarę. Ten jednak wściekły odepchnął ich od niej i wrócił do próby gwałtu. Kobieta nie miała siły uciekać. Edward Krzywda jeszcze raz

spróbował ataku seksualnego. Gdy ponownie mu się nie powiodło, ręce zjechały mu na jej szyję. Powoli zaczęły się zaciskać. Coraz mocniej i mocniej, aż zaczął kobietę dusić. Nim ochroniarze to spostrzegli, było już po wszystkim. Życie opuściło ciało rudowłosej kobiety. Była zimna. Była blada. Była martwa. Agata, robiąc zdjęcia finału zajścia, zmieniła aparat. Potrzebowała szerokokątnego obiektywu.

— Tak, teraz jeszcze lepiej widać — pomyślała, zaglądając przez wizjer.

Zdała sobie sprawę, że kobieta nie żyje. Została mimowolnym świadkiem morderstwa.

— Nie zrobiłam nic, nie pomogłam jej... — wyrzucała sobie w duchu. — Nie czas teraz na poczucie winy. Zrób zdjęcie, ucieknij, ujawnij to... Nic więcej dla niej nie zrobisz — usprawiedliwiała się Agata.

Wycelowwała więc obiektywem, chcąc zrobić kolejne zdjęcie.

Nie wyłączyła jednak lampy błyskowej w aparacie. Ochroniarze oraz Krzywda zamarli z przerażenia, widząc błysk flesza.

— To tam szefie! — Wskazał palcem jeden z ochroniarzy.

— Nie stójcie tak buraki! Za nią! — rozkazał jeszcze bardziej rozwścieczony Krzywda.

Agata, spostrzegłszy dwóch mężczyzn pędzących w jej kierunku, rzuciła się do ucieczki...

Odcinek 7.

MAREK MORWIN

13 lutego 1986 — komunistyczna Polska — godzina 23:20

Mężczyzna w wieku około 20 lat szedł pośpiesznie zaśnieżonymi, pustymi ulicami, rozglądając się nerwowo dookoła. Ścisnął torbę, przytulając ją do piersi. Musiała być ważna. Odwracał się raz po raz, jakby się bał, że ktoś go śledzi. Zobaczył nadjeżdżający patrol Milicji Obywatelskiej. Schował się szybko przed nimi za pobliskim zaułkiem. Przywarł do ściany, czekając, aż odjadą. Gdy tak się stało, odetchnął z ulgą... Jednak chwilę spokoju przerwał mu przeszywający ból z tyłu głowy.

Ktoś ogłuszył go jednym trafnym ciosem. Młody chłopak padł nieprzytomny na ziemię.

— Zastrane solidaruchy — przeklął Marek Morwin pod nosem, po czym zaniósł go do auta zaparkowanego niedaleko.

Po kilku minutach drogi samochód marki Syrenka zjechał na polne drogi. Jadący nim kierowca, zobaczył ładną, jakby przestraszoną dziewczynę. Stała na poboczu. Od razu wpadła mu w oko.

Postanowił się zatrzymać i porozmawiać. Kobieta chciała najpierw uciekać, ale gdy zobaczyła, że auto jest cywilne, została na miejscu.

— Już godzina policyjna moja droga — wypalił do dziewczyny Marek.

— Yyy... wiem.. ale... — Dziewczyna szukała w głowie właściwej odpowiedzi.

— Co taka ładna dziewczyna robi tutaj sama i jak taka ładna dziewczyna ma na imię? — zagadnął do niej, uśmiechając się.

— A ty co, z MO jesteś, że tak wypytyjesz? — odparła kąśliwie.

— Gdy powiem ci, że do miasta masz 5 km drogi, to będziesz chyba miłsza, co? — powiedział z ironicznym uśmiechem Marek.

— Ile?! Musiałam pomylić przystanki... Ale ci chłopcy w autobusie... Wolałam wysiąść... Idę już tak drogą z pół godziny. Może mnie podwiesz cwaniaczku? — zapytała dziewczyna z zalotnym uśmiechem.

— Hmm... — Zamyślił się Marek, patrząc na nieprzytomnego chłopaka na tylnym siedzeniu.

— Wiesz... tu niedaleko jest dom... Kumpel się trochę spił, obiecałem jego mamie, że go dostarczę.

— Yhy... To mnie splawiasz widzę... Wyglądasz na takiego... — odparła dziewczyna z rezygnacją.

— Nie no, czekaj... za pięć minut będę wracał tędy, to cię odbiorę. Jego matka jest dosyć zasadnicza, co do dziewczyn... — tłumaczył się Marek.

— Taki bojaźliwy jesteś chłopaku? — kpiła dziewczyna.

— Hmm... Dobra, wsiadaj, ale gdy tam pojedziemy, schowasz się i będziesz cicho — powiedział, a dziewczyna ochoczo wsiadła do syrenki.

Po kilku minutach dotarli do jakiegoś domu na odludziu. Dziewczyna ukryła się zgodnie z instrukcją.

Marek wyciągnął z tylnego fotela nieprzytomnego chłopaka i zaniósł go do środka budynku. Chłopak przebudził się i zaczął szarpać. Jednak dwóch umięśnionych mężczyzn szybko go uspokoiło i zabrało do piwnicy.

Do Marka podszedł człowiek z ciemnym wąsem. Miał około 35 lat, ale gdzieś na głowie już pojawiły mu się siwe pasma, nadto widoczne na tle kruczoczarnych włosów. Nie był dobrze zbudowany, ale i tak zawsze wzbudzał respekt u podwładnych.

Morwin od razu stanął sztywno na baczność.

— Długo szukaliśmy tego solidarucha. Wydusimy z niego, co trzeba, towarzyszu — powiedział mężczyzna.

— Ku chwale ojczyzny, towarzyszu Krzywda — odparł Marek salutując.

— Mówcie mi Edward. Krzywda to tak oficjalnie... Groźnie brzmi. Może się towarzyszu napijcie wódeczki?

— Nie, dziękuję... Spieszę się... — odparł Marek.

— Odmawiacie swojemu przywódcy?! — zagrział Krzywda.

— Nie, ja... dziewczyna... — wydukał nieco przestraszony Morwin.

— Aaaa... no to co innego. — Tu wyraz twarzy przed chwilą jeszcze wściekłego dowódcy zmienił się diametralnie w serdeczny uśmiech.

— No ja... towarzyszu... innym razem... — powiedział Marek, chcąc jak najszybciej uciec.

— Zawsze w służbie bezpieczeństwa narodu... Ojczyzna kiedyś będzie wdzięczna. Bądźcie w gotowości. Wkrótce przybędą kolejne rozkazy. Teraz odmaszerować i się dobrze wyszaleć żołnierzu. To rozkaz! — powiedział Edward Krzywda, po czym wszedł do piwnicy, gdzie przed chwilą zaniecono nieprzytomnego chłopaka przywiezionego przez Morwina. Obawiając się, że dziewczyna w aucie może mu umrzeć z nudów, popędził do auta. Odczuł ulgę, gdy zobaczył ją cierpliwie siedzącą na miejscu. Odpalił syrenkę i odjechał.

Dziewczyna miała wrażenie, jakby był myślami gdzieś indziej. W końcu stwierdziła, że po prostu trafiła na nieśmiałego faceta. Postanowiła więc przełamać lody i przedstawić się.

— Mam na imię Marysia... Może się umówimy jutro na jakąś kawkę? — wypaliła, wyrrywając Marka z zamyślenia.

Uśmiechnął się tylko zakłopotany i, nim zdążył pomyśleć, czy ma czas, skinął głową z aprobatą...

15 marca 1989 — komunistyczna Polska

— Jak to chcesz odejść?! Nie można od tak odejść ze Służby Bezpieczeństwa ! — grzmiał Edward Krzywda.

— Towarzyszu... musi pan zrozumieć... Dziewczyna w ciąży, chcemy wziąć ślub, a mnie wiecznie nie ma... Życie przemyka mi między palcami... — tłumaczył Marek Morwin, szukając zrozumienia.

— Wrogowie Polski czają się w podziemiach jak szczury, zaraza atakuje kraj... Solidaruchy... A ty chcesz odejść?! — Edward Krzywda wykrzykiwał to z irytacją Morwinowi w twarz.

— Szefie... Tyle lat wiernie służyłem Polsce, a ta Solidarność wciąż jest i jest... Nie mam już sił. Niech inni przejmą moje zadania. Proszę... — błagał Marek, a Edward wyciągnął ze srebrnej papierošnicy papierosa i odpalił, chcąc się uspokoić.

— Mówisz młodzi... Chcesz odejść... — mówił do siebie Krzywda, zaciągając się papierosem marki „Robotnicze”. Raz po raz rzucał badawcze spojrzenie w kierunku Morwina.

Ten skinął głową bezmyślnie, wciąż jednak wpatrując się w podłogę, czekał w niepokoju na odpowiedź.

— Tylko o to ci chodzi? — badał dalej.

— Tak. Proszę o przejście w stan spoczynku.

— Dobrze... Po ostatnim zadaniu... odzyskasz coś dla mnie, albo nie... Lepiej zniszczysz. Twoim celem będzie Zenon Burczyk...

Następnie Edward wytłumaczył swojemu podwładnemu, czego ma dotyczyć ta misja.

Wieczorem tego samego dnia Marek Morwin wysłedził swoją ofiarę. Obserwował Burczyka przez kolejne trzy dni, aż czuł, że wie o nim wszystko. Gdy Zenon, tradycyjnie w środę o godzinie 15:00 był na

spacerze ze swoją żoną, Morwin włamał się do jego gabinetu, szukając dokumentów, które chciał dostać jego szef, Krzywda.

Jednak tego dnia Burczyk wrócił ze spaceru wcześniej... Marek znalazł jednak to, czego szukał. W czasie gdy Zenon dobijał się do zatrzaśniętych drzwi, Morwin chciał dokończyć zlecenie. Wiedział, że zadanie musi zostać wykonane. Spalił więc to, co znalazł. W chwili gdy teczka działacza SB, Edwarda Krzywdy, pseudonim Król, spłonęła, do gabinetu wpadł Zenon i trzech milicjantów, obezwładniając Morwina.

„Zadanie wykonane...” — powiedział w duchu.

Odcinek 8.

AGATA PATYCKA

11 maja 2004 — około 22:00 — Rybnik

Agata biegła jak oszalała przed siebie, czując za sobą zbliżających się ochroniarzy Edwarda Krzywdy. Nie miała latarki, ale wiedziała, że oni także nie mają. Miała jednak nad nimi przewagę. Nie pierwszy raz była w okolicach tych ruin. Wszyscy byli jednak ślepcami w ciemnościach tej nocy.

Chciała wyciągnąć po drodze kluczyki do auta, by odjechać jak najszybciej, gdy już do niego dotrze. Potknęła się jednak i upadła.

— Gdzie jest?! Przeszukać teren! — wołał Krzywda, stojąc zgięty w pół i próbując złapać oddech.

— Wróćcie po latarki idioci! — dodał wściekły na niekompetencje swoich pomagierów, a jego dwaj ochroniarze pobiegli z powrotem do auta.

„Nierozgarnięte tłuki...” — myślał Edward, błądząc wzrokiem w ciemnościach w poszukiwaniu świadka. Po chwili dwóch mężczyzn, już z latarkami przeszukiwało ruiny starego budynku, który wyglądem przypominał mały zamek. Szukali Agaty, która skuliła się za jakąś ścianą i próbowała ogarnąć myśli, okiełznać strach, by pomyśleć co dalej. Z jednej strony z trudem łapała oddech, a z drugiej starała się zachowywać jak najciszej. Słyszała kroki pościgu przeczesującego ruiny.

Tymczasem Edward Krzywda wrzucił do bagażnika nieruchome ciało rudowłosej dziewczyny, po czym zabrał latarkę jednemu ze swoich ludzi i sam zaczął szukać, poirytowany ich opieszałością.

— Wiemy, że tu jesteś. Wyjdź! Nie zrobimy ci nic złego! Chcemy porozmawiać o tym nieporozumieniu! — wołał Krzywda, licząc, że dziewczyna mu uwierzy. — Nie pozwolisz, by życie jakiejś dziwki zaważyło na twoim... Nie była tego warta, uwierz mi — mówił, po czym nasłuchiwał odpowiedzi.

Na próżno.

Agata spostrzegła, że idą w jej kierunku. Jeszcze mocniej przywarła do ściany, a adrenalina coraz bardziej dawała o sobie znać. Czuła, jak przyspiesza jej serce. Jakby zaraz miało wyskoczyć i zostawić ją samą.

„Dlaczego nie uciekasz idiotko?! Biegnij! — myślała, ale strach paraliżował jej nogi. — Siedź tutaj. Nie znajdą cię, jeśli wyjdiesz, to cię dorwą” — walczyła z myślami, tkwiąc pomiędzy młotem a kowadłem.

— A więc widzę, że jesteś materialistką. Cóż, w dzisiejszych czasach żaden pieniądz nie śmierdzi. Ile chcesz za te zdjęcia? 10... 20...? Powiedz cenę, a nie pożałujesz... To wyjdzie nam obojgu na dobre — wciąż mówił Krzywda, ale jeden z ochroniarzy mu przerwał.

— Szefie, jej chyba tu już nie ma... — stwierdził.

— Myślenie zostaw mnie. Ty idź lepiej po... — i w tym momencie Krzywda urwał słysząc, że ktoś się zbliża.

— Kto tam jest?! Pokaż się... — wołał jakiś nocny stróż, wymachując latarką o znacznie mocniejszym świetle niż te od Krzywdy. Oślepił ich. — Witam panów. Czego tu chcecie? — zapytał stróż, zatrzymując się wraz ze swoim partnerem tuż przed Edwardem i jego pomagierami zasłaniającymi oczy.

— Nazywam się... Nieważne jak się nazywam. Jestem grubą rybą, więc... — mówił Krzywda, chcąc okazać swą wyższość.

— Więc co? Grozisz mi? Albo stąd zmiatacie, albo dzwonią po policję i będzie to dla nas bardzo nieprzyjemna noc — powiedział stróż,

zaskakując tupetem i brakiem szacunku nawet samego Krzywdę, który chciał zbesztać opryskliwego mężczyznę pilnującego ruiny.

— Szefie... znalazłem coś... — powiedział jeden z jego ochroniarzy, szturchając go łokciem.

— Co chcesz, ty... — zaczął Edward, ale jednak powstrzymał się, widząc, że tym czymś był portfel. Zajrzał do środka. Był to portfel Agaty. Ta uciekła dyskretnie, wykorzystując chwilę, gdy Krzywda polemizował ze stróżem nocnym i jego partnerem.

— Cóż... znalazłem mój portfel i już uciekam. Przepraszam za kłopot — powiedział Krzywda, po czym dał znak swoim pomagierom.

Po chwili byli już w aucie.

— Do domu szefie? — zapytał ochroniarz.

— Nie, tłuku... Musimy się pozbyć ciała rudej — odparł, co było dla niego tak oczywiste, że znów pomyślał, iż musi zmienić ochronę na bystrzejszą.

Gdy tylko samochód ruszył, Krzywda począł zapoznawać się z zawartością portfela Agaty.

— Co my tu mamy... — mówił pod nosem. — Więc... pani Agata Patycka. Zamieszkała w Leszczynach, na ulicy Klonowej 14. O i legitymacja studencka... Uniwersytet. No, no... Zatrzymam to sobie... — powiedział, chowając dowód do kieszeni.

— To co, szefie? Do odstrzału? — zapytał ochroniarz, widząc Edwarda uśmiechniętego.

— Zamknij się, baranie... Pani Agata była świadkiem bardzo przykrego incydentu. Ale jestem przekonany, że nie powie o tym nikomu. Gdy zobaczy, że zgubiła portfel, zacznie jeść nam z ręki... W końcu wiemy, gdzie mieszka, kim jest...

— To chce pan ją tak zostawić?

— Nie, baranie. Wątpię, by w ciągu kilku dni komuś to przekazała. Jest zbyt przestraszona.

— A jeśli jednak?

— To mamy pecha. Trzeba się z tym pogodzić. Musimy działać szybko — stwierdził Edward Krzywda, wyciągając telefon.

Następnie wybrał numer i czekał na połączenie.

— Krzywda. Jest szybka sprawa. Trzeba się kogoś pozbyć. I to na wczoraj! — oznajmił władczym tonem.

— Tak, szefie. Rozumiem — odezwał się zaspany głos w słuchawce.

— Znajdźcie Marka Morwina. Niedawno wyszedł... Sprowadźcie mi go. Natychmiast... Będą miał dla niego robotę... — powiedział do słuchawki Krzywda, po czym sięgnął po kolejną butelkę szampana.

Odcinek 9.

MAREK MORWIN

12 maja 2004 — godzina 14:10 — Racibórz — nieopodal Gimnazjum nr 16

Niska, czarnowłosa, szczupła dziewczyna właśnie pożegnała się z koleżankami po ostatniej, siódmej lekcji i opuściła szkołę, kierując się do domu. Słoneczna pogoda jeszcze bardziej podkreślała beztroski uśmiech piętnastolatki, która wesoło podskakując, wymachiwała workiem ze zmiennym obuwiem na wuef. Nie należała do posłusznych czy pokornych dziewcząt. Pomimo że mama tyle razy jej powtarzała, by chodzić dłuższą, bezpieczniejszą drogą, to dziewczynka o imieniu Ola zawsze chodziła na skróty przez stare blokowisko. Tak zrobiła i tym razem. Podskakując tak wesoło, spostrzegła, że ktoś za nią idzie. Był to mężczyzna mający około 36. lat. Dziewczynka wiele razy słuchała wykładów w szkole, o tym jak źli panowie atakują małe dziewczynki, by zrobić im złe rzeczy. Schowała się więc czym prędzej za najbliższym śmietnikiem i zamarła bez ruchu, czekając na rozwój sytuacji. Nasłuchiwała uważnie, czując, że mężczyzna zwolnił. Rozgląda się, szuka jej... Nagle zza placów dziewczynki wyłonił się ów mężczyzna i złapał ją z tyłu.

— Berek, Olu! — krzyknął, a dziewczynka odsunęła się odruchowo, przestraszona.

— Yyy... przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć — powiedział Marek Morwin, widząc minę dziewczynki.

— Ostrzegam. Mam gaz pieprzowy. Mama ostrzegła mnie przed pedofilami. Umiem się bronić — mówiła Ola, robiąc groźną minę i wyciągając wspomniany gaz.

— Marysia... twoja mama też taki nosiła. Dobrze, że dba o twoje bezpieczeństwo...

— Skąd znasz jej imię? — zapytała zaniepokojona.

— Janku Kopaczu, przyjrzyj mi się...

Ola patrzyła na mężczyznę, jakby wiedziała, że dzwonią, ale nie wiedziała, w którym kościele.

— Poznaję, cię... Tato... — wyznała w końcu, rzucając mu się na szyję. — Ale do dzisiaj widziałam cię tylko na starych zdjęciach. Mama ma ich bardzo mało... — dodała.

— Zabawa w chowanego, to fajne, ale pamiętaj... masz chodzić bezpiecznymi drogami, a nie na skróty — pouczał Marek córkę.

— Oj tato, jestem już duża. Nie boję się.

— Ale mama się boi. I ja się boję o ciebie... Będziesz ostrożniejsza, dobrze?

— Dobra, tato, dobra. Kiedy odwiedzisz mamę? Kiedy będziemy znów razem? Ty, ja i mama? — zarzuciła Marka pytaniami.

— Kochanie, to nie takie proste... Przez jakiś czas muszę pozostać ukryty. A między mną a mamą... To nie takie proste...

— A tam tato, jesteś nieśmiały jak mój kolega. Wy faceci... Eh! Mama ciągle mówi o tobie, choć twierdzi, że nie powinna. Wiele razy złapałam ją na tym, jak wpatrywała się w twoje fotografie...

— Oj, kochanie... Poczekamy trochę. Nie mogę od tak wrócić do jej życia... — tłumaczył Marek.

— Mama kiedyś powiedziała, że ci nogi z dupy powyrywa. Ale i tak cię kocha. Wiem to, jestem już też kobietą... — powiedziała z dumą Ola.

— Tak kobietą... jesteś, ale... Czekał, co? Mama cię uczy takich wyrazów? — zapytał zdziwiony.

— Nie... Piotrek z podwórka. Taki głupek... — przyznała dziewczynka.

— Pamiętaj... masz tak nie mówić... Piotrek głupek z podwórka nie jest fajny — perswadował Marek.

— A tam, tato... Kiedy przyjdiesz do mamy? Przecież dałam ci adres — pytała Ola.

— Na razie mama nie chce taty widzieć... Tatuś zarobi trochę pieniędzy, to kupi jej coś ładnego.

— Tato... jestem mała, ale nie głupia... Gdzie ty znajdziesz pracę po niemal 10 latach spędzonych w więzieniu? Może mama by ci pomogła? — pouczała dziewczynka swojego ojca, jakby to ona była o wiele starsza, a nie odwrotnie

W okamgnieniu role ojca i córki się odwróciły.

— Nie... poradzę sobie... A ty już zmykaj na obiad, bo ci mama nogi z du... yyy... z zupy powyciąga.

Następnie Morwin uścisnął córkę, a ta machając na pożegnanie, ruszyła w stronę domu.

Gdy wychodził z zaułka, usłyszał za plecami znajomy głos:

— Oj, Marek, Marek... Nieładnie tak po kryjomu... Na młodsze się przierzuciłeś?

Morwin odwrócił się i rozpoznał twarz Grzegorza Hanika, także dawnego agenta SB.

— Kumpli nie poznajesz? — zapytał.

— Nie jesteś moim kumplem — odparł Marek.

— Eee tam... możemy nimi zostać. Nawet nie wiesz, ile trudu mnie kosztowało odnalezienie twojej osoby. Musimy pogadać... Masz tu

namiary na niezłą robotę. Pan Edward Krzywda ma do ciebie pilną sprawę — powiedział Grzegorz, podając mu wizytówkę.

— Nie będę z nim gadał — odparł Marek.

— Hmm... no ja myślę, że jednak powinienes... Szkoda, by coś się stało twojej ślicznej córeczce. A jak już wiemy, gdzie się uczy, to i łatwo do matki dotrzemy. Chociaż może my już to wiemy?

Gdy słowa te opuściły usta Grzegorza, Marek natychmiast go uderzył, a z szerokich warg Hanika pociekła krew.

— Nic się nie zmieniłeś — wycedził Hanik, wycierając rozciętą wargę wierzchem dłoni

— Ty też nie — odparł Morwin, po czym zabrał wizytówkę Edwarda Krzywdy i odszedł.

Tymczasem Hanik po chwili wodzenia językiem po jamie ustnej poczuł coś w środku.

— Kamyk, kułde? — seplenił, badając językiem jamę ustną, aż w końcu wypluł jeden z zębów. — Gnój... Nie zdziadział przez tyle lat... — powiedział i ruszył w stronę samochodu, sprawdzając, czy nie ma jeszcze innych ubytków w uzębieniu.

Odcinek 10.

PATRYK KOWAL

Połowa roku 2004

Patryk Kowal skończył niedawno 29 lat. Po skończeniu z wyróżnieniem studiów fizjoterapeutycznych na Politechnice Opolskiej szybko znalazł pracę dzięki dobrym układom z wykładowcami. Nie widział nic złego w korzystaniu ze znajomości. Profesor Gąbek, który wcześniej był jego promotorem, z chęcią przyjął go do swojej kliniki. Tam też Patryk nabierał doświadczenia i piął się w górę. Szybka kariera nie szła w parze z sukcesami w życiu osobistym. Jednak po kilku nieudanych związkach wydawało mu się, że odnalazł właściwą kobietę. Od trzech lat spotykał się z Agatą Patycką, studentką fotografii artystycznej na Uniwersytecie w Raciborzu i fotoreporterką gazety „No Kpiny”. Początkowo spotykali się tylko w weekendy. To zmieniło się jednak od czasu, gdy przeniósł się do innego szpitala, by być bliżej ukochanej.

Nie chciał jej stracić, tak jak poprzednich. Zdobył się w końcu na odsunięcie pracy na dalszy plan. Bał się jednak zrobić kolejny krok. Nie chciał się za mocno angażować, obawiając się ponownego odrzucenia. Było już jednak dla niego za późno. Z całą pewnością mógł stwierdzić, że się zakochał...

Pewnego wieczoru podczas kolacji w restauracji „Galaktyka” w Raciborzu Agata wymiotowała. Na początku nie chciała nic mówić, ale gdy Patryk przyparł ją do muru przyznała się. Zdradziła mu, że jest w ciąży... Był w szoku, ale ucieszył się bardzo, co znacznie uspokoiło Agatę. W końcu Patryk zbliżał się do trzydziestych urodzin. Uznał, że czas

na stabilizację, a informacja o ciąży ukochanej tylko tę decyzję przyspieszyła.

Po romantycznej kolacji w domu Agaty w Leszczynach, 7 maja 2004 roku, Patryk oświadczył się jej.

Zamarł jednak, gdy odmówiła. Nie potrafił zrozumieć. Lecz gdy zarzucił ją stertą pytań, w końcu pękła. Dowiedział się, że dziecko może nie być jego. Przeżył szok. Jakby ktoś wbił miecz w jego i tak już ciężko ranne serce. Ale ten ból nie pozwalał umrzeć, tylko ranił i ranił nieustannie.

— Nie potrafiłabym żyć w kłamstwie... Przepraszam — mówiła.

Świadomość zdrady, której dopuściła się Agata, wyprowadziła Patryka z równowagi i z jej domu.

Bał się, że także z jej życia...

O poranku, 14 maja 2004 roku, Patryk dostał od Agaty list. Zawierał przeprosiny i badania DNA — na ojcostwo. Przypomniał sobie, jak niedawno zaciął się przy goleniu w łazience Agaty...

— Użyła tej krwi? Ale jak...? — zadręczał się.

W końcu jednak dał sobie spokój z tym racjonalizowaniem. Patrzył tylko z radością na przeprosiny i wyniki testów. To on jest ojcem dziecka Agaty. Tego dnia nie mógł się jednak do niej dodzwonić. Gdy dotarł na miejsce, prawda uderzyła w niego jak piorun. Musiał ją zobaczyć. Nic nie było w stanie go powstrzymać. Nawet chroniący to miejsce policjanci. Przedarł się przez ich kordon. Zaskoczeni pobiegli za nim, gdy ich okrzyki okazały się nieskuteczne. Wbiegł po schodach i zobaczył zwłoki Agaty. Śledczy robili jej zdjęcia i pisali jakieś notatki. Podbiegł do niej, modląc się w duchu, by to nie była jednak ona. By jego wzrok się mylił. Gdy jednak zobaczył ją leżącą bez ruchu, zdał sobie sprawę, że to niestety ona... Widział już kilka trupów w życiu, ale nigdy nie była to bliska osoba... Nie aż tak bliska...

„Wygląda, jakby spała...” — pomyślał, odgarniając piękne blond włosy z jej bladej, zimnej twarzy.

Patrząc tak, nie widział jednego ciała, widział dwa... Agaty i jej... ich nienarodzonego dziecka.

— Ona była w ciąży, zabił oboje... Zabiję go. Zabiję! — wykrzyczał Patryk, a po chwili leżał już na ziemi, skuty przez policjantów, którzy wbiegli za nim sprzed domu.

Tego dnia umarła także częśćka jego samego. Poprzysiągł zemstę. Jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że zostanie jej więźniem...

Kolejne tygodnie i miesiące mijały mu na śledzeniu procesu Zenona Burczyka i Marka Morwina. Patrykiem zawładnęła obsesja na tym punkcie. Nie pojawiał się w pracy, przez co został bezterminowo urlopowany. Na krótko jednak, ponieważ niedługo po tym zdarzeniu sam odszedł. Nie potrafiłby się na niczym skupić...

Procesy Zenona Burczyka i Marka Morwina zakończyły się dla obu wyrokiem skazującym na wiele lat za kratki. Patryk wcale jednak nie czuł, by sprawa była zakończona. W Polsce nie ma kary śmierci. Częściową ulgę przyniosła mu wiadomość, że Zenona Burczyka zabito krótko po tym, jak trafił do więzienia we Wronkach. Nie obchodziło go, kto to zrobił, choć pewnie uściskałby mu z wdzięczności dłoń.

— Pogratulowałbym morderstwa? Nie... pogratulowałbym sprawiedliwości. — Patryk chciał, by taki sam los spotkała Marka Morwina...

Z tą różnicą, że chciał to zrobić osobiście lub chociaż widzieć go umierającego, cierpiącego... Nie miał zamiaru czekać 30 lat, aż wyjdzie na wolność. Zemsta stała się celem jego życia. Postanowił nająć się jako strażnik w więzieniu w Raciborzu. Ukończył dwuletni kurs uprawniający do pracy strażnika. Tych zawsze brakowało, więc jako człowieka z wyższym wykształceniem przyjęto go z pocałowaniem ręki. Udało mu się trafić do

raciborskiego więzienia, jednego z najnowocześniejszych zakładów karnych w Polsce, zwanym przez skazańców „Perłą”, gdyż wyróżniał się znacznie na tle innych. Tam odsiadywała wyrok jego przyszła ofiara. Wmawiał sobie, że tylko dzięki temu dusza Agaty zazna spokoju. Chciał to zrobić bez względu na wszystko. Chęć zemsty dodawała mu sił...

Wreszcie 16 marca 2006 roku udało się Patrykowi nakłonić braci Broniewskich w zamian za przywileje i pieniądze, by na spacerunku, niby to w bójce, na oczach innych więźniów, zabili Marka.

Nie chodziło tylko o to, by zginął. Miał zostać upokorzony, zarżnięty...

Po prostu zniszczony tak, by czuł, że umiera...

Odcinek 11.

PATRYK KOWAL

22 marca 2006 — godzina 19:55 — ZAKŁAD KARNY W RACIBORZU

Chwila, na którą Patryk czekał 3 lata, chwila, o którą tak walczył, chwila ta w końcu nadeszła. Wystarczyło przycisnąć mocniej nóż i przesunąć w bok, by efektownie poderżnąć gardło i efektywnie pozbawić życia Marka Morwina.

— I co? Zarznieś mnie tu, a strażnikom będziesz wciskał kit, że sam sobie to zrobiłem? — pytał ironicznie Morwin

— Przeszło mi to przez myśl... Nie zauważyłeś, że kamery tutaj to atrapy? Wiesz, naczelnik jest dosyć oszczędnym człowiekiem, a remont pochłania wiele funduszy. Gdzieś musiał wprowadzić cięcia, by uszczknąć coś dla siebie. Poza tym gównu ich wszystkich obchodzisz gnido...— mówił Patryk triumfalnym tonem, mającym ukazać jego wyższość nad ofiarą.

— Wiesz co robią z byłymi klawiszami w więzieniu? Chcesz sobie złamać życie? Zabić mnie i zająć moje w tej celi? Nie ma sprawy. Tylko wtedy nie usłyszysz tego, co mam do powiedzenia... Człowiek przez, którego nie żyje twoja dziewczyna, będzie sobie dalej chodził bezkarnie po tym świecie... Ja byłem tylko pionkiem...— tłumaczył Marek

— Dlaczego taka gnida tak kurczowo trzyma się życia? Dla tego twojego chłopaka? Janka Kopacza?— ironizował Patryk

— Żałosny jesteś. Rób więc co chcesz... Ja na twoim miejscu bym się nie wahał, ale ponoć nie jesteś taki. jak ja... Wysłuchaj mnie... Jutro dostaniesz, to znaczy ja dostanę, kolejny list od Janka Kopacza. Wraz z

odpowiedzią podrzucę ci trochę wyjaśnień na kartce... Jeśli cię to nie przekona, to i tak znajdziesz sposób by mnie zabić... Nigdzie się stąd nie ruszam...

Po tych słowach wkroczył strażnik pilnujący wejścia z zewnątrz. Patryk pospiesznie puścił swą niedoszłą ofiarę i schował nóż tak szybko, że ostrze pozostało niezauważone.

— Wszystko w porządku? — zapytał strażnik, zaniepokojony. — Z piętnaście minut tu siedzicie.

Pełen wątpliwości Patryk skinął tylko głową i opuścił celę, pchając przed sobą pusty wózek na listy więźniów. Słowa niedoszej ofiary dudniły mu niczym dzwony.

— Nic już nie będzie takie proste...— myślał

23 marca 2006 — godzina 14:44 — ZAKŁAD KARNY W RACIBORZU

Janek Kopacz przysłał kolejny list do Marka Morwina. Patryk oczywiście ponownie zaniósł mu pocztę, a w zamian dostał list do siebie. Schował skrzętnie w spodniach i udał się do kantyny strażników, by przeczytać wiadomość w spokoju i samotności.

„(...)Wiem, że w tym momencie żadne słowa nie ugaszą twojego bólu. Nie robi też tego zemsta... Przynajmniej nie zemsta na mnie. Nie teraz, gdy zdajesz sobie sprawę, że nie działałem sam ... Wydam ci moich szefów... Zadaj sobie pytanie: co byś zrobił, gdyby kazali ci zabić mnie, aby uratować życie twojej Agaty? Widząc, co chcesz zrobić, by ją pomścić... Zapewne to samo... Na wolności pozostaje człowiek, który

*zlecił mi tamto zabójstwo... Zenon Burczyk był tylko ofiarą...
Tak jak ty...*

Tak jak ja... Tak jak Agata Patycka...

*Gdybym nie zrobił tego ja, zrobiłby to ktoś inny... Zginęłoby
więcej osób. Mam prostą propozycję. Jeśli wyciągniesz mnie z
więzienia, to wskażę ci miejsce pobytu Janka Kopacza... To
człowiek, który posiada materiały mogące pogrążyć
zleceniodawców, którzy kazali zamordować twoją
dziewczynę... Pozwól mi się na nich zemścić, a gdy już to
zrobimy, będziesz mógł zrobić ze mną co zechcesz... Nie
próbuj odnaleźć Janka Kopacza, bo ci się to nie uda. On wie,
jak się ukryć. Też był kiedyś agentem... Mam pomysł na
ucieczkę, ale do tego potrzebuję ciebie... Tylko zdecyduj, co
chcesz zrobić... Po przeczytaniu spal ten list.*

*PS: Nie użyjesz go przeciwko mnie, bo nie jest napisany
moim charakterem pisma...*

Znam kilka sztuczek... Poza tym, kto by ci uwierzył?

JA”.

„Dlaczego miałbym mu uwierzyć?” — pytał sam siebie Patryk —
„Przecież to może być podstęp... Cóż, sprawię, że zagra według moich
reguł, podczas gdy będzie sądził, że to ja tańczę, jak mi zagra...”.

Po przeczytaniu listu w głowie Patryka Kowala coś się narodziło.
Plan, by „wilk był syty i owca cała...”.

Odcinek 12.

PATRYK KOWAL

24-28 marca 2006 — ZAKŁAD KARNY W RACIBORZU

Dzięki wymianie korespondencji Patryk Kowal mógł się dogadać z Morwinem w sprawie planu ucieczki. Obaj wyczytywali jednak między wersami, że pomimo wspólnego celu nie mogą sobie do końca ufać... Czuli to obaj... Z konieczności do spisku zostali także wciągnięci bracia Broniewscy. Jeden opuścił szpital więzienny, gdzie przebywał wraz z bratem, po przeprowadzonej niedawno na zlecenie Patryka akcji. Zresztą nieudanej. Drugi z braci, Olek, przez ową bójkę wciąż przebywał w izbie chorych.

O dziwo, to niedoszła ofiara braci optowała za wciągnięciem ich do spisku. Jednak Patryk przystał na to, dopiero gdy zdał sobie sprawę, że są niezbędni...

Zgodnie z planem Kowal udał się do biura naczelnika Michała Pasikonika z listem Morwina. W gabinecie, nieco zaskoczony otrzymaniem takiej poczty, naczelnik ponaglany ciekawością niezdarnie i szybko otworzył kopertę i zaczął zachłannie czytać. Po zapoznaniu się z treścią wiadomości zaczął wpatrywać się w widok za oknem. Po chwili zamyślenia odwrócił się do stojącego na baczność Patryka i utkwiał w nim badawcze spojrzenie.

— Słuchaj, Kowal... Jesteście tu nowi... Więc jeszcze nie skaził was ten byt więzienny... Ta ciasnota...— naczelnik, widząc, że nieco się zagalopował i mówi niezrozumiale, postarał się wysłować nieco bardziej po ludzku. — Więc, chodzi mi o to, że strażnicy przebywający w więzieniu

po kilkadziesiąt godzin tygodniowo tracą trochę wrażliwość i świadomość świata poza budynkiem więzienia. Niektórzy nawet zarażają się chamstwem od więźniów. Tych degeneratów... Niektórzy są naprawdę okrutni... — mówił naczelnik.

— Z tego, co piszą gazety, to w modzie jest resocjalizacja, a nie bezmyślne karanie... Słyszałem, że pan chce zrobić karierę w polityce... że kandyduje pan do sejmu z listy nr 15 — zmienił lekko temat Patryk, co jednak najwyraźniej polechtało próżność naczelnika.

— A no, to ja akurat wiem... Nie uwierzycie, co za plan podsunął mi Marek Morwin... Ten morderca, ponoć były agent SB...

— Mianowicie? Co napisał w liście? — zapytał Patryk, udając zaniepokojenie.

— Hmm.... W skrócie to, że chce przeprosić tego Olka Broniewskiego... tego, którego o mało nie zabił. Chce to zrobić oficjalnie... Co myślicie o tym, by zrobił to przed kamerą? Wtedy notowania naszego więzienia, no i moje oczywiście, bardzo by wzrosły... To pokazałoby, że w moim więzieniu resocjalizacja nie jest pustym słowem...— mówił naczelnik, chwając sam swój zamysł. Był tak z niego dumny, że nie obchodziła go już zbytnio opinia Patryka. Oczekiwał tylko potwierdzenia swojej błyskotliwości.

— Myślę, że to doskonały pomysł. Pan przed kamerami w izbie chorych udziela wywiadu, a w tle niedawni wrogowie godzą się. Wspaniale. Pozwoli mi pan sobie towarzyszyć jako dodatkowa ochrona? — pytał Patryk, chwając pomysł naczelnika Pasikonika.

— Wiedziałem, że wy się, Kowal, znacie na ludziach. Oczywiście. Widzę, że umiecie dostrzegać dobre pomysły. Zgadza się więc. Za dwa dni czeka nas występ w TV. Już chwytam za telefon i załatwiam tu ekipę TV...

Patryk podziękował i zadowolony opuścił gabinet, słysząc już za plecami głośną rozmowę naczelnika, który od razu zabrał się do zapraszania telewizji. Pasikonik, dzięki swej próżności, dał się tak łatwo podpuścić.

„Wszystko idzie zgodnie z planem... Nie spodziewałem się, że pomysł wypali” — myślał Patryk, który ułożył sobie jednak inny plan zdarzeń niż ten, który znała reszta.

W tajemnicy zaplanował własne rozwiązania w czasie ucieczki. Wcale nie był zbyt przekonany co do słuszności współpracy z kryminalistami.

Obmyślił taki rozwój sytuacji, że gdy zabije Morwina podczas ucieczki, to nie dość, że się zemści za śmierć Agaty, to jeszcze będzie bohaterem. Uniknie więzienia, a ziemski glob będzie uboższy o trzech zwyrodnialców, których wymiar sprawiedliwości potraktował zbyt łaskawie. Przynajmniej w mniemaniu Patryka...

Odcinek 13.

BRACIA BRONIEWSKY

Lata 1980-2006

4 lutego 1978 — Warszawa — dzielnica Praga

W szpitalu kolejowym rodzą się Krzysztof i Olek Broniewscy. Bracia bliźniacy, którzy od dziecka trzymali się razem. Obaj wpadali w kłopoty i obaj z nich wychodzili. Ojciec, robotnik budowlany, wprawdzie ciężko pracował, ale tylko trzeźwy był do zniesienia. Ten stan jednak rzadko mu się zdarzał. Natomiast matka Broniewskich, jak to w wielu rodzinach biednej warszawskiej Pragi, starała się jakoś związać koniec z końcem. Była dobrą kobietą, lecz i ona także nie stroniła od alkoholu, co było zasługą jej męża. Bywało, że gdy tylko jedno z małżonków czuło, że czas przestać, to wtedy drugie i tak ścigało go z powrotem w otchłań. To trwało latami... Od dziecka więc bracia Broniewscy mogli liczyć tylko na siebie. Życie szybko zaczęło uczyć ich samodzielności. Od najmłodszych lat...

Już od roku 1993, by zdobyć pieniądze na kurację matki, na którą poszła po śmierci męża, obaj sprzedawali narkotyki na warszawskiej Pradze. Najpierw pośrednia dilerka, później samodzielna działalność...

Od roku 1996 Olek zajmował się narkotykami sam, natomiast starszy kilka minut Krzysztof specjalizował się w drobnych przekrętach...

Samodzielność dzieci to dla niektórych rodziców powód do dumy. Jednak nie wtedy, gdy jest nią trudnienie się dilerką czy drobnymi kradzieżami bądź przekrętami.

W 1998 roku Olek Broniewski jak co tydzień krążył przy Szkole Podstawowej nr 145 im. Jana Edmunda Stwosza w zachodniej Warszawie. Chciał się skontaktować ze swoimi „młodymi wilkami”, jak zwykł nazywać swoich pracowników w tej szkole. Byli to młodzi chłopcy, którzy sprzedawali za niego towar, dostając w zamian prowizję. Lubił młodych chłopców... Wielu z nich pozowało mu nago do zdjęć. Gdy, któryś z „młodych wilków”, choćby pisał o tym, że chce przestać, szantażował ich tym, że ujawni te fotosy, jeśli nie będą dla niego pracować. To plus zwabianie chłopców łatwym zarobkiem dawało niezłe prosperujący biznes. On nie miał brudnych rąk, a interes się kręcił... Aż pewnego dnia jeden z chłopców poskarżył się dwóm starszym braciom. Trzech barczystych dresiarzy zaczęło się tego dnia przed szkołą i tam pobili Olka. Skatowaliby go na śmierć, gdyby nie nadjeżdżająca policja. Uratowała mu życie, ale po zeznaniach tych dresiarzy i kilkorga dzieci oraz po znalezieniu przy Olku sporej ilości narkotyków postawiono mu zarzuty pedofilii, rozprowadzania narkotyków i kierowania zorganizowaną grupą przestępczą. Choć ostatni zarzut, ze względu na młody wiek chłopców, został odrzucony, to za dwa pozostałe sąd chciał dać Olkowi 16 lat kary pozbawienia wolności. Jednak wtedy wkroczył jego brat, twierdząc, że pracowali razem. Było to oczywiście kłamstwo. Ale Krzysztof wiedział, że brat sam nie da sobie rady w więzieniu. W ten sposób karę podzielono na 10 lat dla niego i 10 lat dla Olka. Nie wsadzono ich do żadnego więzienia w okolicach Warszawy. Krzysztof nie wiedział, czy to przez to, że mają paru znajomych w okolicznych więzieniach, czy w nagrodę, by dresiarze, którzy niemal skatowali Olka, nie dorwali go...

Możliwe, że sędzia uznał, iż osadzenie ich w oddalonym od Warszawy więzieniu może nieco ich zresocjalizuje. We wtorek, 1 września 1998 zostali przewiezieni do powiatowego więzienia w Raciborzu...

Na początku maja 2006 nowy strażnik więzienny, Patryk Kowal, zaszantażował Olka Broniewskiego, że ujawni więźniom, że siedzi nie tylko za prochy, ale i za pedofilię. W zamian za milczenie i kilka przywilejów bracia zgodzili się zabić wskazanego przez strażnika więźnia.

Celem miał być Marek Morwin, który miał to niby zginać w przypadkowej bójce. To, że Olek walczył w samoobronie, zeznałby brat i kilku przekupionych więźniów...

20 MARCA 2006 — GODZINA 14:10 — WIĘZIENIE W RACIBO- RZU — spaceriak

Tego dnia zamach braci na Marka Morwina nie udał się, a Olek wylądował na oddziale szpitalnym więzienia z powodu dźgnięcia nożem. Żaden z braci nie przypuszczał, że za chwilę będą grali z niedoszłą ofiarą i zleceńdawcą w jednej drużynie...

Niecałe 2 tygodnie po tej bójce Morwin zdradził swoje plany Krzysztofowi Broniewskiemu, a ten powtórzył je bratu. Wszyscy trzej chcieli zabić Kowala podczas zbliżającego się dużymi krokami terminu ucieczki...

— Macie czekać na mój znak... Dopóki go nie dam, to pamiętajcie, że gramy w jednej drużynie. On jest naszym biletem na wolność — mówił Morwin do Krzysztofa, a ten kiwał głową ze zrozumieniem i aprobatą, po czym przekazywał wszystko bratu.

Odcinek 14.

30 marca 2006 — (DZIEŃ UCIECZKI) — 14:15 — ZAKŁAD KARNY W RACIBORZU

Nadszedł dzień ucieczki. Marek Morwin miał tzw. kategorię więźnia „N”, czyli niebezpieczny. Zgodnie z przepisami prowadziło go dwóch uzbrojonych strażników. Natomiast Patryk miał mieć na oku braci Broniewskich i także dbać o bezpieczeństwo reporterki i jej kamerzysty. Ze względu na bezpieczeństwo naczelnik nie zezwolił na większą ekipę telewizyjną. W końcu o godzinie 15:00 wszyscy zainteresowani zebrali się w sali chorych, gdzie leżał Olek Broniewski. Salę na ten dzień opróżniono z innych więźniów. Naczelnik podjął taką decyzję, gdyż uważał, że brak rannych i chorych oznacza brak wypadków oraz bójek, a to ukaże go w jeszcze lepszym świetle.

— Ela, wszystko gotowe. Możemy zaczynać — powiedział kamerzysta, ustawiając kamerę na barku.

— Trzy, dwa, jeden... — zaczęła dziennikarka.

— Chwila! — krzyknął Krzysztof Broniewski, przerywając transmisję.

— Co jest Broniewski?! Już mieliśmy zaczynać! — powiedział naczelnik, wyraźnie powstrzymując wybuch gniewu.

— No więc, szefie, ja i brat jesteśmy fanami pani Eli i jej telewizji. Może więc pamiątkowe zdjęcie? — zaproponował Olek Broniewski, natychmiast poparli ten pomysł drugi Broniewski i Morwin

— Nie ma czasu wy baarr... Yyy... bardzo dobry pomysł — przyznał naczelnik, widząc, że dziennikarka Ela się uśmiecha.

— Hmm... No więc ma ktoś aparat? — zapytał naczelnik.

— Tak, ja mam... Pstryknę państwu. Rok chodziłem do szkoły policealnej, zrobiłem licencjat fototechnika — wypalił nagle Patryk, wyciągając z kieszeni aparat cyfrowy Kodak C633.

— Dobra Kowal, nie gadaj tyle, tylko rób to zdjęcie. Za dwie godziny mam spotkanie — powiedział lekko zirytowany opóźnieniami naczelnik Pasikonik.

Mimo, że strażnicy wzmogli czujność i ze zdwojoną uwagą obserwowali więźniów, to Patryk bez trudu ustawił ich tak, by Morwin i Broniewscy znaleźli się obok strażników i o pół kroku za nimi.

— Powiedzcie: seeeer!

Patryk miał już pstryknąć zdjęcie, gdy nagle za sprawą więźniów rozpętał się chaos. Marek Morwin wyrwał broń pierwszemu strażnikowi, po czym uderzył jego głową o ścianę. Strażnik padł na ziemię otumaniony. Drugim, w podobny sposób i z równie dobrym skutkiem zajął się Krzysiek Broniewski. Patryk odrzucił aparat i sięgnął odruchowo po broń. Jednak wtedy z łóżka zerwał się Olek Broniewski i uderzył zaskoczonego Kowala schowanym pod kołdrą nocnikiem. Skutecznie go znokautował. Przerażony i zszokowany naczelnik nie umiał wydobyć słowa, tylko schował się w kącie wraz z kamerzystą i dziennikarką.

— Cichutko i rączki w górę. Dziś wychodzę szefie... — powiedział Morwin do naczelnika, uśmiechając się szyderczo i jednocześnie mierząc do niego z pistoletu odebranego strażnikowi. Następnie zwrócił się do braci Broniewskich:

— Zwiążcie wszystkich i zakneblujcie. Potem przebierajcie się szybko w ciuchy tych klawiszy. Kowala bierzemy jako zabezpieczenie... Będzie naszym zakładnikiem.

Uwolnwszy się, bracia wykonali polecenie i już po chwili obaj strażnicy w samej bieliźnie, dziennikarka, kamerzysta i naczelnik mieli ręce skute ich kajdankami, a nogi spętane podartymi kawałkami

prześcieradła. Do zakneblowania zakładników i zawiązania im oczu użyli bandażu. Morwin szturchnął udającego nieprzytomnego Patryk Kowala.

— Rusz dupsko... Jesteśmy gotowi.

— Zgodnie z planem... Okey. Teraz faza druga... — stwierdził Patryk, oglądając powiązanych zakładników.

— Teraz, tak, jak się umawialiśmy, we trzech prowadzimy Morwina. Udajecie klawiszy i idziemy jak gdyby nigdy nic. Gdy kogoś spotkamy, ja będę mówił. Jest cisza poobiednia, więc większość więźniów przebywa na spacerunku, a większość strażników je obiad w kantynie, więc korytarze będą niemal puste — tłumaczył Patryk.

Według zaleceń wyszli z sali chorych i udali się korytarzem na wprost. Nie spotkali nikogo, ale gdy dotarli do schodów, nagle Morwin i bracia Broniewscy zatrzymali się.

— Co jest? Ruszcie się. Według planu przecież idziemy teraz w dół... Do piwnic, potem kanałami i z szambem wypływacie śmierdzący, ale wolni — tłumaczył Patryk, jakby niezbyt rozumiejąc sytuację.

— Zmiana planów, Patrysiu... — powiedział Olek Broniewski, mierząc do niego, a jego brat rozkuł Morwina i podał mu broń.

— My idziemy własną drogą, klawiszu — powiedział Marek, przytykając Patrykowi lufę pistoletu do czoła.

Ten przełknął ślinę, zdając sobie sprawę, że sytuacja wymknęła mu się spod kontroli...

Odcinek 15.

MAREK MORWIN

10 marca 2004 — godzina 10:00 — Wronki (początek w zakładzie karnym)

Brama wejściowa więzienia we Wronkach rozsunęła się leniwie. Marek Morwin raz jeszcze obejrzał się za siebie. Spędził tu praktycznie całe lata 90. Właściwie to jedna trzecia jego życia. Tyle lat marzył o tej chwili. A teraz, gdy nadeszła, gdy wychodzi na wolność, to boi się wyjść. Przepętnia go strach, że za chwilę znów obudzi się na twardej więziennej pryczy. Okaze się, że znów śnił o wolności. W końcu jednak ruszył odważnie, nie oglądając się już za siebie. Nikt go nie żegnał i nikt też nie powitał. Znów stanął, ale tym razem luźniej, swobodniej. Zamknął oczy i po prostu oddychał. Oddychał wolnym powietrzem. Po raz pierwszy od 10 lat poczuł powiew wolności...

Maszerował z małą walizeczką, w której miał cały swój dobytek. Starą pomiętą książkę, warcaby, szczoteczkę do zębów, starą koszulkę Pogoni Szczecin, którą wygrał w karty. Jednak szczególne miejsce zajmowało w jego walizeczce kilka zdjęć i mnóstwo listów. Na zdjęciach była głównie jego córka i żona. Dwie ukochane kobiety, których nie widział niemal 10 lat. Gdy dotarł na dworzec PKP, wsiadł do pociągu kierunku Kędzierzyna-Koźła. Zajął miejsce na końcu wagonu w ostatnim składzie pociągu. Chciał siedzieć sam, nie czując wzroku innych ludzi. Nie miał ochoty na wytykanie palcami: „O kolejny kryminal opuścił więzienie. Żre za nasze podatki, a nic z nieroba nie będzie. Menel”. List od żony był tylko jeden. Napisała, że nie chce, by jej córka miała ojca złodzieja czy mordercę i że

się wyprowadzają. Dostał go 3 czerwca 1994 roku, pamiętał dokładnie. Wciąż jednak go trzymał. By skrócić sobie podróż, przeglądał listy. Pocieszał się tym, że przynajmniej Janek Kopacz o nim nie zapomniał. Pisał regularnie. Spojrzał raz jeszcze na list od niego, w którym znajdował się nowy adres zamieszkania jego żony i córki... Gdy dotarł na miejsce, Marysia Morwin otworzyła mu drzwi. Jego próby znalezienia choćby odrobiny radości w jej oczach były daremne. Doszukał się strachu.

— Cześć kochanie. Jest Ola? — zapytał.

— Nie ma i nie będzie! Skąd masz ten adres? Odejdź stąd. Wymazałyśmy cię z naszego życia, gdy dowiedziałam się, co robiłeś... ty ubeku! Przez takich, jak ty zginął mój ojciec... — wyrzucała ojcu marnotrawnemu Marysia.

— Kochanie... To nie tak... Przepraszałem cię już i zrobię to znów. Pozwól mi wejść i porozmawiać z córką — mówił błagalnym tonem.

— Nie ma jej... odejdź. Jak ty wyglądasz? Jak menel... nierób... Wiesz, jak ona sobie ciebie wyobraża? Pamięta cię ze zdjęć... Mówi, jaki to tata przystojny i wspaniały. Ale to przeszłość... Nie pozwolę, by była taka, jak ty... — mówiła Marysia pełnym wyrzutów tonem, po czym zatrzęsnęła drzwiami.

Po chwili, gdy wszystko w głowie mu się poukładało, zrozumiał swój błąd. Za wcześnie wrócił. Nie pasuje do ich świata... Wciąż tkwi za kratkami, choć na wolności. Postanowił coś zmienić.

Nocował w noclegowniach dla bezdomnych. Codziennie chodził szukać pracy. Wszędzie odmowa, gdy spoglądali w akta. „Karany”, „Kryminalista”, „Porażka resocjalizacyjna”. Wszędzie to samo.

Marek zaczął nawet chodzić na spotkania grupy wsparcia dla byłych więźniów. W końcu dzięki opiekunowi tej grupy znalazł pracę na kasie w supermarkecie. Wytrzymał tam jednak tylko kilka dni. Wyleciał z pracy, gdy w końcu nie wytrzymał ciągłych pretensji kupujących i wyzwisk. Pobił

jakiegoś wykładowcę historii. Nie złożył skargi, ale jako znany i częsty klient zażądał zwolnienia Morwina...

Tak mijały kolejne dni. Znowu spędzane na bezsensownej tułaczce. W tajemnicy przed żoną, dzięki listom Janka Kopacza, kontaktował się ze swoją córką Olą.

Udało mu się zdobyć kilka zdjęć. Chciał jednak zobaczyć ją na żywo. Po raz pierwszy...

Choć wiedział, że to może być tylko kilka chwil, to znaczyło to dla niego niemal tak wiele, jakby widywał się z córką godzinami.

12 maja 2004 roku, Morwin zdał sobie sprawę, że jego kontakt z córką to był błąd.

„Byłeś głupi! Co narobiłeś!? Byłeś nieostrożny, to może je kosztować życie” — wyrzucał sobie po tym, jak w końcu się z Olą zobaczył i wkrótce po tym spotkaniu skontaktował się z nim dawny agent SB, Grzegorz Hanik, wciąż pracujący dla Edwarda Krzywdy. Krzywda był przecież także dawnym zwierzchnikiem Marka. Hanik zaproponował mu zadanie związane z „dawnymi talentami i przeszłą działalnością”.

Morwin na początku odmówił. Jednak gdy wieczorem po bójce z jednym z bezdomnych został wyrzucony z noclegowni, postanowił skontaktować się ze swym zleceniodawcą... Niemal natychmiast przyjechał po niego Hanik i zabrał do siedziby Edwarda Krzywdy. Tam, przy obfitej kolacji, jakiej Marek od bardzo dawna nie zaznał, zostało mu wytłumaczone dlaczego Morwin jest mu potrzebny...

— Jak to nie chcesz się? Jakby to była dla ciebie nowość... Spójrz na siebie. Nie pasujesz tutaj... Żona nie chce cię widzieć, nie dopuszcza do córki... To się zmieni po tej pracy... W skrócie masz zabić Agatę Patycką i postępować zgodnie z planem. Wtedy ty sporo zarobisz, wrócisz do łask żony, będziesz żył jak człowiek... — przekonywał go Edward Krzywda

— Nie, dawno już obiecałem sobie, że więcej nic dla ciebie nie zrobię
— kategorięcznie stwierdził Marek.

— Ale jednak przybyłeś... Ciągnie wilka do lasu... A ja oferuję pomoc
— odparł Krzywda, a Marek zamilkł.

Po chwili jednak zapytał z wyrzutem:

— Taaak? A gdzie byłeś, gdy siedziałem we Wronkach?! Gdzie była twoja pomoc?!

— Zapominasz chyba, że to w domu Zenona Burczyka cię złapano i że to on zeznawał przeciwko tobie... Zarzucił ci próbę morderstwa, kradzież, napad z bronią w ręku i kilka innych zmyślonych zarzutów! To przez niego siedziałeś, a ja daję ci okazję do zemsty!!! — wykrzyczał Edward.

Morwin siedział chwilę zamyślony, stwierdzając, że jednak Krzywda chyba może mieć rację.

— No, dobrze, tłumacz, o co chodzi... — wydukał w końcu.

Słowa te ciężko przechodziły mu przez gardło, bo Marek sam ze sobą staczał wewnętrzną walkę. Z jednej strony jako były agent SB chciał olać Krzywdę i jego brudne zadania, bo jako zwyczajny człowiek pragnął powrotu do normalności. Z drugiej strony zemsta na Zenonie Burczyku za 10 lat więzienia, utratę córki i żony była kuszącą propozycją, bez której jak sądził, nie mógł powrócić do przeciętnego bytu i wymazania przeszłości.

— Sprawa jest prosta — 25 tysięcy złotych przed robotą, 25 tysięcy po. Na wybrane przez ciebie konto. Zabijasz Agatę Patycką i znajdziesz pewne zdjęcia, taśmy, aparaty. Oddasz to mi. Następnie przyznajesz się do winy i zeznajesz, że to Zenon Burczyk nakazał ci ją zabić. Zajmiemy się dowodami, a to w połączeniu z zeznaniami twoimi i np. Hanika wsadzi go za kratki. Dostaniesz z osiem lat, za to gdy wyjdiesz będziesz bogaty, a ja będę już po prezydenturze. Wciąż jednak w rządzie. Pomogę ci, no i

zadbam, by twoja córka i żona wiedziały, co dla nich zrobiłeś... — tłumaczył Krzywda.

— Chyba ci odbiło! Mam zabić i trafić do paki znów?! Sam sobie łaskę zadżgaj! — zagrzmiał Marek.

Po czym chciał już wyjść, ale zatrzymał się na dźwięk głosu Krzywdy, jakby wyjętego ze starych czasów:

— Stój! Jeśli nie zrobisz tego ty, to zrobi to ktoś inny. Wtedy i tak twoja córka i żona zostaną zabite!!! Proponuję ci to, bo cię znam i mam do ciebie sentyment. Kto cię chłopie przygarnął, gdy kiedyś nie miałeś co jeść i żarłeś ze śmietnika? Ja! Jesteś mi coś winien! — krzyczał wściekły Edward Krzywda.

Marek Morwin stał obrócony do niego plecami. Chwila jego wyboru wydawała się dłużyć w wieczność. Oczami wyobraźni zobaczył konsekwencje podjęcia się tej pracy i odmowy.

„Nie pasuję tu... Nie czuję się wolny... Przeze mnie Krzywda wie, gdzie mieszka moja córka i żona... To ja naraziłem je na tę sytuację. To moja wina. Nie mogą umrzeć przeze mnie... Jak zabiję obcą mi osobę, to przeżyją osoby mi bliskie. Proste, no i niestety skuteczne”. — Takie myśli kołatały się w jego głowie.

— Zgadzam się. Kiedy mam to zrobić? — wydusił w końcu Marek, zdając sobie sprawę, że nie ma już odwrotu od ciemnej ścieżki, którą kroczył...

13 maja 2004 roku, o godzinie 22.00 czekał już pod domem Agaty Patyckiej w Leszczynach pod Rybnikiem...

Odcinek 16.

30 marca 2006 — (DZIEŃ UCIECZKI) — ZAKŁAD KARNY W RACIBORZU

W pokoju ochrony siedziało trzech strażników. Wszyscy wyglądali na znudzonych swoją pracą.

— Cholerny skąpiec ten naczelnik — stwierdził Rafał.

— Co? — zapytał Kamil, przełykając potajemnie kolejny łyk piwa.

— Naczelnik. Nie ma monitoringu w izbie chorych. Że niby przepisy zabraniają podglądania chorych.

— No i co? Masz ochotę oglądać jak doktor Łebik bada te owłosione zady? — zapytał Łukasz.

— Nie, typie, ale widziałeś tę dziennikarę? Dziś tam wywiad robi. Fajna dupa ci powiem — stwierdził Rafał, najniższy ze strażników.

— Eeee tam. Ja tam wolę okrągłejsze, żeby było za co złapać — mówił rozmarzony Łukasz, wpatrując się w jeden z monitorów

—Taa... twoją to najlepiej za wąsy złapać... Ha, ha... — dorzucił Kamil, popijając po kryjomu piwko.

— Gdybym nie był z nią od 25 lat, to bym ci przyłożył. Ale wiesz co, ty nie potrzebujesz kobiety. Przy twoich rozmiarach dasz radę zabawić się z szyjką od butelki — odparł Łukasz.

— Taa? A twoja... — (tu Kamil przerwał, bo mu się odbiło) — twoja stara ma łupież na wąsach.

— Phi... Twoja stara ma na imię Gerard — odparł Łukasz.

Dyskusję przerwało jednak pukanie. Kamil spanikowany schował piwo, Rafał wstał i poszedł otworzyć drzwi, gdy zobaczył znajomą twarz.

— Siema Patry... a ty co tu ro...?

Tylko tyle zdążył powiedzieć Rafał, nim zza pleców Patryka Kowala wyskoczył Marek Morwin i jednym ciosem w nos powalił Rafała na podłogę. Po czym na równie zaskoczonych pozostałych strażników napadli bracia Broniewscy, także szybko ich obezwładniając.

— Związać ich i zakneblować tych dwóch. Trzecim sam się zajmę — powiedział Morwin, po czym zdjął ubranie z nieprzytomnego Łukasza i przebrał się w ciuchy strażnika, podczas gdy bracia Broniewscy wiązali pozostałych.

— No Patryś... tak jak mówiłem, zrobimy małą dywersję. Do roboty — zwrócił się Morwin do Patryka.

— Raz jeszcze powiem ci, że cię porąbało. Ja nie wiem, jak to zrobić! — odparł Patryk.

— Patryś, nie drażnij mnie. Doskonale wiem, że umiesz. Pracowałeś tu, zanim zacząłeś po kiciu śmigać z listami. Dlatego znają cię ci klawisze tutaj, no i też pewnie dlatego wiedziałeś, że monitoringu nie ma ani u mnie w celi, ani w izbie chorych... Mogę się mylić, ale... wtedy nie będziesz nam już potrzebny. To jak? Mylę się czy nie? — naciskał Morwin na Patryka, po czym wymierzył w jego głowę z pistoletu.

— Wszystkich?! Czy ty wiesz, kto tam siedzi?! — mówił Patryk, próbując odwieść Morwina od jego pomysłu, a ten skinął głową potwierdzając rozkaz.

Patryk Kowal stanął na chwilę, by ogarnąć całą elektronikę. Gdy minęły trzy minuty, przypomniał sobie co i jak. Po naciśnięciu kilku przycisków i wpisaniu kodu dostępu miał nastąpić totalny chaos.

Gdy Patryk wcisnął „enter” w całym więzieniu zaczęły się otwierać wszystkie cele, bez wyjątku...

— No i widzisz... mój plan jest lepszy. Ale masz coś jeszcze do zrobienia — stwierdził Morwin, zwracając się do przerażonego sytuacją Patryka Kowala.

W całutkim więzieniu pootwierało się niemal wszystko. Przejścia i drzwi z zamkami elektronicznymi oraz dwie bramy wjazdowe do więzienia. Teraz nic nie trzymało już więźniów i nic nie zagrażało im drogi do miasta. Z początku zaskoczeni więźniowie, w końcu zdali sobie sprawę, że to niepowtarzalna okazja do ucieczki.

Nagle zapanował totalny chaos. Grupa około trzydziestu więźniów, przebywających na spacerunku wybiegła w miasto, pustosząc wszystko, co napotkała po drodze. Ludzie, widząc masową ucieczkę z więzienia, także uciekali w popłochu. Strażnicy strzelali z wież do hasających wszędzie więźniów, starając się zapanować nad chaosem. Nie mogli strzelać zbyt pochopnie, ponieważ przeszkadzała im obecność cywilów. Natychmiast zadzwonili po policję. Więźniowie wewnątrz budynku starali się opanować więzienie. Niewielka grupka próbowała dostać się do sali chorych, gdzie przebywali związani zakładnicy z dziennikarką i naczelnikiem na czele. Kilku strażników natychmiast przepłoszyło więźniów za pomocą broni palnej. Gdy upokorzony naczelnik został wreszcie uwolniony i gdy doniesiono mu, co się dzieje, był wściekły jak nigdy przedtem.

— Dorwać mi ich tu! Wysłać samochody! Natychmiast! Nim się rozejdą w miasto! Dorwać Morwina i Broniewskich!!! — ryczał jak lew naczelnik Pasikonik, kipiąc wręcz złością.

Natomiast dopiero co uwolniona reporterka, Ela Wierzba, nie traciła czasu. Nakazała kamerzyście uruchomienie sprzętu i przystąpiła do realizowania sensacyjnego materiału o urzędniku idiocie i totalnym chaosie w jego więzieniu.

„Materiał na Pulitzera” — pomyślała.

Po kilku minutach, strażnicy z naczelnikiem na czele w końcu dotarli do pokoju ochrony. Stamtąd udało się znów zamknąć bramy wjazdowe i cele.

Następnie wezwane wojsko z pomocą strażników stopniowo opanowywało więzienny chaos.

Tymczasem po opanowaniu bałaganu na spacerniku i w okolicach muru znów otworzyła się brama wjazdowa. Wyjechały przez nią cztery radiowozy więzienne. Zgodnie z rozkazem naczelnika miały one odnaleźć i sprowadzić więźniów, którym udało się zbiec w miasto. Po kilku minutach jazdy kolumną niespodziewanie ostatni z radiowozów wyłączył sygnalizację na dachu i niespostrzeżenie skręcił w inną ulicę niż reszta.

Auto prowadził Patryk Kowal, a obok niego i za nim na tylnych siedzeniach skakało z radości trzech więźniów.

— Mówiłem ci Patryś, że ja mam lepszy plan. — odezwał się Marek Morwin, siedzący za Patrykiem.

— Noo... Marek... Nie sądziłem, że nam się uda. Tępe klawisze i ten ssak naczelnik. — Triumfował siedzący obok Morwina Olek Broniewski

Po kilkunastu minutach jazdy podążali już jakąś polną drogą. Dookoła nie było widać żadnego domu.

— Morwin, co z naszą umową? — zapytał zniecierpliwiony Krzysztof Broniewski.

— Morwin? A co z naszą umową? Janek Kopacz, zdjęcia?! — także pytał zaskoczony Patryk.

— Umowa z braćmi, umowa z tobą Patryś... W dupie mam wasze umowy. Ja mam umowę ze sobą — powiedział dziwnym tonem Marek Morwin.

Po czym strzelił w nogę siedzącego obok niego Olka Broniewskiego i zabrał mu broń, wykorzystując szok, a następnie uderzył go kolbą. Ranny stracił przytomność po nokaucie. Następnie drugi z braci chciał strzelić do

Morwina, ale zanim Krzysztof Broniewski sięgnął po pistolet, już sam miał lufę innej broni przy głowie. Spóźnił się, a ktoś wyprzedził jego pomysł.

— Nie kozacz i mi oddaj mi go. Im dłużej będziemy to odwlekali, tym więcej krwi straci twój brat. Czas ucieka. — powiedział Morwin do Broniewskiego, a ten oddał mu pistolet.

— Patryś, zatrzymaj się i wyjazd z wozu. Natychmiast albo rozwalę mu łeb. — Tym razem Marek zwrócił się do Patryka.

— Wal się. Nie obchodzi mnie ten ćpun — odparł Patryk wciąż prowadząc samochód.

— Dobra. Co dwie głowy to nie jedna — powiedział Morwin, po czym wyjął drugim pistoletem wymierzył w Patryka.

— Zapomniałeś o naszej umowie?! Mieliśmy pograć Krzywdę. Te zdjęcia! One go zniszczą. Sam mówiłeś... — Patryk próbował przekonać Morwina, czemu przysłuchiwał się Krzysztof Broniewski.

— Ja wiele rzeczy gadałem... Patryś, nie rozumiesz, że jesteśmy na to za malutcy? Chcesz udupić prezydenta?! To zbyt gruba ryba, a ja mam ważniejsze rzeczy na głowie. Zatrzymaj się do cholery! — krzyknął Marek, ale Patryk pozostawał na to głuchy i jechał dalej.

— Będziesz musiał mnie zabić — stwierdził niewzruszony.

— Oj Krzysiu, twój braciszek krwawi coraz obficie. Zrób coś z tym albo zostaniesz jedynakiem — powiedział Morwin do Krzysztofa.

Auto zatrzymało się nagle, gdy Krzysiek Broniewski zaciągnął hamulec ręczny. Głowy Patryka i Krzyśka uderzyły o tapicerkę. Byli lekko otumanieni, gdy Morwin wyciągał najpierw ich, a potem wytarł z samochodu drugiego z braci B. Wrócił do auta, rzucając apteczkę Broniewskiemu, co według niego miało być ponurym żartem i ruszył z piskiem opon, zostawiając ich w polu.

Odcinek 17.

**1 kwietnia 2006 — godzina 11:06 — Dom Marysi Zamkowskiej —
NĘDZA (woj. śląskie)**

Ola Zamkowska siedząc przy biurku kończyła pisanie kolejnego listu do ojca. Podpisano: JANEK KOPACZ.

Po czym, tak jak to miała w zwyczaju, schowała list do pamiętnika. Następnie po kryjomu przed matką wysłała zaszyfrowany list do taty z podpisem JANEK KOPACZ. Natomiast Marysia, jej matka, sprzątała dom. Ale nagle przerwała, gdyż jej uwagę przykuł telewizyjny reportaż z sensacyjnej ucieczki więźniów w Raciborzu. Na chwilę zamarła przerażona, jednak szybko się otrząsnęła i pobiegła po córkę, nakazując jej by natychmiast się spakowała.

Niewiele czasu zajęło im zebranie najpotrzebniejszych rzeczy. Gdy stały już przy drzwiach, gotowe do wyjścia trzymając bagaże w ręce, do domu wszedł wysoki, silny mężczyzna o niepokojącym spojrzeniu.

— Nerozsądnie zostawiać drzwi otwarte — powiedział, zamykając je za sobą

Pewien czas później...

— Wróciłem...— powiedział Morwin do żony, ale ta nie odwzajemniła uśmiechu. Stała zszokowana i przestraszona, a po chwili wykrzyczała:

— Marek! Ty idioto! Nie powinieneś tutaj przychodzić!

— Oczekiwałem miłszego powi... — zaczął Marek i nie dokończył, bo Grzegorz Hanik, jego dawny kolega z czasów służby w SB, uderzył go patelnią w tył głowy.

Morwin padł na ziemię otumaniony.

— No Mareczku, nie sądziłem, że będziesz aż tak głupi... Pan Krzywda oczekuje zdjęć i twojej głowy. Nad łebkiem żonki i córki się zastanowimy. Zaraz będziesz śpiewał. Zapewniam — powiedział Hanik, wiążąc ciało Morwina.

Po czym zrobił to samo z jego zszokowaną żoną, która nie miała sił ani ochoty by uciekać. Nie mogła tak zostawić córki i jej ojca...

Odcinek 18.

PATRYK KOWAL

30 marca 2006 — godzina 20. 35 — peryferie RACIBORZA

— Cholera jasna! — klął Patryk Kowal, wściekle kopiąc w pobliskie kamyki.

Wkurzony był sam na siebie i jeszcze się sam tą złością nakręcał, bo dał się tak wyrolować Morwinowi.

— Krzysiek, weź to ze mnie wyjmij! — lamentował Olek Broniewski, uciskając krwawiące miejsce na nodze.

— Co, Hausa się naoglądałeś? Jak mam ci to wyjąć?! — krzyczał spanikowany Krzysztof Broniewski.

Natomiast Patryk uspokoił się nieco i na trzeźwo ocenił sytuację.

Korzystając z apteczki zabrał się za opatrywanie rany Olka.

— A ty co? Doktor Quinn? — zapytał zdziwiony Krzysztof.

— Studiowałem fizjoterapię, umiem co nieco... — odparł Kowal.

— No popatrz Olek, ty to masz farta. Nie dość, że Morwin strzela ci tylko w nogę, to jeszcze mamy tu lekarza — stwierdził Krzysiek.

— Aaaa! Kurwa! Musimy dorwać tego gnoja. Odplacę mu! — wykrzyczał Olek, gdy Kowal wyjmował mu kulę z nogi.

— Na szczęście nie weszła głęboko. Obandażuję cię i będziesz jak nowy.

— Czuję, że Morwin dokładnie wiedział, gdzie strzela. Gdyby mnie zabił, to nie siedziałbym tutaj, a mój braciszek już by mu się wgryzał w tyłek — powiedział Olek z grymasem bólu na twarzy.

Patryk wiedział, że mimowolnie musi współpracować z dwoma uciekinierami.

Rozejrzał się po okolicy i po chwili coś dostrzegł.

— Broniewscy, patrzcie! — wypalił Patryk, widząc jakieś domy w odległości kilkuset metrów. Pokazał palcem pobliskie gospodarstwo, po czym wszyscy trzej udali się we wskazanym kierunku.

Gdy po kilkunastu minutach dotarli na miejsce, zobaczyli skromny domek o płaskim dachu i stodołę nieopodal. Zewsząd niosły się głosy ptactwa i zwierzyny domowej wszelkiego rodzaju. Przyłgnęli do ścian i szli ostrożnie, badając teren wzrokiem. Nie było widać żywej duszy, słyszeli tylko szczekanie i warczenie psa. Na szczęście dla Patryka i Broniewskich wielki mieszaniec z owczarka niemieckiego był przykuty do budy łańcuchem, z którego szaleńczo ujadając, próbował się zerwać.

Patryk otworzył skrzypiące drzwi stodoły, po czym wszyscy przekroczyli jej próg. Stał tu bardzo zadbany duży traktor Ursus 200, z przyczepą wypełnioną słomą.

— No, to jedziemy panowie! — krzyknął radośnie Olek i usadowił się za kierownicą pojazdu.

— Co wam jest? — zapytał zdziwiony Olek, widząc miny Patryka i Krzyśka i ich podniesione do góry ręce.

— Nie ruszać się pieruny, bo wam ze złodziejskich życi durszlaki porobia! — krzyczał staruszek z siwą brodą, mierząc ze starej strzelby do Krzyśka i Patryka, a Olek padł na kierownicę zrezygnowany.

Wtedy do stodoły weszła jakaś babcia, żona staruszka.

— Łobiod, Roman! Twojo ulubiono rolada i modro kapucha — wołała, zbliżając się do wejścia.

Dziadek nie zdążył nic krzyknąć. Patryk chwycił babcię, gdy ta tylko przestąpiła próg stodoły.

Olek zeskoczył na staruszkę i odebrał mu strzelbę.

— Jadźka... Ty durno baba zawsze bydziesz — stwierdził dziadek, kiwając głową z niedowierzaniem.

Następnie wszyscy przenieśli się do domu.

— Sami tu mieszkacie? — zapytał Krzysztof.

— Tak, tak... ale synek jest w szkole. Nie róbcie nam nic, proszę — płątała się w odpowiedziach zapłakana babcia, co tylko irytowało Olka trzymającego strzelbę.

— Panowie! Za daleko to my tym traktorem nie uciekniemy — stwierdził Patryk.

— Ale my nie mamy auta. Bierzta, co chce ta... Nas zostawta — prosił staruszek.

— Daleko stąd do szpitala? — zapytał Olek staruszka.

— Jakies pięć minut — odparł dziadek.

Po chwili namysłu Olek przekazał bratu strzelbę, a sam poszedł do kuchni.

— Czy on musi żreć w takiej chwili?! — zapytał Patryk Krzysztofa, ale ten tylko wzruszył ramionami

Po chwili Olek wrócił z kuchni z kamienną miną i tasakiem w dłoni. Podeszedł do dziadka, wyciągnął jego rękę na blat stołu i bez wahania odciął najmniejszy palec u lewej dłoni. Dziadek zawył z bólu, a babcia zaczęła płakać i lamentować.

— Odbiło ci świrusie już kompletnie?! — krzyknął zaskoczony Patryk i chciał podbiec do Olka, ale zatrzymał się, bo Krzysztof wymierzył w niego strzelbą. Olek natomiast podeszedł do staruszki.

— Babciu nie rycz. Dzwoń teraz na pogotowie. Jeśli nie przyjadą w ciągu dziesięciu minut, to będzie dość niesymetryczny — powiedział Olek do babci, wręczając jej słuchawkę telefonu stacjonarnego.

Zdenerwowana nie była w stanie trzęsącą się z przerażenia ręką wystukać numeru pogotowia.

Olek znów podszedł szybkim krokiem do dziadka i wkurzony chwycił jego drugą dłoń i podniósł tasak do góry.

— No dzwoń, głupia babo! — krzyknął niespodziewanie dziadek. Patryk pomógł babci wykręcić numer, a babcia podała adres i powiedziała, że jej mąż odciął sobie palec i potrzebna natychmiastowa pomoc. Karetka miała dotrzeć w ciągu piętnastu minut. Olek nie odciął już nic dziadkowi, tylko go odepchnął. Staruszek wpadł w ramiona zapłakanej żony, trzymając swoją lewą dłoń, gdzie jeszcze niedawno znajdowało się pięć palców.

Niespodziewanie Olek uderzył Patryka w tył głowy. Ten zaskoczony padł na ziemię, chwytając się za obolałe miejsce. Gdy się obrócił, spojrzał gniewnie na Olka Broniewskiego, który już mierzył do niego ze strzelby.

— Co ty odwalasz?! — zapytał Patryk.

— Masz nas za idiotów? Myślisz, że będziemy cię tarmosić ze sobą bez wyjaśnień?! Skończyło się brykanie, Patryś! — powiedział Olek.

— Jakich wyjaśnień? Po co ty wezwałeś to pogotowie? Zaraz tu będą i wezwą policję idioto! — mówił Patryk.

— Nie panikuj Patryś. Pamiętasz, że nam pomogłeś w ucieczce? Teraz pomogłeś w trzymaniu zakładników... napaści... Policja sobie z tobą pogada. My pozbędziemy się ciebie i zyskamy na czasie. Chyba, że... — powiedział Olek, po czym przerwał.

— Chyba że co?! — zapytał Patryk.

— Chyba, że nam wszystko wyśpiewasz. Dlaczego tak potrzebny był ci Marek Morwin na wolności? Wiemy, że nie uwolniłeś go dla sportu — odparł Krzysztof Broniewski.

— Yy... on... my... był mi winien pieniądze i... no sporą sumę... — zmyślał Patryk, gdy nagle tuż obok jego głowy pękł wazon trafiony ze strzelby, którą trzymał Olek.

— Nie wciskaj mi tych bredni! Morwin coś chlapnął już nam o jakichś dużo wartych materiałach. Na znaną osobę. Gadaj albo dziadek z babcią będą mieli wydatnie skrócony żywot przy mojej skromnej pomocy!!! — wydzierał się wściekły Olek.

— I co, zastrzelicie mnie tak po prostu, jeśli nic nie powiem? — zapytał retorycznie Patryk.

— Hmm... biorę to pod uwagę. Jesteśmy zbiegłymi skazańcami, a nie przedszkolakami na wycieczce z niemiłą wychowawczynią na muszce — odparł Olek.

Czas mijał, a Patryk musiał szybko znaleźć wyjście z tej niezbyt komfortowej sytuacji — albo umrze on i para niewinnych staruszków. Najgorsza była jednak dla niego świadomość tego, że nie zemści się na Morwinie za śmierć Agaty.

Odcinek 19.

PATRYK KOWAL

30 marca 2006 — godzina 22:00 — Dom na peryferiach RACIBORZA

Patryk Kowal streszczał tutaj historię swego planu zemsty na Morwinie i Edwardzie Krzywdzie.

— Że niby prezydent zlecił zabić mu twoją laskę, bo coś tam miała? Fotki czy coś...

— Ładna bajeczka, wiesz... — mówił Olek Broniewski z uśmiechem politowania, po tym jak Patryk opowiedział braciom swoje powody, dla których zatrudnił się jako strażnik i po co wyciągnął ich z raciborskiego więzienia.

— Nie masz zasranego pojęcia, jak bardzo chciałbym, aby to była bajeczka... — odparł Patryk.

— Wali mnie twoja laska... i bardzo chciałbym, by to nie była przenośnia... No, ale ja i pan dwururka nie mamy czasu i ochoty na twoje bajeczki o prezydencie... Głosowałbym na niego — powiedział Olek, po czym wymierzył strzelbą między oczy Patryka.

— Olek... A jeśli koleś nie łże? Czekaj chwilę... — zwrócił się Krzysztof do brata.

— Kłamie, łże, kręci wałki czy jednak mówi prawdę i serio mu odbiło z wymyśleniem tak durnego planu, to szczerze mam to w dupie... Nam nic to nie daje. Pozdrów laskę, Patryś — powiedział Olek.

— Stój! Mam dla was propozycję! — wykrzyczał Patryk z zamkniętymi oczami, znamionującymi częściowe pogodzenie z losem.

— Wybacz, ale nie jesteś w moim typie... — odparł Olek.

Gdy miał już wystrzelić, powstrzymał go brat.

— Słuchaj, zawsze to ja muszę być tym mądrzejszym z rodzeństwa? Niech się wysłowi chociaż — przekonywał Krzysiek.

— Przysięgam, że to, co mówię, to prawda. Nawet jeśli nie wierzycie, to przecież Morwin w więzieniu dźgnął twojego brata, potem do niego strzelił i zostawił nas tutaj wszystkich, by nas dorwali. Mamy z nim rachunki do wyrównania — mówił Patryk do obu braci.

— Hmm... zemstyjka, mówisz... I tak go dorwiemy, ale po co ty nam? — zapytał Olek.

— Tylko ze mną możecie go odnaleźć. Jesteście ścigani, nie przydałaby się wam kasa na nowy start? — Patryk kontynuował przekonywanie braci.

— Kasiora? Wybacz, Patryś, ale nie sądzę, by pensyjka klawisza powaliła mnie na kolana — odparł Krzysiek.

— Pamiętacie te materiały, przez które zabili moją dziewczynę? We trzech dorwiemy Morwina. Ja biorę jego, wy bierzecie materiały... Sądzę, że prezydent sporo za nie zapłaci — mówił Patryk.

— Ta... brzmi ciekawie... A co, jeśli nie będzie miał tych zdjęć? — zapytał Krzysiek.

— Ręczę własną głową. Jeśli zabijecie mnie tu, nie zyskacie nic. Po znalezieniu naszego Marka, to też możecie mnie przecież załatwić. Jego też, no i macie możliwość zarobienia sporej kasy. — Ten ostatni argument najwidoczniej przekonał obu braci.

— Dobra, umowa stoi — potwierdził Olek, a Krzysiek przytaknął.

W tej samej chwili karetka podjechała pod dom.

— No babuniu... Idziesz po panów doktorów i tu ich grzecznie wprowadzasz. Jakaś głupotka i zostajesz moherową wdówką. Jasne? — rozkazał Olek, a staruszka skinęła głową, po czym wyszła z domu.

Bracia Broniewscy zaczęli się przy drzwiach. Po chwili weszła staruszka, a za nią szybkim krokiem weszło dwóch ratowników medycznych. Bracia Broniewscy z zaskoczenia zaatakowali obu, skutecznie ich obezwładniając.

— Gdzie trzeci? — zapytał Olek jednego z ratowników.

— W karetce. To kierowca — odparł ratownik skutecznie przekonany strzelbą, którą Olek wymachiwał mu przed oczami.

Krzysiek i Patryk wyszli tylnymi drzwiami i zakradli się od tyłu do karetki. Patryk odwrócił uwagę kierowcy w dosyć improwizowany sposób. Stał przed maską i zaczął tańczyć. Zdziwiony kierowca oderwał się od czytania gazety. Wyszedł z karetki i zapytał:

— Dobrze masz pod kopułą człowieka?

Wtedy Krzysztof Broniewski zaatakował go z tyłu. Jednak kierowca był wyższy i silniejszy niż lekarze, więc tanio skóry nie chciał sprzedać. Zaczął się bić z Krzysztofem i obaj tarzali się po ziemi.

— Pomóż mi! — wołał Krzysiek

— Mnie pomóż! — wołał kierowca.

Patryk wszedł do karetki i znalazł strzykawkę ze środkiem usypiającym. Wstrzyknął jedną kierowcy, ale nie zadziałała. To samo zrobił więc z drugą. Wielkie, nieruchome już ciało kierowcy padło na ziemię. Nim Krzysiek zdążył podziękować, Patryk już go uderzył, nokautując Krzysztofa Broniewskiego, który oprzytomniawszy po chwili otumanienia, zaczął się wydzierać wniebogłosy, wołając swojego brata. Wyglądało to tak, jakby ktoś pobił Krzysia w piaskownicy, a on chciał się poskarżyć braciszкови...

Patryk zabrał kluczyki kierowcy i szybko wsiadł do karetki. Właśnie odjeżdżał, gdy z domu wybiegł Olek Broniewski. Gdy Olek zobaczył, co się stało, wystrzelił kilka razy w kierunku karetki, ale była już za daleko, by mogły ją dosięgnąć pociski.

Patryk po kilku minutach wystukał nr 997 na telefonie w karetce. Na miejsce, z którego właśnie odjechał, wezwał policję. Anonimowy donos o napaści i prawdopodobnym pobycie dwójki uciekinierów na pewno skutecznie przyspieszy przyjazd policji. Tymczasem on już będzie daleko, a pozostawionych bez możliwości ucieczki braci Broniewskich ma z głowy. Teraz kolej na Marka Morwina...

Odcinek 20.

BRACIA BRONIEWSKY

1 kwietnia 2006 — godzina 13:05 — RACIBÓRZ

Bracia Olek i Krzysiek Broniewscy zmienili nieco wygląd. Nie byli już ubrani w więzienne ciuchy, które natychmiast zaalarmowałyby przechodniów. Mieli przyczepione sztuczne wąsy i założyli ciemne okulary. Ukradli je w sklepie, a ciuchy mieli typowo „wsiowe”.

— Że też musieliśmy ukraść gacie i wieśniacze flanelowe koszule jakiemuś dziadkowi... Wyglądam jak burak! — stwierdził Olek, spoglądając na swoje ciuchy.

— Zawsze byłeś burak, jakbyś się nie ubrał. Żeby nie te ciuchy, to dawno byś dzwonił w pace kajdankami — odparł Krzysztof.

— Wszystko przez Patryka. Zrobił nas w konia... Aż brak mi wyobraźni na to, co mu zrobię, jak go dorwę! — mówił do siebie Olek Broniewski, aż kipiąc złością.

— Wyluzuj. Udało nam się zwać, bo babka zeznała psiarni, żeśmy pojechali z tym trzecim.

— No mieliśmy fuksa... On tego fuksa mieć nie będzie... — cedził Olek słowa przez zaciśnięte zęby.

— To potem... Pamiętasz, co nam mówił? Ta jego historyjka o prezydencie i te de. Jak chcemy zwać, to potrzebna nam kasa — odparł Krzysztof.

— Wierzysz dalej w to? Niby jak chcesz to zrobić? Zadzwonisz do prezydenta i zapytasz, tak? — ironizował Olek, ale zamilkł, gdy Krzysztof wyciągnął skradziony telefon i egzemplarz „Tygodnika Sejmowego”. Był

tam numer kancelarii prezydenta Krzywdy. Prezydent chciał pokazać, że jest otwarty na prośby ludzi. — I co? Myślisz, że odbierze ci sto tysięcy telefonów? — drwił dalej Olek, nie wierząc w pomysł brata.

— Oczywiście, że to bujda. Ale na pewno wie, o co ludzie go proszą i tak dalej. On nie gada, tylko ma ludzi od tego. Chyba... powinni streścić mu naszą sprawę w jednym zdanku — wytłumaczył Krzysztof.

Po czym wykręcił numer na telefonie i po chwili, gdy odezwała się jakaś kobieta: „Proszę czekać. Tu kancelaria prezydenta Krzywdy”, powiedział:

— Laluniu, przekaż to panu Krzywdzie: mamy zdjęcia od pana Morwina. Oczekujemy trochę grosza za nie. Z tego co wiem, to regulamin przewiduje, że groźby telefoniczne to przestępstwo, więc ufam, że tak to potraktujesz i szybko Krzywdzie doniesiesz. On już niech myśli, co z tym zrobić. Niech dzwoni na ten numer, gdy się zastanowi. Nara! — wyłuszczył rzeczowo Krzysztof, nie dając dojść kobiecie do słowa.

Minęła prawie godzina, gdy telefon zaczął wibrować i wydawać dźwięki skocznej melodyjki.

— Witam serdecznie panie prezydencie. To dla mnie zaszczyt... — powiedział Krzysztof.

— Słuchaj, gnoju... Nie wiem, co to za żarty, ale CBS już znalazł twoje dane. Trzeba było dzwonić z zastrzeżonego panie Arturze Chrapaj — powiedział prezydent Krzywda do słuchawki.

— Spoko, spoko... Niech pana Artura Chrapaja łapią. Ja ten telefon mu ukradłem. Tymczasem przejdźmy do interesów. Wiem, co zrobił pan Agacie Patyckiej i mam dowody — tłumaczył spokojnie Krzysztof.

Nagle usłyszał odgłos rzucanego telefonu, który jednak nie roztrzaskał się, bo prezydent ponownie się odezwał:

— Ile chcesz, gnoju? — zapytała głowa państwa.

— Gnoju nie chcę nic. Chcę tylko drobne 500 tysięcy złotych. Zostawisz je we wskazanym przeze mnie miejscu i czasie. Odbiorę je, gdy upewnię się, że jest bezpiecznie. Nagrodę prześlemy pocztą. Zaraz dostaniesz SMS z koordynatami byś nie zapomniał. Myślę, że się rozumiemy? Narka! — powiedział Krzysztof i rozłączył się.

Następnie uzgodnił z bratem odpowiednie miejsce. Wskazał środek Raciborskiego Parku Krajobrazowego. Tam mają być zakopane pieniądze. Prezydent, nie mając wyboru, do wieczora zebrał potrzebne pieniądze i nakazał je tam zakopać. W miejscu oznaczonym wielkim białym znakiem „X” i dołączonym uśmiechem. Prezydent Krzywda oczywiście nie był sam. Kilku zaufanych ludzi z BOR-u pochowało się w terenie. Dwóch zakopało pieniądze schowane w worku w ziemi na wyznaczonej przez sms głębokości. Po chwili czekania prezydent udał, że się oddala. Następnie nakazał BOR-owcom dokładnie obserwować teren i zabić każdego, kto się zbliży do pieniędzy.

Nie znał jednak cwanego planu Broniewskich. Prezydent nie wiedział, że kilka metrów pod miejscem, gdzie kazano mu zakopać pieniądze znajdował się sufit starego pruskiego bunkra. Prezydent nie pomyślał, że do pieniędzy można się będzie dokopać od dołu. Toteż jego ludzie mogli obserwować teren bez końca i bez skutku. Olek Broniewski już wcześniej z bratem przebił się przez dach bunkra. Był stary, więc stracił już nieco na wytrzymałości. Było nad nim 5 metrów ziemi, pieniądze zostały zakopane na wysokości 2,5 metra. Olek Broniewski za pomocą starej łopaty, którą znalazł wcześniej w bunkrze, zrzucił dwa metry mokrej ziemi na podłogę z dziury w suficie. Po dłuższej chwili takiego dłubania wraz z ziemią spadł worek z pieniędzmi. Gdy nagle zapadła się ziemia, BOR-owcy zaniepokojeni zgłosili to prezydentowi.

— Nic nie róbcie. Obserwujcie dalej — odparła głowa państwa spokojnym tonem.

— Mam pieniądze! — krzyknął uśmiechnięty od ucha do ucha Olek Broniewski do brata, który znajdował się przy wylocie z tunelu kilkanaście metrów dalej.

— Nie krzycz i się nie jaraj, tylko chodź i wiejemy! — krzyknął nieco stłumionym głosem Krzysztof i puścił się biegiem.

Olek ruszył w stronę jasnego punktu na końcu tunelu, gdzie u wyjścia już czekał rozradowany brat. Jednak, gdy znalazł się już nieco bliżej światła, nie mógł już dłużej wytrzymać. Rozchylił worek, bo nigdy w życiu nie widział tylu pieniędzy. I nagle... jego uśmiech zniknął, bo w worku z pociętymi starymi gazetami zobaczył jakiś ładunek.

— Spierdalaj!!! — krzyknął Olek do brata.

Po czym ładunek umieszczony w worku uaktywnił się i wybuch rozerwał go na strzępy. Krzysztof o włos uniknął podmuchu ognia, uchylając się przed nim, czując gorąco tuż przy twarzy. Patrzył z niedowierzaniem w miejsce zawałonego wyjścia z bunkra, gdzie jeszcze niedawno widział żywego brata. Nagle ból przywrócił mu świadomość. Przeturlał się po ziemi, gasząc palący się rękaw. Oprzytomniał. Wiedział, że stracił człowieka, który był przy nim od narodzin. Jedyne człowieka, któremu ufał. Jedyne, którego kochał. Odwrócił się i rzucił do ucieczki, a łzy spływały mu po policzkach. Pierwsze łzy w jego życiu. Nie zatrzymywał się jednak. Biegł szybko jak nigdy. Chęć zemsty dodawała mu sił...

Odcinek 21.

MAREK MORWIN

31 marca 2006 r. — KĘDZIERZYN KOŹLE

Marek Morwin siedział na krześle ze związanymi nogami i rękami. Oczy miał zasłonięte czarną chustą. Desperacko wyęczał oczy, jakby chciał wzrokiem przebić się przez ciemny materiał. Zobaczyć coś poza głęboką czernią. Bezskutecznie.

Odgłos podłogi, skrzypiącej od kroków Grzegorza Hanika, docierał do uszu Morwina. Hanik był jedyną osobą, która chodziła w pomieszczeniu. Napawając się swą przewagą, przechadzał się między związaną i bezbronną rodziną Morwinów. Delektował się ich niepokojem, który wzmagał poziom strachu. Hanik to uwielbiał. Kochał kontrolę. Przypominały mu się czasy, gdy przesłuchiwał więźniów. W latach 80. uwielbiał torturować „zdrajców”, jak nazywał przeciwników Służby Bezpieczeństwa.

Córka Morwina i jego żona próbowały krzyczeć, ale zakneblowane usta skutecznie to uniemożliwiały. Obie kobiety były spętane tak mocno, że sznur wżynał się im w skórę na nadgarstkach. Siedziały koło siebie na kanapie, czując jak Hanik krąży wokół nich niczym sęp na padlinę...

— Pamiętasz, jak to wyciągaliśmy sekreciki od naszych więźniów? — odezwał się w końcu Hanik.

— Rozwiąż mnie gnoju, to powspominamy! — krzyknął wściekły Morwin, kierując swoje słowa w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał Hanik.

— Uuu... Niefajnie traktujesz gościa. Jaki przykład dajesz córce, hm? Tak się zwracać do kumpla z SB? Nie tego nas uczono. Nieładnie... — powiedział ze stoickim spokojem.

— SB to przeszłość. Ty torturowałeś ludzi, bo lubisz... ja, bo musiałem. Pedale... — powiedział Morwin, uśmiechając się szyderczo i wciąż obracając głowę za głosem Hanika, gdy ten nagle uderzył Marka w twarz. Uderzył tak potężnie i z gniewem, aż ten spadł z krzesła.

— Dawaj zdjęcia... albo zdechniesz! — krzyknął wściekły, kopiąc leżącego.

Marek pluł krwią.

— Tak, właśnie tak cię nazywali, cioto — mówił jakby nie odczuwał bólu, zadawanego przez Hanika.

Zeźlony Hanik szybkim płynnym ruchem wyciągnął mały, ząbkowany nóż i podsunął go do gardła Morwina, lekko przyciskając. Drugą ręką złapał go za kark i zbliżył swoją twarz do jego twarzy na odległość kilku centymetrów.

— Cuchniesz strachem Marek. Śmierdzisz. Nie wyprowadzisz mnie z równowagi. Nie takich jak ty przerabiałem. — Hanik wysyczał te słowa niczym wąż, po czym jeszcze mocniej przycisnął nóż do szyi Morwina.

Wtedy nastąpiło coś nieoczekiwanego. Hanik obdarował swą ofiarę siarczystym, długim, pocałunkiem prosto w usta. Dopiero po kilku sekundach oderwał swe szerokie wargi od wąskich ust Morwina, który natychmiast splunął z odrazą.

Następnie znów przystawił nóż do szyi Morwina i zbliżył swoje usta do jego uszu, by ponownie swym sykliwym, wężowym głosem wdzierać się do głowy ofiary:

— Uwielbiam smak strachu...

— Fuj, naprawdę jesteś popaprany — stwierdził Marek z grymasem niesmaku na twarzy.

— Cóż, ja to wiem. Ty to wiesz, ale twoja córka jeszcze nie. Hmm... Trzeba poszerzać horyzonty młodym ludziom. Może jej się spodoba, co? — powiedział Hanik, po czym odsunął się Morwina, zostawiając go wściekle wijącego się na podłodze.

Teraz to on stracił panowanie nad sobą, bezskutecznie próbując rozerwać sznur. Krzyczał i tarzał się jak oszalały. Nie potrafił się uwolnić, choćby nie wiem jak bardzo prężył mięśnie. Hanik podszedł do młodej Oli. Wyjął jej knebel z ust.

— Tato! Mamo! — natychmiast wykrzyczała śmiertelnie przerażona dziewczyna.

— Zostaw ją! Bo...! — wydierał się Morwin.

— Bo co? Zabijesz mnie? Nie wkurzaj się tak. Skąd wiesz, że twoja córka nie lubi starszych, co? Nie jesteś wzorowym ojcem, nie było cię gdy dorastała — mówił Hanik, po czym zaczął bawić się włosami, trzęsącej się ze strachu Oli.

Wąchał ją. Głaskał. Aż w końcu energicznie pociągnął, wrywając kilka włosów z głowy.

— Aaałaaa! Tato zrób coś! To boli! — krzyczała Ola Morwin, a jej oczy ponownie zalały się łzami.

— Zostaw ją! Dostaniesz zdjęcia, czubie... tylko je wypuść... — powiedział z rezygnacją Morwin.

— No popatrz, czy tak trudno wykazać nutkę woli współpracy? Zrobimy tak. Wypuszczam jedną, a ona podaje mi zdjęcia i materiały. Pójdę z nią po interesujące mnie rzeczy. Następnie znikam z tymi drobiazgami i nigdy się już nie spotykamy. Następnie osóбка, która była ze mną, wraca tutaj, rozwiązuje was i żyjecie długo i szczęśliwie. — zaproponował Hanik chłodnym, triumfalnym tonem.

— Nie zostawię żadnej z nich sam na sam z tobą. Weź mnie — odparł Marek.

— Taaa... Ty się chyba za dużo telewizji naoglądałeś. Znam twoje możliwości kochany. Jesteś kawał chłopca, a nie po to cię związałem, byś teraz mnie zdradził. Znacznie łatwiej jest prowadzić którąś z twoich dam.

— Wypuść obie! Wtedy dam ci zdjęcia! — próbował negocjować Morwin.

— No nie, co ty kupujesz sweter na bazarze? Ja jestem markowy sklep, nie ma targowania. Masz minutę na decyzję, która idzie ze mną. Nie zdecydujesz to zastrzelę obie.

— Czekaj! Przecież ja nie wiem gdzie...

— Tik, tak, tik, tak — przerwał Hanik, patrząc demonstracyjnie na swój zegarek.

— Moja żona. Wypuść ją — powiedział w końcu Morwin, a Hanik spokojnie rozwiązał kobiecie nogi i zdjął jej opaskę z oczu.

Gdy ją objął, zaczęła się rzucać i wić. Silne ramiona Hanika bez problemu jednak powstrzymywały Marysię. W końcu kopnęła go w krocze. Nie zobaczyła jednak wijącego się z bólu mężczyzny, lecz szyderczy uśmiech na jego twarzy.

— Za dużo telewizji. W filmach nigdy nie ubierają ochraniaczy na tę część ciała, a przecież wy, kobiety, zawsze kopiecie nas w jaja — powiedział Hanik, łapiąc Marysię za szyję, a uśmiech zniknął nagle z jego twarzy, ustępując miejsce wściekłemu spojrzeniu.

— Każ się jej uspokoić, zaczyna mnie drażnić.

Hanik szybkim ruchem zdjął opaskę z oczu Morwina, wciąż trzymając kobietę drugą ręką.

— Kochanie, proszę cię, wiem, że mnie słyszysz. Musisz być silna. Daj mu te zdjęcia. Dostanie to, czego chce i zostawi nas w spokoju — mówił Morwin, starając się by jego głos brzmiał najspokojniej jak to tylko możliwe.

Po chwili przestała się już więc, jak oszalała. Postanowiła dać Hanikowi to, po co przyszedł.

— No teraz to możemy rozmawiać. Żonusia da fotusie, co? — powiedział Hanik, uśmiechając się szeroko.

Pani Morwin błąkała się chwilę po pokoju, po czym zdając sobie sprawę, że nie ma wyboru. Odsunęła kanapę. Za nią znajdował się sejf. Wpisała kod i po chwili Grzegorz Hanik miał to, czego chciał.

— Co teraz z nami zrobisz? — zapytał Marek.

— Hmm... nie kłamałem, gdy mówiłem, że was wypuszczę... Jednak nie powiedziałem, że wyjdziecie stąd żywi — powiedział, po czym z uśmiechem wycelował w głowę pani Morwin.

Obserwował to bezradnie jej mąż. Gdy miał już pociągnąć za spust, coś Hanika zakłuło w karku. Poczuł paraliżujący ból, jednocześnie nie mógł wydobyć słowa. Była to strzykawka, której użył na nim Patryk Kowal. Padając Hanik wyciągnął strzykawkę z karku. Po kilku sekundach leżał już na ziemi nieruchomo.

Na twarzy pani Morwin zagościła radość, podbiegła do Oli i zaczęła ją rozwiązywać. Następnie rozwiązała i Marka.

W sercu Morwina ulga zagościła tylko na chwilę. Zdał sobie sprawę, że miejsce jednego człowieka, który chce mu zrobić krzywdę zajął inny. Niepokój zadomowił się natomiast na dobre na twarzach Morwinów, ponieważ Kowal wycelował w nich pistolet, który jeszcze przed chwilą trzymał w dłoni Hanik.

— Jak mnie znalazłeś?! — zapytał zdziwiony Marek, a Patryk pokazał mu mały ekranik z klawiaturą wielkości dłoni.

— GPS. Większość radiowozów ma teraz zamontowane coś takiego. Na wypadek kradzieży. To był taki mój plan B. Bo tobie chyba nie można ufać — wyjaśnił Patryk Kowal, po czym, wciąż celując w Morwina, wziął do ręki zdjęcia leżące obok ciała Hanika. Jego wzrok zatrzymał się na

dłużej na podpisie pod zdjęciem. Rozpoznał ręczne, staranne pismo Agaty Patyckiej.

„To dla ciebie Agatko” — powiedział w myślach Patryk i szybko powrócił do Morwina, mówiąc:

— Jednak miałaś rację. Nie kłamałaś. Nawet nie wiesz, jak długo czekałem na tę chwilę — powiedział Patryk, wodząc palcem po spuście pistoletu.

— To sprawa między tobą a mną. One nie mają z tym nic wspólnego — powiedział Marek i z rękami uniesionymi do góry powoli stanął przed Marysią i Olą.

— Nie krzywdź ich — dodał, zasłaniając obie przerażone kobiety.

— A może to je zabiję? Może to będzie lepsza zemsta niż posłanie tobie kulki? Poznałbyś smak cierpienia, wiedziałbyś, co ja czułem, kiedy Agata... — Patrykowi nie mogło przejść przez gardło zdanie „kiedy Agata zginęła, gdy ty ją zabiłeś”. Jakby nie chciał wciąż dopuścić do siebie myśli, że ma przed sobą mordercę swojej Agaty i nienarodzonego jeszcze dziecka.

Nareszcie miał to, czego chciał. Nie dość, że zdobył zdjęcia, dziedzictwo Agaty, ostatnią wolę swojej miłości, to jeszcze ma przed sobą jej bezbronnego oprawcę. Przerażonego. Czekającego na wyrok. Ten może być tylko jeden. Skazujący...

Może teraz zabić wszystkich, zemścić się. Ukarze wszystkich winnych śmierci Agaty Patyckiej.

Odcinek 22.

PATRYK KOWAL

Noc z 30 na 31 marca 2006 — KĘDZIERZYN-KOŹLE

Patryk Kowal rozkoszował się chwilą, na którą tyle pracował. Zemsta była w zasięgu ręki. Czekał na to wiele lat.

Teraz pocisk wystrzelony z jego broni miał wylądować w czaszce Marka Morwina. Pozbawić go życia i dopełnić zemsty.

— Pamiętasz? Tak, zabiłeś Agatę. Jeden strzał, jedna kula, jedna śmierć... — przypominał Patryk, delektując się chwilą triumfu.

— Niech pan go nie zabija... Widział pan zdjęcia? Wie pan, że zrobił to, by chronić mnie i naszą córkę. Błagam... — Marysia Morwin ze łzami w oczach chciała usprawiedliwić męża.

— Kochanie, on ma rację. Zasłużyłem na to — zwrócił się Morwin do małżonki. — Tylko przysięgnij, że nie zrobisz nic mojej żonie i córce. Wypuść je — prosił Morwin szczerze jak nigdy.

— Zamknij się! Zrobię, co będę chciał! — krzyczał Patryk.

— Niech pan mu wybaczy. Widzę, jak pan cierpi... Ale zemsta nie przywróci życia tej Agacie. Nie chce pan chyba, by Ola wychowywała się bez ojca... Dostyc cierpienia i śmierci. Czy tego chciałaby Agata? Niech pan nie zniszczy w sobie tego co ona kochała — nie ustawała w błaganiach Marysia Morwin, próbując przekonać Kowala.

Patryk stał w milczeniu, wodząc wzrokiem po całej trójce. Było widać, że bije się ze swymi myślami. W końcu wyglądało na to, że podjął decyzję i przemówił:

— Może ma pani rację... — stwierdził po chwili, a Marysia Zamkowska uśmiechnęła się. — Pani córka nie może wychowywać się bez ojca. Tego oboje nie chcemy. Chcę, by Morwin cierpiał tak jak ja...W końcu dziewczynka ma jeszcze matkę — powiedział Kowal i nie celował już w Marka, tylko w jego żonę, bezbronną kobietę.

— Patryk, nie! Nie rób tego. Słuchaj... to cię zniszczy od środka! — przekonywał Marek.

— Niby co?! Doprowadzenie do sprawiedliwości?! — krzyknął wściekle Patryk Kowal.

— Życie nie jest sprawiedliwe. Teraz przyniesie ci to ulgę. Ale co dalej? Strzelisz sobie w łeb? — przekonywał Morwin, zbliżając się powoli do celującego w nich osobnika.

— Rozważam, cholernie rozważam! — wydzierał się wciąż zdenerwowany Patryk.

— Oddaj mi broń. Jeszcze możemy to naprawić — mówił spokojnie Morwin, widząc miotającego się wewnątrz Kowala.

Utrzymał z nim kontakt wzrokowy, ostrożnie się zbliżając. Widział, że w głowie Patryka szaleją przeróżne myśli. Rozgrywa się w nim walka. Wciąż do niego mówiąc, delikatnie i ostrożnie chwycił za wycelowaną w siebie broń.

— Oddaj. Wszystko będzie dobrze — powiedział Morwin łagodnie.

— Nie! Nigdy nie będzie! — wrzasnął Patryk i odepchnął Marka, po czym wycelował w zamarłą w bezruchu Marysię.

— Nie! — krzyknął przerażony Morwin.

— Kurwa!!! — przeklął siarczyście Patryk i z całych sił rzucił pistoletem w ścianę, który wystrzelił, na szczęście nie raniąc nikogo. Kowal padł na kolana i zaczął łkać.

— Przepraszam... — wyszeptał przez łzy, a Marek odetchnął.

Nie wiedział, co teraz zrobić. Czy zabić tego niezrównoważonego psychicznie niedoszłego mordercę żony? Czy pomóc straszliwie cierpiącemu Patrykowi? Morwin znał ten ból, jaki tkwił w niedoszłym mordercy Marysi. Uderzały wyrzuty sumienia. Jego rozmyślania przerwał jednak dźwięk dobiegający z megafonu.

— Tu policja. Nazywam się Zbigniew Majchrzak. Słyszeliśmy strzał. Morwin, wiemy, że tam jesteś! — powiedział niski funkcjonariusz w szarym prochowcu i okularach, po czym puścił dymek z papierosa.

Morwin podbiegł do okna i zobaczył cztery radiowozy, stojące przed domem i uzbrojonych po zęby policjantów.

— Cholera! Jego mi tu brakowało — powiedział Morwin do siebie i podszedł do Patryka, żeby go ocucić. — Patryk... Patryk... Słuchaj mnie. Pamiętasz o Agacie? Wybacz to, co ci zrobiłem. Musimy razem ukarać tych, którzy mi to zlecili. Edward Krzywda odpowie za swoje zbrodnie. Słuchaj!!! — krzyknął, a Patryk wrócił myślami do tu i teraz.

— Tak... ale... ale... jak? Policja i... ten... jak oni tutaj? — dukał bez sensu.

— Nie wiem, może sąsiedzi, może to ten GPS w radiowozie, a może po prostu ciebie lub mnie śledzili. To teraz nieważne. Patryk, skup się! — mówił Marek do zagubionego, niedoszłego mordercy.

— Tak nieważne, ja wybaczą... Ja chciałem zabić... Ja... — mamrotał Patryk.

— Słuchaj mnie! Masz się skupić, mamy mało czasu. Albo ja wyjdę do nich, albo oni wejdą tutaj. Niewiele możemy teraz wymyślić, ale słuchaj. Z podniesionymi rękoma wychodzę i powiem, że ty wraz z moją córką i żoną byłeś tu przetrzymywany. Zeznam, że byliście moimi zakładnikami, że porwałem cię w więzieniu. Wiozłem aż tutaj.

— Ale dlaczego to robisz? — zapytał zdziwiony Patryk.

— Ja trafię za kratki, ale moja żona i córka będą bezpieczne z dala ode mnie. Nie możesz teraz też trafić do mamra. Jesteś potrzebny na zewnątrz. Czas byśmy ukarali ludzi odpowiedzialnych za śmierć Agaty.

— Ale to ty ją...

— No tak... ja ją zabiłem. Po wszystkim możesz zrobić ze mną co zechcesz, choć i tak wątpię, bym żył długo. Zadaż sobie jedno ważne pytanie. Co byś zrobił na moim miejscu? Co byś zrobił dla Agaty?

— Morwin! Zaczynam odliczanie i wchodzimy! — krzyczał Majchrzak przez megafon.

— Wszystko... — powiedział cicho Patryk Kowal

— Więc nie robisz tego dla mnie. Zrób to dla Agaty. Na ciebie spadnie ciężar sprowadzenia Edwarda Krzywdy do sprawiedliwości. Schowasz te zdjęcia głęboko i następnie dopilnujesz, by jak najszybciej ukazały się w prasie, telewizji i tak dalej.

— Czemu nie damy ich policji? — zapytał Patryk.

— Nie ufam policji. Opinia publiczna... to jest siła... Nie wiem, jak to zrobisz, ale musisz. Zabierz stąd moją żonę i córkę, jak tylko odjadę z policją. Ukryj je! Powiecie, że jesteście zbyt wstrząśnięci po tych wydarzeniach. Łykną to i nie będą wam głowy zawracać dzisiejszymi przesłuchaniami — tłumaczył Morwin, starając się tłumaczyć jak najtreściwiej i najszybciej.

— Marek... nie możesz... nie znowu... — tym razem Marysia Zamkowska załkała, starając się wpłynąć na męża, by zmienił zdanie.

— To jedyne wyjście — powiedział Marek, przytulił żonę i pocałował ją, po czym przytulił mocno córkę i pogłaskał ją po głowie, delikatnie się uśmiechając.

Następnie odwrócił się i wyszedł przez frontowe drzwi z uniesionymi rękami. Niemal natychmiast kilku policjantów sprowadziło go do parteru, wrzeszcząc: „Gleba gnoju, gleba!!!”.

— Do mojego samochodu go! Będę pilnował osobiście! — rozkazał Majchrzak, a funkcjonariusze spełnili jego prośbę, lokując Morwina na tylnym siedzeniu czarnego bmw.

Marek patrzył na swoje zapłakane kobiety. Matka i córka tuliły się do siebie. Tuż obok nich stał Patryk Kowal obarczony nową odpowiedzialnością. Morwin wiedział, że ryzykowne jest oddawanie ich losu w ręce niedoszłego oprawcy. Wierzył jednak, że to jedyne wyjście okaże się właściwe...

Majchrzak zabrał Patryka nieco na bok. Tam uściśnął mu dłoń i pogratulował.

— Dzięki panu udało nam się dorwać groźnego kryminalistę. Będziemy musieli rutynowo was przesłuchać — powiedział Majchrzak.

— Wiem, że takie są procedury, szefie. Czy nie możemy tego jednak odłożyć do rana? Niech pan spojrzy na te kobiety. Są roztrzęsione... — Tak Patryk wdrażał plan przedstawiony mu przed kilkoma minutami.

— Hmm... Czasami przepisy nie przewidują pewnych rzeczy... Do rana ich przetrzymam. Tylko na Boga, zajmij się tymi kobietami. Chyba, że mam wezwać psychologa policyjnego?

— Yyy nie trzeba... Studiowałem przez dwa lata psychologię. Mam podstawy... Poza tym, lepiej się będą czuły przy kimś, kto dzielił z nimi to uwięzienie... — kłamał Kowal, a Majchrzak po chwili zastanowienia zgodził się i po ponownym uściśnięciu dłoni wszedł do auta i usadowił się tuż obok skutego kajdankami Morwina.

Gdy radiowóz ruszył, Morwin mógł już tylko wzrokiem pożegnać swoją rodzinę, aż w końcu jej widok mu zniknął.

Patryk Kowal podszedł do Marysi Zamkowskiej, która stała pod domem z córką.

— Musimy jechać. Nie ma czasu na pakowanie rzeczy. Musicie mi zaufać — powiedział.

— Marek ci zaufał, a ja ufam jemu — powiedziała Marysia Zamkowska.

Po chwili cała trójka wsiadła do karetki zaparkowanej na tyłach domu. Patryk miał kluczyki, gdyż sam nią tu przybył. Zatajenie jej przed Majchrzakiem dało im więcej czasu i oszczędziło zbędnych pytań. Patryk odpalił karetkę i ruszyli z piskiem opon.

— Dokąd jedziemy? — zapytała Ola.

— Do hotelu „Gacja” w Kuźni Raciborskiej. Mam tam znajomych. Ukryją was.

Tymczasem w samochodzie Zbigniewa Majchrzaka...

Marek Morwin patrzył przez okno, choć w ciemnościach niewiele można było dojrzeć. Zaczął padać rzęsy deszcz, a nocne niebo zrobiło się jeszcze ciemniejsze niż wcześniej. Majchrzak wyraźnie rozkoszował się swą zdobyczą.

— Oj, Morwin, Morwin... Wiedziałem, że cię dorwę — zwrócił się do więźnia.

— Gratulacje — odparł Marek.

— Słuchaj, gnoju... Trochę skruchy. Jak cię, dziadu, teraz dopadną w kiciu, to matka nie pozna! — krzyknął nagle wściekły Majchrzak, uderzając Marka w twarz zaciśniętą pięścią. Jakby kompletny brak żalu czy sumienia zirytował go z jakiegoś powodu.

Morwin splunął krwią i zaczął się śmiać.

— Co cię, dziadu, tak bawi?! Zobaczymy, jak w mamrze pośpiewasz... Załatwię ci różową celę z chętnymi towarzyszami... Będziesz miał branie! — mówił wściekły Majchrzak, biorąc zamach na kolejny cios.

— No to chyba ślepy pan jest... Myśli pan, że planowałem to sam? Nie pomyślał pan, że może to nie ja porwałem Patryka Kowala? Że może to on był mózgiem tego...? — zdradził Morwin.

— Co ty pierdzielisz!? Przecież... — stwierdził kompletnie zaskoczony Majchrzak.

— Co przecież? Człowieku weź to logicznie poukładaj w tym łbie.

— Zeznasz to w sądzie? — zapytał Majchrzak.

— Tak. Nie mogę pozwolić, by chodził bezkarnie po ziemi... — odparł Morwin w chwili, gdy auto Majchrzaka i reszta kolumny radiowozów wjeżdżały na most.

Morwin wiedział, że jeśli Majchrzak zamknie Patryka, to zyska pewność, że Marysi i Oli nic się nie stanie. Wprawdzie zdradza człowieka, który mu zaufał..., ale one będą bezpieczne. Teraz zamilkł i znowu patrzył przez okno. Nagle oślepiły go jakieś światła.

— Uwaga! — krzyknął Majchrzak i razem skulili się z tyłu, gdy z impetem uderzył w nich czarny hammer prowadzony przez jakiegoś mężczyznę.

Auto Majchrzaka nie miało szans z siłą hammera. Nacierające terenowe auto zepchnęło jego bmw do rzeki. Oba zaczęły spadać do wody. Po chwili zniknęły w nurcie rzeki, która nienaturalnie wezbrała od deszczu.

Tymczasem Patryk Kowal udał się do jedyne go reportera, którego znał i któremu tak jak jemu zależało na ukaraniu sprawców śmierci Agaty Patyckiej... Michał Szczoch, redaktor naczelny „No Kpin” i były szef Agaty, miał z nią krótki romans. Wprawdzie bolało go to, że Agata wybrała Patryka, ale nie przestał jej kochać. Choć obaj się nienawidzili, połączyła ich wspólna chęć zemsty na zabójcach Agaty.

— To... to niesamowite... Jeszcze dziś to kopiuję, uruchamiam wszystkie kontakty... Rano opinia publiczna sama wyda wyrok na Edwarda Krzywdę. CBS niemal natychmiast go dorwie po obejrzeniu tych materiałów. Skąd to masz? — mówił wyraźnie podekscytowany Michał Szczoch.

— Nieważne. Dopilnuj tylko, by nie zginęły. I... zrób z tego dobry użytek — odparł Patryk.

— Yyy... Kowal... wiem, że cierpisz po stracie Agaty... Ja też... Gdybyś chciał pogadać, czy iść na wódkę to... — mówił Szczoch, wiedząc jednak, że i tak raczej nie zostaną przyjaciółmi.

Następnie podał mu rękę. Patryk spojrzał na nią i zignorował ten gest.

— Zajmij się tymi materiałami — odparł Patryk i wyszedł z redakcji Szczocha w Raciborzu, gdzie ten zazwyczaj nocował zawałony pracą.

ODCINEK 23.

PATRYK KOWAL

31 marca 2006 — 11:00 — RYBNIK — DOM PATRYKA KOWALA

Patryk po raz pierwszy od dawna obudził się we własnym łóżku, w swoim domu. Zrzucenie odpowiedzialności za pomszczenie śmierci Agaty na barki Michała Szczochoa dobrze mu zrobiło. Wymęczony wrażeniami dni poprzednich spał jak niemowlę, choć planował zupełnie coś innego. Miał wrócić do hotelu „Gacja” w Kuźni Raciborskiej po rodzinę Morwina. Zaraz po tym, jak złożył wizytę Michałowi Szczochowi i oddał mu zdjęcia. „Ktoś porwał te kobiety? Czy naprawdę byłem aż tak nieostrożny? Ktoś mnie śledził? Może po prostu same uciekły, wiedząc, że nie mogą mi ufać? Może to i dobrze. Nie wiem, co bym zrobił? Nie wiem, czy znów oparłbym się pokusie pokarania Morwina i jego rodziny” — takie myśli krążyły po głowie Patryka. Ubrany w starą koszulkę i czerwone bokserki przeciągnął się, po czym wstał z łóżka i wyruszył do kuchni. Wyciągnął z górnej półki puszkę piwa i łąpczywie wypił niemal pół od razu. Zadzwoił telefon. Patryk odebrał go i usłyszał znajomy głos Michała Szczochoa:

— Włącz telewizor. Program 1. Udało się!!!

Po tych słowach Szczocho rozłączył się, a Patryk pospiesznie udał się do pokoju i włączył telewizor. Na kanale 1. właśnie pokazana była młoda dziennikarka w studiu „Wiadomości”. Patryk wbił wzrok w monitor telewizora, popijając co chwilę piwo.

[...]Dzisiejsza noc wstrząsnęła naszym krajem. Prezydent Polski, Edward Krzywda, został dziś rano aresztowany. Zatrzymania dokonali funkcjonariusze CBS dzięki

nadzwyczajnej zgodzie premiera Buszyńskiego. Zszokowany prezydent Krzywda wykrzykiwał, że jest niewinny i oskarżał zatrzymujących go o zamach stanu. Wielbiciele teorii spiskowych mają nowy temat do książek. Jednak słowa Krzydwy doszczętnie rozbijają się o ścianę dowodów, jakie dziś w nocy dostało CBS.

Przy budynku Trybunału Stanu we Wrocławiu jest już nasz reporter, Marian Walek.

— Halo, halo Marianie... Czy mnie słyszysz?

— Witam cię Agato. Skandal, szok i kolejny powód, by nie ufać politykom. Tak można w skrócie określić reakcję polskiego społeczeństwa wywołaną takimi sensacjami. W niektórych dzielnicach Rybnika, Warszawy oraz Szczecina zanotowano już bójki emocjonalnie nastawionych do sprawy obywateli.

»On jest niewinny. To zmowa, jakiś spisek, by go zniszczyć« — mówi pan Kamil, turysta.

»Ja tam nie wiem. A gdzie gra ten Krzywda?« — odpowiada niezbyt rozgarnięty kibic piłkarski.

»Dla mnie to tam wszyscy politycy są winni! Się powinno ich wszystkich zapier...« — Tutaj pan Łukasz, kierowca autobusu używa słów, których nie wolno nam puścić o tej porze.

Cały naród zaczyna wszczynać demonstracje, żądając, by na trwałe zabrać wszystkim politykom przywilej zwany: IMMUNITETEM. Żaden jednak przywilej nie pomoże prezydentowi Krzydzie, jeśli dowody zbrodni, o którą jest oskarżony, okażą się prawdziwe.

Zdjęcia nadesłane przez anonimowego telewidza ukazały się już we wszystkich dziennikach i wiadomościach, ale przypomnijmy, o co oskarżony jest Edward Krzywda — na

zdjęciach zrobionych przez zamordowaną kilka lat temu studentkę, Agatę Patycką, widzimy, jak prezydent Krzywda goni, gwałci, a następnie dusi anonimową kobietę, czemu bezczynnie przyglądają się oficerowie BOR-u. Zbrodnia została dokonana w Rybniku. Tam też ma Edward Krzywda swoją willę...

Miejmy nadzieję, że w świetle nowych dowodów sprawiedliwości stanie się zadość. Niech politycy odzyskają zaufanie narodu i pokażą, że prawo jest równe dla wszystkich.

Spod budynku Trybunału Stanu we Wrocławiu mówił dla państwa Marian Wałek. Oddaję głos do studia — zakończył relację dziennikarz.

Patryk wyłączył telewizor i odczuł radość, której jednak nie umiał już okazywać. Zapomniał, co to uśmiech. Znał tylko jeden sposób na uczczenie tego. Wyjął z barku butelkę whisky i dwie szklanki. Wszystko postawił na stoliku przy zdjęciu Agaty Patyckiej. Rozlał trunek do szklanek, po czym uniósł jedną i stuknął w drugą szklankę.

— Twoje zdrowie, Agatko... — powiedział do zdjęcia, po czym wypił jednym haustem całą zawartość szklaneczki.

Miał pić dalej, lecz nagle ktoś wyważył mu drzwi i wrzucił kilka granatów gazowych.

— Policja!!! Gleba!!! — wykrzykiwali policjanci w maskach gazowych.

Błyskawicznie zajęli całe mieszkanie, a Patryk nim zdążył nawet pomyśleć o reakcji, leżał już skuty kajdankami na ziemi. Policjanci wsadzili mu worek na głowę i zaprowadzili do samochodu. Cała akcja trwała trzy minuty.

Patryk, wciąż mając worek na głowie, nie miał bladego pojęcia, gdzie go prowadzono. Podłoga była zimna. Wszędzie panował chłód. Patryk był boso i w samych bokserkach. W końcu posadzono go na krzesło w jakimś

pomieszczeniu i zdjęto worek jednym szybkim ruchem. Policjanci prowadzący wcześniej Patryka, wyszli. Jego odzwyczajone od światła oczy poraził oślepiający blask.

— Witaj, Patryku Kowal — powiedział stojący przed Kowalem policjant.

Był to znajomy głos...

— Gdzie ja jestem? Kim pan jest? — pytał Patryk.

— To, gdzie jesteś... nie jest ważne... Ważne jest to, za co tu jesteś — ciągnął policjant.

— Co? Nie rozumiem. Mogę zadzwonić? — pytał oskarżony, próbując przyzwyczaić oczy do światła.

— Możesz. Ale nie zadzwonisz — odparł przesłuchujący.

— To łamanie prawa... — stwierdził ponownie Kowal, ale policjant gwałtownie zbliżył się i złapał go za szyję.

— Zaraz ci pokażę łamanie prawa... Metalową rurką... — powiedział policjant, a oczy przesłuchiwanego w końcu rozpoznały z bliska twarz detektywa Majchrzaka.

— Co, pamiętasz mnie, gnoju?! To zapamiętasz mnie jeszcze bardziej. Ale przyjemność później... — powiedział, nieco się uspokoił i puścił szyję Patryka.

— O co panu chodzi? Ja nic nie zrobiłem! — wypłynęła skarga z ust Kowala.

— Przestań kłamać... Morwin mówił coś innego — odparł Majchrzak.

— Niech mi pan pozwoli z nim pogadać. Wyjaśnię to! — bronił się Patryk.

— O to chodzi, że nie pogadasz. A kogoś ukarać muszę — mówił policjant, widząc zdziwienie malujące się na twarzy Kowala.

— Zabił go pan? — zapytał Patryk, czując, że to mogłoby ostatecznie pozbawić go szans na wolność.

Z drugiej jednak strony przeżyłby to, że ktoś go wyręczył w załatwieniu mordercy Agaty.

— Powiem ci, jak było... Kilkanaście minut po tym, jak zostawiliśmy cię z Morwinkami, wjechaliśmy na most. Jakiś czub wjechał w moje auto. Jakiś hammer... Wbił się w nas na pełnej szybkości, zrzucił nas i sam spadł. Oba auta znalazły się w rzece. To, że mocno padało i rzeka wezbrała, uratowało nam tyłki. Nie wszystkim jednak. Ja wypłynąłem z nieprzytomnym kierowcą na brzeg. Co się stało z Morwinem, nie mam pojęcia. Na razie znaleźliśmy tylko ciało tego gościa od hammera. To chyba on prowadził... Niejaki Grzegorz Hanik — opowiedział Majchrzak, po czym rzucił na stół zdjęcia z sekcji zwłok martwego Hanika.

Patryk rozpoznał mężczyznę, który więził rodzinę Morwinów i którego Patryk pozbawił przytomności. Skłamał jednak. Powiedział, że widzi go pierwszy raz.

— Słuchaj no, gnoju! Chodzi o to, że Morwin, zanim zniknął, powiedział mi coś ciekawego... Zeznał mi, że to ty pomagałeś mu w ucieczce. Ba! Byłeś mózgiem i pomysłodawcą — mówił triumfalnym tonem Majchrzak.

— Nie wiem, o czym pan mówi. To ja tu jestem tym pokrzywdzonym — odparł Patryk, a policjant znów gwałtownie złapał go za szyję.

— Pokrzywdzony to ty będziesz, jak ci tyłek wsadzę do kicia! Wypuściłeś kilkunastu groźnych świrów z więzienia w Raciborzu... Jeden z tych świrów zgwałcił moją córkę. Omal nie umarła! Znajdę coś... i uwalę cię, Patryku Kowal... Przysięgam na moją odznakę! — syczał wściekle Majchrzak.

Nagle do pokoju przesłuchań wpadł młody funkcjonariusz policji.

— Szefie... szefie... — wysapał.

— Nie teraz! — krzyknął Majchrzak do młodego policjanta, aż ten cofnął się o krok.

— Ale szefie... właśnie prezydent Edward Krzywda został zabity! — wyrecytował młodzian najszybciej jak umiał.

— Cholera... Morwin?! Idę! — powiedział Majchrzak, puszczając szyję Patryka. Patryk został sam w zimnym i ciemnym pokoju przesłuchań.

Odcinek 24.

MAREK MORWIN

5 kwietnia 2006 — godzina 15:00 — CHORWACJA, ZAGRZEB —
LOTNISKO

Niebo nad lotniskiem w Zagrzebiu było tego dnia piękne. Wiosenne słońce ogrzewało chorwacką ziemię i pieściło promieniami ciała turystów. Jasnoniebieskie niebo, bez żadnej chmury, pieściło oczy. Wszyscy jakby naładowani tą słoneczną pogodą byli mili i serdeczni dla siebie. Idylliczne wręcz miejsce, idealne na wakacje. Wysoki mężczyzna z brązowym wąsem w ciemnych okularach miał na sobie czerwoną, hawajską koszulę i białe spodnie. Jego żona i córka, obie o rudych włosach i w słomianych kapeluszach, były bardzo do siebie podobne. Dodatkowo podobieństwo wzmacniał podobny ubiór — zwiewne zielone sukienki. Bagaż rodziny mieścił się w dwóch walizkach. Wszyscy troje mieli doskonały nastrój. Zbliżyli się do wyjścia z lotniska, gdzie czekała ich odprawa celna. Chorwacka urzędniczka zwróciła się do przyjezdnych dźwięczną angielszczyzną:

— *Good morning. May I see your passports, please?* (Dzień dobry. Czy mogę zobaczyć państwa paszporty?)

— *Yes, of course, honey give me them.* (Tak, oczywiście, kochanie daj mi je.)

— *Here they are.* (Tutaj są.)

— *Okey, mister Zbynew Mealucz? Right?* (Okey, pan Zbigniew Maluch? Tak?)

— *Yes. It's me. (Tak. To ja.)*

— *Missis Ketaszyna Meaalucz? Wife, right?* (Pani Katarzyna Maluch? Żona, tak?)

— *Yes, yes... My sweet wife...* (Tak, tak... Moja kochana żona...)

— *And this little princes is Bearbaua Mealucz? Doguther...* (A ta mała księżniczka to Barbara Maluch? Córka...)

— *Yes, yes... My sweet angel.* (Tak, tak. Mój słodki aniołek.)

— *For how long in Croatia?* (Na jak długo w Chorwacji?)

— *Two or three months.* (Dwa lub trzy miesiące)

Urzędniczka postawiła pieczątki i oddała paszporty szeroko i serdecznie się uśmiechając. Po czym powiedziała:

— *Have a nice trip. Goodbye.* (Miłej wycieczki. Do widzenia)

Cała rodzina zabrała bagaże i opuściła lotnisko. Przed wejściem wynajęli auto i pojechali nad morze. Gdy dotarli do celu, zanieśli bagaże do niewielkiego domku, którego niespecjalną urodę z pewnością zrekompensował im przepiękny widok na Adriatyk. Kiedy się już rozlokowali i obejrzelili pomieszczenia, postanowili pójść na plażę, by nacieszyć się widokiem morza.

— Tato, zostanemy tu na zawsze?! Proszę... — mówiła Ola do ojca, szarpiąc go za długie, nieco pogniecione spodnie.

— Kochanie... Chyba tu trochę posiedzimy... Już nikt nie będzie ścigał i nękał rodziny Morwinów... Choć... jak na razie nazywamy się Maluch. Czeka nas jeszcze kilka zmian — powiedział Marek Morwin do swojej żony, Marysi, i do córeczki, Oli.

— Co wtedy, Marek? — zapytała Marysia.

— Wtedy będziemy wreszcie na zawsze spokojni i bezpieczni. Razem! Nikt nas nie znajdzie, a ja może w końcu nauczę się łowić ryby. Zawsze chciałem...

— A jeśli jednak nas ktoś znajdzie? — zapytała Ola.

— To ja was obronię... Za wszelką cenę... za wszelką... — odparł stanowczo Marek Morwin, po czym umilkł i się zamyślił.

ODCINEK 25.

EDWARD KRZYWDA

**31 marca 2006 — godzina 15:00 — WROCŁAW — BUDYNEK
TRYBUNAŁU STANU**

Edward Krzywda właśnie wyładowywał frustrację na swoim adwokacie, Bolesławie Tamilskim.

— Ty cholerny papugo! Jak to małe szanse na wybronienie mnie?!

— W świetle tych dowodów... Ciężko... Naszą jedyną linią obrony musi być atak... Musimy zrobić wszystko, by udowodnić, że te zdjęcia są sfabrykowane. Z niepewnego źródła. Pojedziemy tu spiskiem i zamachem stanu. Zrobimy z pana męczennika, ofiarę... — tłumaczył adwokat.

— A co, jeśli nie są fałszywe? — spytał Edward Krzywda ściszym głosem.

— Co?! Nie są... To... to... przestępstwo... Ja odchodzę... — stwierdził zaskoczony adwokat, ale Krzywda złapał go za krawat i przycisnął do ściany.

— Co ty, papużyno, mi tu brykasz... Jesteś jednym z najlepszych w Polsce, a ja wciąż jestem prezydentem tego kraju i sporo mogę. Za to ci płacę. Masz mnie bronić! Albo przestanę być miły dla ciebie i twojej mamusi. Jak się nazywała? No, pani Jadzia... takie dobre ciasta robi... — Krzywda wręcz mu groził, a adwokat przełknął ślinę, nie mając pojęcia, skąd Krzywda wie, jak ma na imię jego matka.

— Pan mi grozi? — zapytał przestraszony.

— Ja? No co pan... Ja tylko informuję. Nie chcemy, by komuś stała się krzywda. Ani mnie, ani pańskiej mamusi... — odparł Edward Krzywda, puścił adwokata i zaczął poprawiać mu krawat.

— Zobaczę, co da się zrobić. Niech pan nie odpowiada na żadne pytania dziennikarzy. Albo nie... Niech pan zaprzecza. Kłamać pan umie, jak nikt inny... Zobaczymy się wieczorem — odparł adwokat.

Następnie obaj wyszli przed budynek Sądu grodzkiego we Wrocławiu. Przed wejściem było mnóstwo policjantów, ale czterokrotnie więcej dziennikarzy. Flesze aparatów strzelały z takim natężeniem, że zarówno Edward Krzywda, jak i jego adwokat musieli mrużyć oczy. Z nie mniejszą siłą atakowały pytania:

— Panie prezydencie... Czy poda się pan do dymisji? — pytała jedna z dziennikarek.

— Nie mam powodów, by opuszczać naród w tak trudnym dla mnie i dla całego kraju momencie — odparł.

— A jak pana sumienie? Kim była kobieta, którą pan zabił? — zawołał jeden z dziennikarzy.

— Niech pan da spokój tym insynuacjom. Zostałem wrobiony w jakąś farsę. Przecież to mogła być nawet kukła czy figura woskowa... Różne rzeczy można zrobić w komputerze. Przecież nie ma ciała, to co? Zjadłem ją? — odparł prezydent udając, że cała sytuacja go bawi.

— Eksperci jednak nieoficjalnie ogłosili, że zdjęcia nie były obrabiane komputerowo... — dodał inny.

— Na wszystkie pytanie odpowiem wieczorem. Na konferencji prasowej — odparł prezydent.

— Dlaczego pan zabił!? Dlaczego pan ją zabił? — wykrzyczał reporter, który dopiero co po ciężkiej walce dopchał się do prezydenta na odległość trzech metrów.

— Co?! — odparł tylko prezydent, a po chwili czas jakby zwolnił.

W oczach Edwarda Krzywdy zagościł strach. Próbował się schronić za adwokatem, ale nie zdążył. Reporter, który zadał ostatnie pytanie, wyjął broń i wystrzelił dwukrotnie w pierś prezydenta Edwarda Krzywdy, który z grymasem bólu padł na ziemię. Odruchowo policjanci zastrzelili i zamachowca, który padł martwy uśmiechając się. Wiedział, że wykonał swoją misję. Tylko to się liczyło. On był martwy i prezydent Edward Krzywda też. Taka śmierć zapewnia nieśmiertelność...

Kilka godzin później we wrocławskim prosektorium znalazły się oba ciała, które przybył obejrzeć detektyw Majchrzak.

— Pokaż mi ich — zażądał od lekarza prowadzącego sekcję.

— Nie trzeba geniusza, by stwierdzić dlaczego nie żyją. Nie wiem, po co mi ich tu dają. Za mną... — odparł i zaprowadził Majchrzaka wraz z jego młodszym podwładnym do kostnicy.

— Zawsze chciałem spotkać prezydenta... — zażartował lekarz.

Jednak tylko on się zaśmiał.

Policjanci obejrzelili ciało Edwarda Krzywdy, stwierdzając, że to na sto procent on.

— Pan prezydent. Głosowałem na niego. Zgon nastąpił na skutek uszkodzenia prawej komory serca i lewego płuca. W skrócie: krew z serca zaczęła spływać do płuca i udusił się własną krwią. Od dwóch strzałów w klatkę piersiową z pistoletu kaliber 9 mm. Natomiast ten drugi denat... — powiedział lekarz, odkrywając jego twarz — odurzony narkotykami mężczyzna w wieku około 25-28 lat. Zamachowiec zginął na skutek krwotoku wewnętrznego, wywołanego wyraźną nadgorliwością policjantów chroniących prezydenta. Ma tatuaż więzienia raciborskiego. Sądziłem, że pan nam pomoże w identyfikacji. Przy sobie miał papiery na nazwisko Artur Chrapała. Ale to nie on... Sprawdziłem... Poznaje pan, kto to? — zwrócił się lekarz do Majchrzaka, a ten przyjrzał się uważnie i rozpoznał go z pewną dozą rozczarowania.

— Cholera... To nie Morwin... — powiedział, waląc pięścią w stół.

— Kto to? — zapytał lekarz.

— Nie ważne... Ten tutaj to Krzysztof Broniewski. Jeden z uciekinierów z więzienia w Raciborzu — odparł Majchrzak i dał znak podopiecznemu, by opuścili prosektorium.

Młody policjant nie mógł powstrzymać się od pytania.

— Szefie... co teraz? — zapytał.

— Teraz... teraz to ja idę się napić kawy. A potem czekają mnie długie rozmowy z panem Patrykiem Kowalem...

Odcinek 26.

MAREK MORWIN

2009 — 14 kwietnia.

POLSKA: OPOLE — GMACH KOMENDY WOJEWÓDZKIEJ

Młoda dziennikarka odczuwała ogromną treść. Nerwowo poprawiała ubranie, chcąc wypaść jak najlepiej w pierwszym poważnym wystąpieniu. Najwyraźniej była na początku dziennikarskiej drogi, a od razu trafiła na głęboką wodę. Operator kamery zaczął odliczanie. Wtedy wszystko musiało przejść. Wzięła kilka głębokich oddechów i gdy dostała znak, zaczęła mówić:

Witam państwa. Nazywam się Katarzyna Żabiec z Wiadomości kanału TV Dzień. Stoję właśnie przed budynkiem Komendy Wojewódzkiej w Opolu. Ciężko opisać słowami, co tutaj się dzieje... Niech państwo sami zobaczą...

Po tym wstępie kamerzysta skierował obiektyw na kilkudziesięcioosobowy demonstrujący tłum.

— Na krzesło go! Przywróćcie karę śmierci!, Oddajcie go nam, Samosąd!

Krzyczał tłum, domagając się krwi. Policjanci z trudem powstrzymywali przed wtargnięciem do środka komendy napierającą ciżbę. Tymczasem kamera znów skierowana była na młodą dziennikarkę:

Kogo tak pragną osądzić? Otóż chodzi o Marka Morwina, byłego agenta SB, recydywistę, a co najważniejsze... prowodyra ucieczki z raciborskiego więzienia w 2006 roku kilkudziesięciu więźniów, którzy wprowadzili chaos w

Raciborzu. Gwałcili, rabowali, niszczyli... Gdyby nie Marek Morwin, zapewne siedzieliby zamknięci w swoich celach. Choć znaczna większość tych uciekinierów została schwytana, to tamtych szkód nie da się naprawić. Marek Morwin był przez kilka lat poszukiwany listem gończym. Pozostawał nieuchwytny aż do niedawna... Dziś ma być przetransportowany do jednego z sądów, gdzie odbędzie się jego proces. Choć opinia publiczna już wydała wyrok... Ooo, właśnie jest wyprowadzany...

Dziennikarka przerwała, a kamera przeniosła się na kilkunastu policjantów otaczających Marka Morwina skutego kajdankami w kostkach i nadgarstkach. Różne przedmioty i warzywa leciały w kierunku Morwina i policjantów prowadzących skazanego. Pełne nienawiści okrzyki tłumu wezbrały na sile. Zanosilo się na lincz.

Proszę spojrzeć. Co tu się dzieje? Policjanci ciężko walczą, by Morwin dotarł żywy do opancerzonego wozu. Zapytam jednego z demonstrujących o opinię.

Dziennikarka zbliżyła się do jednego z demonstrantów.

— *Witam... Co może pan powiedzieć o zaistniałej tu sytuacji?* — zapytała go.

— *Ja to bym go na pal nabił! Jeden z tamtych uciekinierów zdewastował mi sklep!* — odparł mężczyzna.

— *Ale to nie Morwin go panu zniszczył, tylko jakiś inny więzień...* — zauważyła dziennikarka.

— *Paniusiu... wie pani, gdzie ja to mam? Gdyby on nie wywołał tego buntu w więzieniu, to by nikt nie zwiął. Jest najbardziej winny tego wszystkiego, a i ludzie się ze mną zgadzają. Mojemu sąsiadowi to pół domu okradli, a mojej siostrze to...*

W tym momencie mężczyzna przerwał, gdyż dobiegły ich odgłosy strzałów. Tłum wpadł w panikę i zaczął rozbiegać się w różne strony. Powstał totalny chaos. Gdy sytuacja nieco się uspokoiła, kamera skierowała się na leżące bez ruchu zakrwawione ciało Marka Morwina.

Proszę państwa! Właśnie słyszeliśmy dwa strzały. Ofiarą jest Marek Morwin! Zastrzelił go nieznany sprawca... Będziemy informować na bieżąco, jak zareaguje na ten zwrot sytuacji rzecznik główny policji. Dla Wiadomości TV Dzień mówiła Katarzyna Żabiec.

2 dni później: Cmentarz główny w Opolu.

Pogrzeb Marka Morwina. Nie było nikogo z rodziny, a kilka krzeseł niedaleko trumny zapełnili dziennikarze oraz kilku policjantów wraz z komendantem Kazimierskim. Bardziej byli tam z obowiązku niż z własnej woli. Raczej, by zadbać o „ludzki” wizerunek policji, by pokazać, że są bliscy ludowi.

Był to pomysł jednego z nowo zatrudnionych speców od *public relations*, który niezbyt przypadł do gustu zwykłym policjantom. Dziennikarze natomiast przybyli zwabieni wonią sensacji. Ojciec Mateusz, choć doskonale wiedział, że odprawia pochówek złego człowieka, wykonywał swój obowiązek księdza z normalnym zaangażowaniem.

— Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Kto we mnie wierzy, nie umrze na wieki. Moi drodzy, chowamy tutaj grzesznika, nie zaprzeczam, ale Bóg jest miłosierny, a więc i my winniśmy być tacy... — mówił ojciec Mateusz.

Jeden z dziennikarzy nie wytrzymał. Wstał nagle, podszedł do trumny i otworzył wieko, marząc, by to nie ciało Marka było o w środku. Ku jego

rozczarowaniu, były to jednak blade i nieruchome zwłoki Morwina. Dwóch policjantów odciągnęło dziennikarza, na próżno szukającego sensacji i wyprowadziło go z pogrzebu. Ksiądz kontynuował ceremonię. Trójka fotoreporterów przygotowała aparaty, gdy ojciec Mateusz zakończył kazanie. Kolejni łowcy sensacji także się rozczarowali, widząc jak trumna z ciałem została zakopana. Wciąż po cichu liczyli na jakiś zwrot akcji. Nic takiego jednak nie nastąpiło, a Marek Morwin spoczął w drewnianej skrzyni kilka metrów pod ziemią.

Ceremonia wkrótce się skończyła i wszyscy opuścili cmentarz.

Po około dwóch godzinach zjawiła się córka zmarłego — Ola. Nie przyszła wcześniej, bo wiedziała, że tak będzie bezpieczniej, tak zrobiłby jej ojciec. Tak zawsze ją uczył. W milczeniu wpatrywała się w świeżo usypany nagrobek. Stała tak przez kilka minut, płacząc. Położyła kwiaty, obróciła się i ruszyła przed siebie, niosąc w sercu żal do ojca za to, że ją zostawił. Po kilkunastu krokach, jak spod ziemi wyrosło dwóch mężczyzn w kominiarkach. Nie zdążyła zareagować. Złapali ją, a Ola wiała się jak oszalała, próbując się uwolnić. Na próżno. Jeden z mężczyzn wstrzyknął jej coś w rękę, i próbująca się uwolnić dziewczyna zasnęła. Gdy podjechała furgonetka, wrzucili jej bezwładne ciało do środka, po czym samochód ruszył z piskiem opon, opuszczając teren cmentarza...

Odcinek 27.

**Środa: 3 Sierpnia 2009 roku — GODZINA 14:05 — CHORWACJA:
ZAGRZEB — DOM RODZINY MORWIN/MALUCH**

Na dworze panował upał. Wyjątkowo złośliwe tego dnia słońce nękało także mały i skromny dom rodziny Morwinów. Marysia Morwin od kilku dni była sama w domu. Kroiła cebulę w kuchni, przygotowując obiad. Wysoka temperatura wewnątrz domostwa zmuszała ją do tego, by co chwilę ocierać pot z czoła. Cisza wokół przypominała jej o obecnej samotności. Oszukiwała się, że tak powstałą pustkę zapełni jej praca. Wysprzątała już cały dom kilka razy, zrobiła na obiad swą specjalność, spaghetti i kilka innych dań.

— Byle nie czekać, byle nie czekać na nich. Czekanie mnie wykończy, nie mogę się ciągle zamartwiać. Muszę coś ze sobą zrobić — mówiła do siebie Marysia, jednocześnie wymyślając sobie kolejne zajęcie, które by jej zapełniło choć część czasu wolnego. I jak to kobieta, zdecydowała, że zakupy dobrze jej zrobią i poprawią humor.

Ubrała się więc w zieloną, luźną i zwiewną sukienkę, którą dostała od swojego męża Marka Morwina. Zabrała także małą czarną torebkę, którą otrzymała w prezencie od swojej córki Oli na urodziny. Każda kobieta, w dowolnym wieku lubi wyglądać ładnie. Nieobce było to też Marysi. Umalowała usta czerwoną szminką, nałożyła puder, podkreśliła swoje i tak nie wymagające podkreślenia piękne, zielone oczy, w których tak zakochał się niegdyś jej mąż Marek, a córka Ola uwielbiała, gdy ktoś uznał, że ma oczy po swojej mamie. Gdy patrząc w lustro, stwierdziła, że wygląda wystarczająco elegancko, przypomniał się jej mąż Marek, który w

takich chwilach zawsze doceniał jej ładny ubiór i elegancki wygląd, pomimo typowo męskiego braku wyczucia stylu i nieznamomości kobiecej mody.

Ona uważała jednak, że te jego starania, by sprawić jej radość, są urocze. Pani Morwin po tych przygotowaniach opuściła dom i udała się na zakupy...

Te zajęły jej około dwóch godzin, co jak na kobietę było niewiele. Zważywszy, że kobiety nazywają zakupami nawet obejście połowy sklepów w mieście bez zamiaru zakupu czegokolwiek. Ot, taki spacer po sklepach z atrakcjami, jak długie przymierzanie ubrania, którego i tak nie mają zamiaru kupić.

Marysia sobie nie kupiła nic. Choć przymierzała bieliznę, to uznała, że lepiej będzie, gdy uda się na zakupy z mężem, który tak często się od tego wymiguje. Śmieszyło ją to. Znając jego gust preferujący pstrokate i kolorowe krawaty, kupiła mu krwistoczerwony, bardzo elegancki krawat. Nie zapomniała także o córce i kupiła jej kilka bluzek. Po wejściu do domu rzuciła dwie torby z zakupami na kanapę, a sama usiadła na najbliższym fotelu, wyciągając zmęczone nogi. Po chwili relaksu przypomniała sobie, że miała doprawić pieczeń i włożyć ją do piekarnika. Wstała niespiesznie i poszła do kuchni. Do pieczenia dodała ostrą przyprawę, którą ubóstwiał jej mąż i córka. Oboje mieli podobne upodobania smakowe. Następnie włożyła przyprawione mięso do piekarnika i wstała, by nastawić zegar. Następnie wcisnęła zapalarkę, nie zdając sobie sprawy, że to ostatnia czynność w jej życiu. Nastąpił tak ogromny wybuch, że cały budynek wyleciał w powietrze. Po przytulnym domku pozostały zgliszcza, a po kobiecie tylko wspomnienie. Marysia Morwin zginęła na miejscu. Dookoła na wietrze fruwały tylko zwęglone strzępy zielonej, zwiewnej sukienki, którą dostała od swojego męża, Marka Morwina...

**Poniedziałek: 1 sierpnia 2009 — GODZINA 11:5 — Pyrzowice:
Lotnisko (niedaleko Katowic)**

— Witam ponownie. Tu państwa pilot. Za chwilę podejmiemy do lądowania. Proszę zapiąć pasy i zachować spokój. Jednocześnie dziękuję za miły lot i zapraszam do ponownego skorzystania z naszych linii Zagrzeb-Warszawa oraz wielu innych ofert usług lotniczych „TRANS-LOT”.

Powiedział pierwszy pilot samolotu, w którym leciała Ola Morwin. Tak jak reszta pasażerów zapięła pasy i czekała na bezpieczne lądowanie. Przebiegło wzorowo, choć to zwykle najtrudniejsza faza lotu dla pilota. Następnie Ola wraz z resztą pasażerów opuściła pokład. Podczas kontroli celnej, okazując paszport z fałszywym nazwiskiem Maluch, uczyniła to z dumą, gdyż od niedawna mogła się cieszyć statusem osoby pełnoletniej, co w jej mniemaniu oznaczało dorosłość.

Po odebraniu swojego skromnego bagażu w postaci jednej czarnej torby podróżnej udała się do wyjścia w kierunku miasta. Wypatrywała kogoś, co przy jej skromnym wzroście nie mogło być ani łatwe, ani skuteczne. Dlatego usadowiła się na uboczu, z dala od wszystkich osób: odbieranych z odprawy podróżnych i odbierających.

Pewien młody 23-letni mężczyzna, w ciemnej bluzie z kapturem zarzuconym na głowę, rozmawiał z kimś przez telefon, rozglądając się po lotnisku. W końcu spostrzegł Olę Morwin, siedzącą na swojej torbie, na jej twarzy malowało się zrezygnowanie i nuda.

— Już jest. Właśnie wylądowała. Jest sama. Odezwę się potem — powiedział chłopak, rozłączając się.

Następnie schował telefon do kieszeni. Po kilku metrach raz jeszcze upewnił się, że nikogo nie ma koło Oli, że jest sama i nikt jej nie

obserwuje. Ruszył w końcu zdecydowanym krokiem i gdy był już od niej na odległość wyciągniętej ręki, zastukał w jej plecy. Ola odwrócił się przestraszona, jakby ktoś nagle wyrwał ją z błogiego snu. Gdy zdała sobie sprawę, kto przed nią stoi, zamarła na chwilę. A zaraz po tym rzuciła mu się na szyję, całując chłopaka.

— Brakowało mi tego, Olu — powiedział.

— Mati! Nie masz pojęcia, jak się stęskniłam — odparła Mateuszowi.

— Nie będziemy się tu kłócić, kto za kim bardziej tęsknił... Przegrałabyś... Chodźmy do auta — powiedział Mateusz, podnosząc torbę Oli.

Po czym oboje udali się do samochodu, by po chwili być już w drodze.

Odcinek 28.

**Sobota: 30 czerwca 2009 — GODZINA 17:14 — CHORWACJA:
ZAGRZEB — DOM RODZINY MORWIN/ZAMKOWSKICH/MALUCH**

— Co zrobiłaś?! — zapytał z irytacją, wyraźnie wzburzony Marek Morwin swoją żonę.

— To, co słyszałeś... i nie krzycz na mnie... — odparła spokojnie.

— Zaraz, zaraz... zaprosiłaś obcych ludzi do nas?! Przecież to nie... — nie dokończył jednak, gdyż przerwała mu żona.

— To nie są obcy ludzie. To nasi sąsiedzi. A ja mam już dosyć tej twojej obsesji.

— Ta... sąsiedzi... Uciekliśmy z Polski, by takich „naszych sąsiadów” nie mieć. Wiesz, że to niebezpieczne — tłumaczył Morwin.

— Marek, naprawdę popadasz w paranoję. Praktycznie nie mamy kontaktu z innymi ludźmi. Czuję się jak w areszcie domowym. A o Polaków tu ciężko.

— To dla naszego bezpieczeństwa. Ludzie, którym uciekliśmy mają szpiegów wszędzie — powiedział Marek.

— Ale nie wiedzą, że tu jesteśmy. Uspokój się. Ci nasi sąsiedzi przyjechali tu tylko na wakacje, to nic zobowiązującego. Oli też przyda się jakaś znajomość, nie chcę, by nasza córka „zdziczała” przez twoje paranoje — odparła Marysia.

— Ta... „znajomość”... może jeszcze z tym chłopakiem od naszych „sąsiadów”? Widziałaś, jak na nią patrzy?! Tadeusz jakiś... — ironizował Morwin, pogryzając czerwone jabłko między zdaniami.

— Mateusz. Jest u Oli w pokoju. Idź po niego, pomoże ci rozpalić grill. Jego rodzice zaraz tu będą — powiedziała ze stoickim spokojem Marysia, co spotkało się ze skrajnie inną reakcją Marka. Omal nie udławił się kawałkiem jabłka.

— W naszym domu?! Obcy koleś łązi? Wiesz, że to...

— Niebezpieczne... — przerwała Marysia.

— Tak, niebezpieczne. Nie ufam mu. Może być...

— Szpiegiem...

— Przestań mi...

— Przerwać... — dokończyła kolejny raz, a Marek wyraźnie poirytowany poszedł schodami na górę w kierunku pokoju Oli.

Chłopaka spotkał jednak nie w pokoju córki, lecz w pobliżu swojego pokoju. Chłopak rozglądał się po domu, aż w końcu złapał za klamkę drzwi do gabinetu Marka.

Pan Morwin krzyknął jednak: „Hej, Tadeusz!”, a chłopak puścił klamkę jak oparzony. Głos musiał go najwyraźniej przestraszyć. Morwin podszedł do niego, spoglądając spode łba podejrzliwie.

— Tadeusz, czego tu szukasz? To mój gabinet... — zapytał Marek.

— Mateusz, proszę pana. Przepraszam, ale szukałem toalety. Ola mówiła, że prosto korytarzem i w lewo — tłumaczył się pokrętnie chłopak.

— Hmm... Chyba w prawo... — odparł Marek i wskazał Mateuszowi drzwi naprzeciwko gabinetu.

— Aha... Przepraszam, musiałem się pomylić. Yyy... miałem panu pomóc przy grillu ponoć. To może pójdzie pan na dół, a ja skorzystam z toalety i zaraz przyjdę? — proponował chłopak po próbach tłumaczenia się.

— Zaczekam tutaj... — odparł Morwin, spoglądając pogardliwie na chłopaka, który skinął głową, po czym odwrócił się i udał do toalety...

Odcinek 29.

3 sierpnia 2009 — GODZINA 10:05 — KAWIARNIA „POTRUŚ”

Mała przytulna kawiarenka „Potruś” nie była tego dnia przepełniona. Pomimo tego pewien mężczyzna siedział przy stoliku na uboczu. Co chwila przeglądał menu i poprawiał kwiatki na stoliku, przy którym siedział. Raz po raz spoglądał także przez pobliskie okno. Mrużąc oczy, oślepiiony natarczywym sierpniowym słońcem, starał się kogoś dojrzeć. Wyglądało to tak, jakby chciał tym patrzeniem wymusić czyjeś przybycie.

Zniecierpliwiony komisarz, Zbigniew Majchrzak, spojrzął na zegarek i po raz kolejny odprawił z kwitkiem natarczywego kelnera. „Ile razy można pytać: Czy coś podać?!” — pomyślał zirytowany.

W końcu dzwonek przy drzwiach odezwał się, oznajmiając czyjeś przybycie. Młoda kobieta zdjęła okulary przeciwsłoneczne i zaczęła rozglądać się po kawiarence. Po chwili takiego wodzenia wzrokiem zobaczyła swojego ojca. Podeszła więc do nieco stremowanego Zbigniewa Majchrzaka.

— Cześć tato — powiedziała do niego miłym i ciepłym głosem, na dźwięk którego uradowany ojciec uśmiechnął się, jakby był od dawna spragniony tych słów i osoby, która je wypowiada.

— Witaj Sylwio — odparł, po czym chciał przytulić córkę.

Ta cofnęła się odruchowo, by po sekundzie jednak samej przytulić ojca i ucałować go w policzek. Majchrzak podsunął jej krzesło, starając się, by wyglądało to tak szarmancko, jak tylko możliwe. Następnie sam usiadł naprzeciw młodej kobiety. Zaczął szukać słów, by przerwać moment dziwnej ciszy.

— Czego się napijesz? Kakao tak jak zawsze? — wypalił nagle .
— Kawę, czarną. Bo niedługo muszę wracać na uczelnię — odparła.
— Cóż, nie jesteś już dzieckiem. Rzeczywiście... — stwierdził nieco zmieszany Majchrzak.

— Tak tato, trochę czasu minęło... — powiedziała chłodnym głosem Sylwia, a kelner chwilę po złożonym zamówieniu przyniósł dwie czarne kawy.

— Co tam u mamy? Dobrze się czuje? — wypalił z pytaniem Majchrzak.

— Dobrze... Dobrze, jak na kobietę, której małżeństwo rozpadło się po 24 latach... — odpowiedziała ironicznie.

— Doskonale wiesz, że to ona mnie zostawiła. A ty poszłaś z nią... Ale nie o tym chciałem mówić. Mam prezent dla ciebie — mówił Zbigniew, myśląc w duszy: „To nie moja wina, przecież to ona...” .

Rozmowę przerwał jakiś młody mężczyzna.

— Przepraszam bardzo, ale przyglądałem się pani i... — zagadnął, ale Sylwia mu przerwała:

— I co? — zapytała chłodnym głosem.

— I chciałem złożyć życzenia... — nie poddawał się podrywający młodzian.

— Pomyłka, ta panna nie ma dziś urodzin... Przeszkadza nam pan... — wtrącił coraz bardziej zdenerwowany Majchrzak.

— Dziś jest dzień pięknych kobiet — powiedział chłopak, uśmiechając się zalotnie do Sylwii.

Przy czym nie zwracał kompletnie uwagi na jej ojca.

— Niezły tekst, mama ci je pisze? — odparła, uśmiechając się szyderczo, a uparty chłopak złapał ją za ramię.

— Lubię ostre. Nie daj się prosić... Pójdziemy na kawę, czy coś... — mówił natarczywie.

Wtedy dziewczyna uderzyła chłopaka w twarz tak siarczyście i mocno, że odgłos zwrócił uwagę kawiarnianych gości. Wszyscy obrócili się w ich stronę.

— Mam już kawę, zboku! — Po czym wzięła gorącą kawę i oblała brzuch nieustępliwego podrywacza.

Następnie wyszła szybko z kawiarni. Majchrzak i podrywacz stali, jak wryci.

— Stary, widziałeś tę wariatkę? — wypalił chłopak, patrząc na swoją poplamioną, firmową koszulkę.

Na dźwięk słowa „wariatka” coś wstąpiło w ojca Sylwii. Jednym uderzeniem znokautował adoratora. Na odsiecz rzucili się jego kumple, chętni do bójki. Majchrzak jednak błyskawicznym ruchem wyjął policyjną odznakę. Nidoszli napastnicy wrócili potulnie na swoje miejsca. A sam policjant wyszedł z kawiarni, kopiąc raz jeszcze po drodze podrywacza.

Zaraz po opuszczeniu „Potrusia” rozejrzał się dookoła. Zobaczył Sylwię. Siedziała na ławce pod drzewem. Cała roztrzęsiona zasłoniła twarz dłońmi. Majchrzak ostrożnie do niej podszedł. Uniosła głowę i spojrzała na ojca ze łzami w oczach.

— Tato, widziałeś co zrobiłam? Widziałeś to? — zapytała retorycznie Sylwia.

— Kochanie, nic się nie stało. To był palant... — odparł ojciec.

— Nie o to chodzi... Jestem wariatką... Ta terapia nic nie pomaga... — mówiła, kiwając ze zrezygnowaniem głową.

Majchrzak nie wiedział, czy ją przytulić, czy odejść. Ani jakich słów użyć.

„Moje ojcostwo nieźle zardzewiało” — pomyślał.

— Kochanie, wiem, że po tym wypadku z... — mówił, starając się by zabrzmiało to delikatnie.

— Gwałcie tato, gwałcie... — powiedziała Sylwia.

— Otóż... twoja matka miała mi za złe to, że nie dorwałem nigdy ludzi odpowiedzialnych za to... Chciałem ci właśnie powiedzieć, że dziś ta osoba wychodzi z więzienia... Patryk Kowal odpowie za twoją krzywdę... — powiedział Majchrzak, myśląc, że w ten sposób poprawi humor córce.

Sylwia jednak spojrzała na niego dziwnie. Przestała płakać.

— Przecież to nie on mnie zgwałcił... Dobrze wiesz, że sama wiem o napastnikach tylko tyle, że byli zbiegami z raciborskiego więzienia...

— Skarbie, wiem o tym... Ale wiem, że to on zorganizował ich ucieczkę. Gdyby nie ten drań, to nic by ci się nie stało. Policzę się z nim i wtedy może mama, i ty wróćcie... — kontynuował ojciec Sylwii.

— Tato, co ty chcesz zrobić? Albo nie, nawet nie chcę wiedzieć... Ty naprawdę myślisz, że mama opuściła cię dlatego? Z powodu obwiniania cię! Ty naprawdę nic nie rozumiesz? — pytała chaotycznie dziewczyna.

— Sylwio, ja...

— A ja myślałam, że chcesz się spotkać, by porozmawiać. Normalnie porozmawiać. A ty nic się nie zmieniłeś. Wciąż myślisz tylko o sobie!!! — wykrzyczała Sylwia, po czym uciekła od swojego ojca.

Nawet jej nie gonił. Usiadł na ławce, na której przed chwilą siedziała i płakała jego córka. Tonął w rozmyślaniach. „Czy zemsta na Kowalu ukoji ból córki czy mój? Morwin mówił prawdę, czy ja po prostu tak bardzo chcę mu wierzyć? Przecież on jest poza moim zasięgiem, może już nie żyje... Za to Patryk Kowal jest dostępny. Już dziś ja, detektyw Zbigniew Majchrzak, sprawdzę, czy ta zemsta ukoji ból przeszłości...”.

Kilka godzin później...

Zbigniew Majchrzak zaparkował swoje auto w bezpiecznej odległości od bramy więzienia we Wronkach. Jego czerwony Golf 4 schowany był za

wielkim drzewem. Majchrzak jako doświadczony gliniarz wiedział, jak prowadzić obserwację z ukrycia. Nie spuszczał wzroku z bramy głównej wronieckiego więzienia, gdzie niedługo miał się pojawić Patryk Kowal. Zwierzyna, na którą dziś zapoluje zraniony ojciec. „Będzie sam. Nie ma dokąd pójść. Nikt się nim nie przejmie. Zwykły przestępca. Po godzinie takiego wyczekiwania z więzienia nareszcie wyłonił się on, Patryk Kowal. Przez lornetkę Majchrzak spostrzegł, że jego ofiara zmieniała się nieco.

Wyglądało na to, że więzienie dało mu nieźle w kość. „Nie sądziłem, że tam przeżyje. Były klawisz w kiciu. Pilnował więźniów, by potem samemu być pilnowanym. Wielu z osadzonych nie widziało specjalnej różnicy między strażnikiem więziennym, a policjantem. Był dla nich jak taki nieudacznik... A jednak dał radę... No, ale mnie się nie wywinie skubaniec. Wygląda jak kulawa łania, która odłączyła się od stada. Czeka tylko, by ktoś zatopił w niej zęby. Tym drapieżnikiem będę dziś ja... Zapłaci skur...”.

Rozmyślania Majchrzaka przerwała nieoczekiwana rysa na jego planie. Jakaś czarna, luksusowa limuzyna zatrzymała się tuż przed nosem Patryka Kowala. Spojrzał do środka, po czym wsiadł do niej.

„Co jest?! Ten gnój miał być sam, a po trzech latach odsiadki podjeżdża po niego taka bryka?! Dobra, chcesz się Kowal bawić ze mną, to się baw, ale i tak cię, draniu, dorwę!”.

Limuzyna z Kowalem w środku ruszyła, a za nią podążył swym autem Majchrzak, drapieżnik na łowach...

Odcinek 30.

Poniedziałek: 18 października 1984 roku — areszt więźniów Służby Bezpieczeństwa — nieznana lokalizacja

Trzech milicjantów wlekło ciało półprzytomnego mężczyzny. Nie miał na tyle sił, by iść na własnych nogach.

— Odejść od kraty! Pod ścianę, wszyscy! — rozkazał władczym tonem jeden z milicjantów.

W tym samym czasie dwaj pozostali rzucili młodego mężczyznę na podłogę, po czym wyciągnęli broń i wymierzyli w więźniów. Ci powoli wycofali się pod ścianę ciasnej celi.

Jeden z milicjantów pochylił się nad przywleczonym przed chwilą ciałem mężczyzny i zdjął mu skarpetki. Następnie zdjęto mu spodnie, sweter, a na końcu zerwano z szyi zakrwawioną koloratkę. Po chwili wrzucono jego ciało do celi zatłoczonej więźniami.

Milicjant przeszukał kieszenie ubrania zdartego z nieprzytomnego mężczyzny. Znalazł tam mały notesik, pusty w środku, oraz ołówek i rzucił nimi w twarz ledwo ruszającego się mężczyzny.

— Panowie, patrzcie, będziecie siedzieć z nowym Mickiewiczem... Ugośćcie go jak prawdziwego poetę — szydził milicjant, a następnie kiwnął głową do swoich towarzyszy, dając znak.

Zamknęli drzwi celi i odeszli rechocząc głośno.

— Mickiewicz... dobre... ha ha — rechotał jak prosiak gruby, przysadzisty milicjant.

— No udał mi się żarcik, nie powiem... — odparł najwyraźniej dumny z siebie najwyższy wzrostem milicjant, gdy wchodzili po schodach na górę, a po chwili zamknęli piwnicę.

Kilka osób patrzyło na nowego więźnia, leżącego nieruchomo na podłodze. Najstarszy z nich, szpakowaty mężczyzna podrapał się po gęstej brodzie. Gdy po chwili ciało poruszyło się, nieśmiało szybko pochylił się nad nim.

— Panowie, on żyje. Pomóżcie — poprosił brodac.

Pochylił się nad ciałem, a trzech innych więźniów pomogło obrócić to, co jeszcze przed chwilą nazwaliby zwłokami.

Brodacz ocucił leżącego mężczyznę, lekko poklepując go po twarzy.

— Hej, obudź się... Kim jesteś, jak się nazywasz?

— Jurek Pokiełuszko — przedstawił się wątlym głosem, po czym zapytał, rozglądając się po celi: — Gdzie jestem? Co to za miejsce?

— Nie wiemy, gdzie dokładnie jesteśmy. Wiemy tylko tyle, że to cela... Przesłuchują nas, torturują, jednego po drugim. A o co ciebie pytali? Powiedziałeś coś? — wypytywał brodac.

— Nie wiem... Nic nie wiem... Byłem w domu, czekałem na telefon, a oni nagle wpadli i przywlekli tutaj. Bili mnie, to straszne, to było straszne — mówił Jerzy, siadając powolutku, ale już samodzielnie.

— Kim wy jesteście? Dlaczego mnie rozebrali? — pytał Jurek otumaniony całą sytuacją.

— Po to, by nas złamać panującym tu zimnem, tą podłogą. To jakaś piwnica... Aaa... przepraszam, nie przedstawiłem się. Nazywam się Zbigniew Kurański, a ci tutaj to moi towarzysze.

Jurek rozejrzał się po twarzach kilku więźniów. Wszyscy tak jak on mieli spuchnięte i obite twarze.

— Jurku, ci na górze, którzy cię bili, to plaga, zaraza, która chce stłamsić jednostkę... Pseudopolscy komuniści...

— Czego mogli chcieć ode mnie? Ja nic nie wiem o Solidarności... Jestem zwykłym księdzem, dopiero zacząłem posługę... — tłumaczył Jurek, próbując ogarnąć sytuację i powód dla którego się tu znalazł.

— Zaraz, jesteś księdzem? Wydaje mi się, że mogli cię z kimś pomylić...

— Słyszałem o kimś podobnym... ksiądz Jerzy Popiełuszko. Wlewa nadzieję w ludzi w te nieczne czasy... Dlaczego mieliby mu coś złego zrobić? To niechrześcijańskie...

— Myślą, że jest przywódcą Solidarności, wodzem rewolucji tłącej się w ludzkich sercach — powiedział Zenon.

— A nie jest? Wiele o nim mówią... — dopytywał Jurek.

— Odpocznij. Niedługo znów mogą przyjść po kogoś. Nie każdy wraca, ale musimy być silni, solidarni... Musimy wierzyć. Masz mój sweter, prześpij się — powiedział Zenon i oddał Jurkowi swój sweter. Chwilę później Jerzy już spał.

Kilka godzin później...

Jurka Pokiełuszkę zbudziły krzyki milicjantów. Przyszli po jednego z więźniów. Paweł Patocki nie protestował. Wstał i pewnym krokiem odszedł z milicjantami.

— Dokąd go zabierają? — zwrócił się Jurek do brodacza.

— Porozmawiać. Będą go bili, torturowali, a potem wróci tutaj... Potem wezmą następnego... — odparł Zenon.

— To dlaczego tak spokojnie siedzimy? Nic z tym nie można zrobić?

— Eh... młody jesteś, ile masz lat? Ze dwadzieścia parę... Nie rozumiesz naszej idei... nie jesteśmy tacy jak komuniści. My wierzymy w wolną Polskę, wspólną...

— A Polska nie jest wolna? Niemców już nie ma, Rosjanie nam po...

Zenon przerwał.

— Pomogli? Nie rozśmieszaj mnie. To zaborcy. Prawda jest taka, że nie są lepsi od Hitlera. Po 1945 Polska wpadła z deszczu pod rynnę. Nie odzyskaliśmy niepodległości, świat jest tylko taki głupi. Musimy sami walczyć. Wierzyć, że los się odwróci.

— Wierzyć? — zapytał Jurek.

— Tak, wierzyć. Przecież zostałeś księdzem. Rozumiem, że młodym, ale kapłanem jednak. Musisz w coś wierzyć...

— Wierzę w Boga i on wie, co dla nas dobre...

— Tak, tak... Wierz sobie w Boga, ja wierzę w Polskę. Bóg chyba tutaj ostatnio nie często zagląda...

Jurek nie chciał dalej się kłócić. Podeszedł do niego nieśmiało jakiś trzydziestoparoletni mężczyzna.

— Witam... Przepraszam, ale czy pan jest księdzem? — zapytał nieśmiało.

— Yyy... tak, jestem... Ale od niedawna... Co się stało?

— Chcę, coś powiedzieć... Nie byłem zawsze praktykujący, ale chciałem się wyświadczyć. Nie wiadomo, ile nam zostało...

— Służę pomocą. Przykucnijmy w kącie... — odparł Jurek.

Tak też zrobili.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków.

— Nie pamiętam, kiedy ostatni raz się spowiadałem...

— Nie szkodzi, mów co leży ci na sercu... — odparł Jurek i wyświadczył mężczyźnie.

Gdy to zrobił, usiadł z boku i zaczął coś pisać w swoim małym notesie. Po kilkunastu minutach do celi wrzucono więźnia, którego

niedawno zabrano. Zwyczajowo pierwszy podszedł do niego Zenon „Brodacz”.

— O co cię pytali Piotrek? — zapytał, a Piotr zaśmiał się i odparł:

— O to, co zawsze, kacapy, o pogodę. Nigdy mnie nie złamią.

Zenon uśmiechnął się i pomógł mu wstać. Następnie podszedł do siedzącego w kącie Jurka i przykucnął obok niego.

— Więc jesteś naprawdę księdzem... Wiesz, przepraszam, że tak na ciebie najechałem niedawno... — powiedział miłym tonem Zenon.

— Nic się nie stało... Rozumiem... — odparł Jurek.

— Co tam piszesz? Poetą jesteś? — zagaił brodacz.

— Nie, to nie wiersze. Piszę wspomnienia... mały dziennik. Na wypadek, gdybym już stąd nie wyszedł.

— Mogę zobaczyć?

— Yyy... wybacz, ale jeszcze nie teraz...

— Dobrze, rozumiem...

Rozmowę przerwali milicjanci. Zabrali Jurka na przesłuchanie.

— Bądź silny! Nie daj się! — krzyczał Zenon, gdy księdza zabierano na tortury...

Godzinę później...

Jurek wrócił do celi. Znowu poobijany i obolały.

— Nic nie powiedziałem. Byłem silny — stwierdził dumny z siebie Jurek, siadając w swoim ulubionym kącie celi koło Zenona.

— Wiesz, przepraszam, ale myślałem, że już nie wrócisz... przeczytałem twój notes... — powiedział.

— Nic się nie stało, rozumiem, też bym tak zrobił... — odparł Jurek.

— Nie wiedziałem, że tak cenisz księdza Popiełuszkę...

— Jest moim idolem. Chciałbym się z nim spotkać, porozmawiać na osobności. Ale nie mam jak się skontaktować z księdzem Popiełuszką.

— Nie dziwię się, ze względu na bezpieczeństwo tylko kilka osób ma do niego dostęp.

— A ty umiałbyś załatwić mi z nim spotkanie? O niczym innym nie marzę... To ze względu na niego zostałem księdzem. Chcę być taki jak on...

— Cóż, mógłbym wam zaaranżować rozmowę...

— Więc?

— Ale ja, niestety, nie jestem aż tak wysoko postawionym działaczem Podziemia Wolnej Polski. Nie mam do niego dostępu...

— Czyli nie załatwisz nam spotkania? — pytał rozczarowany Jurek.

— Przykro mi, ale wiesz co? Widziałem starego Pawleckiego, on jest raczej podejrzliwym człowiekiem. Zna się na ludziach, a tobie jednak zaufał. Wypowiadał ci się. Jesteś też twardy, nie dałeś się złamać... Przypominasz więc księdza Popiełuszkę nie tylko nazwiskiem... — stwierdził Zenon brodacz.

Dwie godziny później... (19 października 1984)

Milicjanci znów zabrali Jurka na przesłuchanie.

Nie był w sali przesłuchań. Znalazł się w bogato udekorowanym pokoju z wielkim biurkiem.

Była na nim tabliczka z wrytym imieniem i nazwiskiem: Edward Krzywda.

Milicjanci zatrzasnęli drzwi za Jurkiem i ten został sam na sam z właścicielem gabinetu we własnej osobie.

— Witam Morwin, jakieś postępy?— zapytał Krzywda.

— Nie towarzyszu. Z całą pewnością stwierdzam, że nie mają dostępu do księdza Jerzego Popiełuszki. Nic nie wiedzą — odparł, salutując i stojąc sztywno na baczność.

— Nie wiedzą, mówisz... cóż, nie potrzebujemy już ich. Operacja „zabić księdza” została zakończona sukcesem — odparł Edward Krzywda.

— Ale, przecież zawiodłem towarzyszu... — stwierdził ze zdziwieniem Marek Morwin „Jurek”.

— Posłuchaj, podobną taktykę zastosowaliśmy w kilku naszych aresztach. Miałeś zdobyć zaufanie współwięźniów i zinfiltrować ich wiedzę na temat księdza Popiełuszki. Choć nie zdobyłeś informacji, to cóż... właśnie dostałem wiadomość, że złapaliśmy Popiełuszkę, gdy wracał do Warszawy, na drodze do Torunia niedaleko miejscowości Górsk. Jego kierowca, Waldemar Chrostowski, zwiął nam, ale nie można mieć wszystkiego — tłumaczył Edward Krzywda stojącemu na baczność Morwinowi.

— Co więc ze mną teraz będzie, towarzyszu? — zapytał Marek.

— Cóż, tak jak sądziłem. Doskonale sprawdziłeś się jako szpieg. Będziesz doskonałym agentem Służby Bezpieczeństwa. Takich ludzi potrzebujemy, by utrzymać wolną Polskę. Pozbędziemy się tej podziemnej rebelii — odparł Edward Krzywda, po czym chwycił za telefon i wykręcił jakiś numer.

— Towarzyszu, więźniowie z piwnicy nie będą nam potrzebni. Zabić wszystkich, Zenona „Brodacza” też — wydał rozkaz Krzywda, po czym gdy odłożył słuchawkę, spojrzał chłodnym wzrokiem na Marka.

Ten przełknął ślinę.

— Coś nie tak towarzyszu Morwin? — zapytał.

— Nie towarzyszu. Ku chwale ojczyzny!

— Dobrze, czuję, że będziesz doskonałym agentem. Czekam na waszą współpracę. Odmaszerować — rozkazał.

— Tak jest! — odpowiedział służbiście Marek, po czym zsalutował i wyszedł z gabinetu Edwarda Krzywdy.

Gdy przechodził niedaleko piwnicy, usłyszał kilkanaście strzałów.

Wiedział, że to egzekucja. Wtedy słowa Zenona „Brodacza” znów zabrzmiały mu w głowie: „Bądź silny, nie daj się”. „Więc jestem silny...” — pomyślał Marek Morwin po zakończeniu swojego pierwszego zadania.

Przekonany był, że działa dla dobra swojej ojczyzny, wolnej Polski...

Odcinek 31.

Środa: 5 sierpnia 2009 — GODZINA 14:05 — LOTNISKO PYRZOWICE

„Bądź silny, nie daj się” — te słowa rozchodziły się echem w głowie Marka Morwina. — „Nie daj się, bądź silny...” — powtarzał.

Nagle niski głos Zenona „Brodacza” zmienił się w wysoki i nieco piskliwy miły kobiecy głos.

— Halo, proszę pana. Przepraszam, że przeszkadzam. Czy mógłby pan zapiąć pasy? — mówił Zenon „Brodacz”, co przy wysokim, piskliwym, damskim tonie głosu, a jednocześnie jego dziwnie wściekłej minie wyglądało zabawnie i karykaturalnie.

Gdy Marek otworzył oczy, nie zobaczył wściekłego Zenona „Brodacza”, a uśmiechniętą i pochyloną nad nim ładną stewardessę.

— Przepraszam, że pana budzę, ale właśnie podchodzimy do lądowania — powiedziała, raz jeszcze śląc uśmiech, który dotarł do jeszcze lekko nieprzytomnych oczu Morwina.

Spełnił jej prośbę i obserwował przez okno zbliżającą się ziemię. Polska, a dokładnie Pyrzowice, niedaleko Katowic. Po opuszczeniu samolotu, gdy stanął na ziemi, poczuł się dziwnie. Stąpał po tym kraju całe życie, a mimo to odczuwał dziwną wrogość, niepokój. Może to tylko przewrażliwienie albo zapowiedź nadchodzących wydarzeń? Zamówił taksówkę, by po kilkunastu minutach być już na dworcu PKP. Pociągiem udał się do swojego przyjaciela, współpracownika z czasów służby dla SB. Miał jego numer telefonu, ale swojego nigdy mu nie dał. Dla bezpieczeństwa. Kilka dni temu Morwin użył tego numer. Zawiadomił

przyjaciela, że będzie chciał się z nim spotkać w Polsce. Ten przytaknął i wyczekiwał.

Nazywał się Zbigniew Szpak, kapral, za czasów rządów komunistycznych w Polsce był odpowiedzialny za organizację potajemnych wyjazdów pewnych osób, ponieważ oficjalnie obowiązywał zakaz opuszczania kraju. Jednak wyrobienie nowych „lewych” dokumentów to była dla niego pestka. Był znakomicie zorganizowanym, zamkniętym w sobie rzemieślnikiem. To do niego zwrócił się kilka lat temu Marek Morwin, gdy wraz z żoną i córką uciekali do Chorwacji. Szybko i sprawnie im pomógł opuścić kraj. Był domatorem. Więc, zgodnie z oczekiwaniami Morwina, mieszkał w tym samym miejscu, co kilkanaście lat temu. „Jestem, jak udomowiony pies, mogę mieć inną budę, ale sentyment do tej pierwszej pozostanie” — mawiał, choć psa nigdy nie miał. „Wciąż jedzą, srają i odpoczywają. A jeden niechluj i darmozjad w tym domu wystarczy” — mówił nieraz, usprawiedliwiając samotne mieszkanie.

Morwin z sentymentem spojrzął na dom i po chwili zastukał do drzwi. Te, o dziwo, uchyliły się. Delikatnie zatem zajrzał do środka, jakby się bał dostać patelnię od Zbigniewa. Jednak nic takiego się nie stało, więc wszedł do środka, a następnie po skrzypiących schodach na górę. Zastał tam okropny bałagan. Sterty książek, które Zbigniew z takim zamiłowaniem czytał, były wszędzie porozrzucane. Szuflady powyjmowane, szafy pootwierane, a i ich zawartość wałała się po całym pomieszczeniu.

Tuż za starym wysłużonym biurkiem leżał Zbigniew Szpak. Wyglądał tak samo jak nieraz, gdy zasypiał przed komputerem. Tym razem jednak spał snem wiecznym z towarzyszką w postaci kuli w głowie.

W ręku denata był pistolet. Marek sprawdził lufę, była zimna. Ciało nie zaczęło się jeszcze psuć. Morwin ocenił więc, że to

najprawdopodobniej samobójstwo, dokonane niecałe kilkanaście godzin temu. To przypuszczenie za chwilę miało się potwierdzić. Marek spojrzał na monitor wciąż włączonego komputera. Widniał na nim list pożegnalny Zbigniewa Szpaka.

Marek, zawiodłem cię. Zdradziłem mojego przyjaciela. Obyś to czytał, bo wtedy jest nadzieja, że dostaniesz tych drani, że się zemścisz... Nigdy mi nie wybaczysz, ale to już tylko Bóg może się nade mną zlitować. Przyszli do mnie. Szukali cię. Ta okropna kobieta. Bili mnie, dręczyli, torturowali, a ja... Ja.... byłem słaby, za słaby. Zdradziłem... wyjawilem im miejsce twojego pobytu, wasz azyl w Chorwacji. Nawet pokazałem papiery, by udowodnić, że mówię prawdę. By przestali mnie bić, by mnie w końcu zostawili. Lub choćby zabili. Byli jednak zbyt okrutni. Musiałem to zrobić...

Marek przerwał na chwilę. Przez jego lekkomyślność cierpiała kolejna osoba...

...musiałem to zrobić sam. Nie mógłbym żyć z tym bólem. Nie proszę cię o wybaczenie. Teraz, gdy ich nie ma, już mi jest wszystko obojętne. Zaraz minie wszystko. Twoje rany jednak zostaną. Przykro mi.

Marysia, ona... nie żyje... Pokazali mi zdjęcia zgliszczy twojego domu w Chorwacji. Było tam jedno ciało. Zwęglone zwłoki twojej żony... Wysadzili go...

W tym momencie Marek Morwin padł na kolana. Nie mógł, nie chciał uwierzyć. Bał się sięgnąć po zdjęcia przygotowane koło monitora. Po chwili jednak wstał. Trzęsącymi się rękami wziął do rąk kilka fotografii. Jakoś jednak je przeglądał. Wiedział, że musi. Zatrzymał się na czwartym zdjęciu.

Był na nim cały zabrudzony popiołem i mocno przypalony łańcuszek. Złote serduszko, które niegdyś Marek ofiarował żonie. Czuł, że pękło mu serce. Z oczu zaczęły mu płynąć łzy. Kopnął z całej siły ciało Zbigniewa. Gdy padło na ziemię, Marek rzucił się na niego i zaczął okładać twarz pięściami jakby wciąż żył. Bił, bił, aż do krwi. Żaden cios nie przynosił jednak ulgi. Nic jej nie przyniesie. To luksus jakiego Marek nie zazna. Wyzywał denata i wciąż okładał. W głębi duszy chciałby, by wciąż żył. Tylko po to, by zabić go samemu. Ocierając łzy i krew, Marek wrócił do czytania listu pożegnalnego. Na monitorze widniał ostatni fragment.

[...]musisz jednak się trzymać. Choćby nie wiem, jak nieopisanie wielki był twój ból. Skoro pokazali mi, że są jedne zwłoki, i to kobiety, to wiedziałem, że ty przeżyłeś. Mógłbyś się na nich mścić. Tylko po co? Oddaj im to na miłość boską i uciekaj z Olą. To jedyne co mam do przekazania. Pandora kosztowała już zbyt wiele istnień, w tym moje, choć mizerne.

Żegnam, a ty spełnij ostatnią wolę umarłego lub pomścij żonę i użyj PANDORY przeciw nim. Nie stój bezczynnie, bo to zabija... Tak jak zdrada...

Zbyszek

Marek potrzebował kilkunastu minut na ogarnięcie sytuacji. Wiedział, że choćby nie wiem jak wielki był jego ból, a strata przeogromna, to musi coś z tym zrobić. Choćby nie wiem jak bardzo znienawidził Zbyszka za to, co zrobił, to musiał przyznać mu rację. Pandora nie może sobie tak leżeć, trzeba jej użyć przeciw twórcom...

Morwin zszedł więc na dół do garażu. Zabrał kluczyki ze ściany, gdzie jego nieżyjący przyjaciel miał zwyczaj je wieszać. Po czym wsiadł do jego auta i wyjechał, zostawiając stygnące zwłoki za sobą.

Zaślepiiony wściekłością Morwin nie widział jednak, że ma „ogon”.
Ktoś za nim jechał...

Odcinek 32.

Zapadł wieczór. Słońce na niebie ustąpiło miejsca księżycowi. Ten delikatnym światłem wspomagał latarnie, oświetlające drogę, którą podążała Marta Kunis w swym samochodzie.

— Spoko, jadę za nimi. Ty zajmij się Morwinem — Marta schowała swój telefon do kieszeni tuż po tym, jak skończyła rozmowę z Patrykiem.

Jechała swoim samochodem, nie tracąc z zasięgu wzroku auta, którym jechała Ola Morwin i jej chłopak Mateusz. Doświadczenie pozwalało Marcie na długie i niezauważalne śledzenie ofiary. Tym razem także działała profesjonalnie.

Tymczasem w śledzonym samochodzie....

— Mati, musimy się zatrzymać. Niedobrze mi... — powiedziała Ola, zakrywając usta ręką, przez co Mateusz niedosłyszał jej słów.

— Co mówisz? — zapytał, poprawiając okulary i marszcząc brwi.

— Stój... Niedobrze mi... — powtórzyła.

— Swój, niebo, przemyj? Co ty Ola gadasz tam pod nosem? — zgadywał Mateusz, wciąż patrząc na drogę.

— Stój!!! Bo będę...!!! — wykrzyczała zdenerwowana Ola, ale nie skończyła zdania, gdyż zwymiotowała na tapicerkę. — Rzygać, będę rzygać... — dodała po chwili.

— O kurcze, to czemu nie mówisz? Tu jest jakiś sklep. Muszą mieć toaletę — powiedział Mateusz i po chwili, gdy zobaczył w końcu jakiś mały sklep z szyldem „Ropuszka”, zatrzymał się tuż przed nim.

— Poradzisz sobie, czy iść z tobą? — zapytał, patrząc na bladą twarz Oli.

— Dam radę. Ty weź wytrzyj tapicerkę... *Sorry*... — powiedziała Ola i czym prędzej ruszyła w kierunku sklepowej toalety, czując, że zbliża się kolejna fala wymiotów.

Tymczasem Mateusz zabrał się do czyszczenia tapicerki. Krzywiąc się z obrzydzenia, wycierał wymiociny chusteczkami higienicznymi.

Tymczasem Marta...

Zaparkowała po przeciwnej stronie ulicy tak, by mieć na widoku Mateusza i Olę.

Nagle Marta niemal pisnęła ze strachu. Aż podskoczyła, gdy jakiś obdarty, stary żul zastukał w szybę tuż koło niej. Po chwili szoku otworzyła okno i chciała pozbyć się natręta.

— Spadaj stąd menelu — wysyczała.

— Panienko... wie panienka, jak jest... — mówił zachrypłym głosem czerwono nosy żul. — Panienko, proszę ja ciebie, na winko brakło grosika... — dokończył, puszczając oczko i ukazując resztki żółtych zębów. Skrzywił twarz w dziwnym grymasie, co według niego miało być uśmiechem.

— Winko? Nie po to płacę podatki, by dawać na jabola jakiemuś obdartusowi — wysyczała, krzywiąc twarz z odrazą.

— Ale panienko... że tak powiem... nalegałbym — mówił nie poddający się żul, którego natarczywość coraz bardziej drażniła Martę.

Wyjęła więc broń i wymierzyła w twarz menela, który natychmiast zmienił nastawienie i z rękami w górze zaczął się wycofywać.

— Uuuu... panienka nie w sosiku dziś. Coś niemiła... no, to ekhm... szanowanko... — powiedział menel i po chwili zniknął w ciemnościach.

Marta odetchnęła z ulgą. Po tym jak pozbyła się natręta wróciła do obserwacji Mateusza i Oli, która wciąż nie wychodziła ze sklepu. Marta uznała więc, że czas wkroczyć. „Taka okazja się nie powtórzy, a oddzielnie łatwiej ich unieruchomić niż oboje” — pomyślała, po czym ostrożnie wysiadła z samochodu i ruszyła w kierunku Mateusza, który nadal był zajęty czyszczeniem tapicerki. Zaszła go od tyłu i sięgnęła po broń. Mateusz, widząc jej odbicie w szybie, odwrócił się i kopnął Martę w dłoń. Zaskoczona upuściła broń, ale szybko skontrowała Mateusza lewym sierpowym. Uderzył plecami w szybę auta i osunął się na ziemię. Marta poszukała wzrokiem upuszczonego pistoletu. Gdy już schylała się po niego, ktoś wskoczył jej na plecy. To Ola Morwin ciągnęła ją za włosy jedną ręką, a drugą trzymała szyję, dusząc Martę, która wiła się teraz jak oszaląca, chcąc pozbyć się natręta z pleców. Mateusz oprzytomniał, a gdy wstał, zobaczył szalejącą kobietę i jakąś dziewczynę kurczowo trzymającą się jej szyi.

— Mati! Pomóż mi! Wal ją w brzuch! — Mateusz rozpoznał głos Oli i podbiegł do niej zaciskając pięść.

Gdy już miał uderzyć Martę, zawahał się.

— Ale... to kobieta jest... — powiedział Mateusz.

— I co? Ja też jestem! Wal ją! — krzyknęła Ola, a Marta w tym momencie kopnęła w brzuch Mateusza, a ten padł na ziemię.

Ola nie miała już sił i odpadła z pleców szalejącej pani Kunis.

— No, pobawiliśmy się, teraz idziecie ze mną — powiedziała Marta, gdy już po chwili znów miała broń w dłoni i parę na muszce.

Nagle jednak na Martę skoczyło czterech żuli. Upuściła pistolet i padła na ziemię. Menele bili ją pałkami i kopali nogami.

— Masz niemiła panienko... Na winko sami weźmiemy sobie... — krzyczał znajomy żul, który przed kilkoma minutami nagabywał Martę.

Mateusz i Ola wykorzystali okazję i wsiedli czym prędzej do auta, zostawiając Martę na pastwę masakrujących ją żuli. Po kilku minutach kopania, gdy pani Kunis leżała już bez ruchu we krwi, żule przestały kopać. Jeden z nich wyjął z kieszeni Marty portfel. Wyjął pieniądze i poszedł po cztery wina marki „KopaLeć”. Po chwili wrócił i podał wina kolegom. Ochoczo zaczęli popijać napoje, jakby przed chwilą wrócili z pracy. Coś zaczęło drgać i grać w kieszeni Marty. To zwróciło uwagę żuli. Jeden podszedł do jej ciała i wyjął z kieszeni telefon. Wcisnął po kolei kilka guzików, aż przypadkiem odebrał dzwoniący telefon.

— Cześć Marta, pan Morwin chce porozmawiać z córeczką... — powiedział głos w słuchawce.

— Ola, Ola... To ty?! Zrobili ci coś? — przemówił inny głos w słuchawce.

— Co ty chopie, sapiesz? Jaka Ola, jaka Marta? Tu Władek Czarnowąs mówi... yhymp... — odparł podpity żul, czkając na końcu.

— A gdzie jest Ola? — zapytał głos w słuchawce, a żul zabrał portfel swojemu koledze i spojrzał na dowód znajdujący się w środku.

Spojrzał na zdjęcie i porównał z obitą twarzą Marty. Po czym znów przyłożył telefon do ucha.

— Chopie... Tu leży jakaś Marta Kunis... A Oli nie ma żadnej... Kto ty? — odparł żul, znów czkając.

— A co tam się dzieje? — zapytał głos.

— Nic... Siedzimy, pijemy, siedzimy... Nic się, kurde, nie dzieje. Idę pić, narazicho — odparł żul i wyrzucił telefon, by wrócić do picia wina z kolegami...

Odcinek 33.

Tymczasem w banku...

— Nic... Siedzimy, pijemy, siedzimy... Nic się, kurde, nie dzieje. Idę pić, narazicho — powiedział głos w słuchawce, po czym rozłączył się.

Marek Morwin usłyszał głośny trzask, ale nie dał po sobie nic poznać. Patrzył teraz na triumfujący wyraz twarzy Patryka. Wiedział, że ma kilka sekund na wymyślenie planu dalszego działania. Postanowił nie psuć planu Kowala i poddać się jego regułom. Roztrzaskał telefon o ziemię z wściekłością.

— Ty gnoju, jeśli ona coś zrobi Oli, to nie wyjdziecie z tego żywi... — wysyczał Marek, który udał, że rozmawiał z Martą Kunis.

Sprawił, że Patryk poczuł się pewnie, bo myślał, że ma asa w rękawie.

— Ooo... widzę, że się wściekłeś. Ale jak teraz powiem Marcie, by dała im spokój? — zapytał Patryk.

— Nie wiem... Nie panowałem nad sobą, jeśli pamiętasz numer, to po dostaniu Pandory zadzwonisz z mojego... — odparł Marek tak, by nie wydał się jego plan.

— Czyli widzę, że wciśniesz ten przycisk. A nie mówiłem? — zatriumfował Patryk, a Marek skinął głową i podszedł do terminala skrzynki 23.

Tuż za plecami stał Patryk, czekając na moment, gdy dostanie Pandorę w swoje ręce. Zniecierpliwiony przez ciekawość i chęć odniesienia zwycięstwa. Marek zbliżył palec do przycisku numer 5, a

Patryk odsunął się dwa kroki od niego, oczekując na to, co się stanie. Marek nie wcisnął jednak numeru 5, tak jak było w kodzie, tylko klawisz z cyfrą 9. Skrzynka nie otworzyła się. Nagle na wszystkie okna spadły ogromne, stalowe kraty. Patryk pobiegł w kierunku wyjścia, ale tuż przed nosem drzwi się zatrzasnęły, a po chwili również były zabarykadowane stalowymi kratami, których nie dało się ruszyć w żaden sposób. W pomieszczeniu zaczął wyć alarm.

— Coś ty narobił?! Jeśli nie zadzwonię w ciągu pięciu minut, to Marta zabije twoją córkę! Co z ciebie za ojciec?! — pieklił się Patryk.

— Oli nic nie będzie. Zapewniam. Za to chyba coś się stało twojej Marcie.

— Co ty chrzaniś, słyszałem jak ty... — Tu przerwał mu Marek:

— Ja mówiłem to, co chciałeś usłyszeć. Musisz się jeszcze sporo nauczyć, nim przechytrzysz takiego starego lisa jak ja.

— Niby triumfujesz? Siedzimy tu zamknięci i co, o to ci chodziło?! — miotał się Patryk.

— Gdybyś wcisnął sam numer 5, to miałbyś Pandorę i odszedłbyś stąd spokojnie. Zabrakło ci jaj, a ja nie pozwolę, by ktoś groził mojej córce. Wciskając błędny kod, uruchomiłem alarm. Zabezpiecza to pomieszczenie, aż przybędzie policja. Taki mają ciekawy system na złodziei. Nie zastanawiałeś się, dlaczego tak po prostu cię ta blondynka wpuściła? Bez legitymowania i tak dalej? Oni wierzą, że w ten sposób wyłapują złodziei, a jednocześnie, no wiesz... Nie każdy klient lubi, gdy się go legitymuje i każe potwierdzać tożsamość. Klienci mający takie skrytki to często snoby, które chcą się poczuć wyjątkowymi, że ktoś ich pamięta... I ten system sprawdza się od lat... — tłumaczył Marek Morwin, wygodnie usadawiając się w fotelu i nalewając sobie wody.

— Będziemy tu tak siedzieć? Jesteś poszukiwany, a na mnie nic nie mają! Niedawno wyszedłem z paki — odparł Patryk, nie rozumiejąc wciąż postępowania Morwina.

— Z paki mówisz? Czyli teraz jesteś na warunkowym. Uznają, że ciągnie wilka do lasu. A że byłeś już notowany... Poza tym, czy to przypadek, że Patryk Kowal i Marek Morwin znów razem? Ciekawy zbieg okoliczności.

— Blefujesz! — krzyknął Patryk.

— Hmm... postanowiłem nawrócić się i zeznawać przeciw tobie. W sprawie tej ucieczki z raciborskiego więzienia. Wydatnie mi pomogłeś, pamiętasz? Wrócisz za kratki, a ja może ugram coś dla siebie. Najwyżej skończymy razem w celi, a Pandory nikt nie ruszy — powiedział Marek.

Patryk, zdając sobie sprawę z beznadziejności swojego położenia, opadł na drugi fotel, także nalewając sobie wody, po czym opróżnił ją niemal jednym haustem.

20 minut później...

Kraty wejściowe odsunęły się, a do pomieszczenia wpadło kilku funkcjonariuszy.

Ani Patryk, ani Marek nie stawiali oporu, gdy funkcjonariusze skuwali ich i odczytywali im ich prawa.

40 minut później...

Policja dotarła na najbliższy posterunek. Z radiowozów wyprowadzono obu więźniów, po czym rozdzielono ich, by przesłuchać każdego w osobnym pomieszczeniu.

Patryk wylądował w małym, ciasnym pokoju z obszernym lustrem weneckim. Doskonale zdawał sobie sprawę, że po drugiej stronie stoją specjaliści od przesłuchań. Psycholog, prawnik i policjant. Przynajmniej tak mu się wydawało. Usadowiono go skutego na twardym, zimnym stalowym krześle. Pokój nie był klimatyzowany. Patrykowi zrobiło się gorąco. Siedział tak prawie godzinę, beczynn timer gapiąc się to w sufit, to w lustro na zmianę. Do pomieszczenia ogarniętego półmrokiem w końcu weszła niewysoka kobieta. Czarnowłosej dziewczynie seksapilu dodawała minispódniczka i biała bluzka z dekoltem. Na nosie miała okulary, które przesłaniały piękne oczy w trudnym do określenia kolorze. Odsunęła krzesło, poprawiła spódniczkę i spojrzała głęboko w oczy Patrykowi. Przeszył go dreszcz. Patrzyła tak milcząc przez chwilę.

— Yyy... praktyki masz, czy co? Teraz to ta chwila, gdy mi się przedstawiasz i podajesz mi zarzuty wobec mnie — odezwał się Patryk nie wytrzymując milczenia.

— Hmm... Widzę, że miałeś już za sobą przesłuchanie. Byłeś karany? — zapytała spokojnie kobieta, poprawiając okulary.

— Przestań pieprzyć. Pewnie masz już moje akta i dobrze wiesz, że siedziałem.

— No tak. Mam je tutaj — powiedziała, otwierając teczkę, którą przyniosła ze sobą. — Patryk Kowal. Bezdietny, kawaler, matka nie żyje, ojciec nie żyje... Hmm... absolwent Politechniki Opolskiej... Ooo... Wydział Wychowania fizycznego i fizjoterapii. Kierunek fizjoterapia ukończony z

wyróżnieniem. Po kilkuletniej pracy jako fizjoterapeuta w zakładzie doktora Majhry, następnie diametralna zmiana. Ukończył szkołę i kurs Służby Więziennictwa... i zatrudnił się jako strażnik więzienny. Dlaczego Patryku?

— W więziennictwie brakuje ludzi z wyższym wykształceniem. Dla propagowania zawodu chcieli pokazać, że to taka fajna robota. Nie tylko dla koleśki bez matury... Proste... — odparł.

— Hmm... przeczuwam inny powód... Ale wracając do pana historii. Skazany na rok za kradzież mienia. Następnie wyrok przedłużono o dwa lata, za zabicie współwięźnia. Stabilny psychicznie... — Czytała na głos kobieta, jakby zaciekawiona postacią Patryka.

— Tratatata, zdrowo sikam, kupa częsta i nie narzekam na wzwód. To też tam napisali? — powiedział Patryk znudzony odświeżaniem przeszłości.

Kobieta przestała czytać i uśmiechnęła się, jakby Patryk powiedział dobry dowcip.

— Nie, tego nie napisali. Tak więc nazywam się Karina Kamińska i jestem tutaj specjalistką od psychologii przesłuchań. Wiesz, co ci grozi?

— Śmierć z nudów?

— Też. Zależy gdzie się chcesz nudzić. Bo możemy wsadzić cię, wtedy możesz się nudzić. Najpierw 48, poznasz nowych kolegów, wiesz jak to jest... Podobały ci się zabawy z facetami? Chcesz tam wrócić... Podświadomie tego pragniesz? — drążyła Karina, jakby uznała, że rozgryzła już Patryka.

— Nie sprowokujesz mnie, paniusiu. Zamknij się ze mną na 48, to ci pokażę, co lubię — odparł .

— Tak? A co lubisz? Palić, gwałcić, rabować jak starożytny wiking, ale z naciskiem na rabować? — zapytała.

— Dla ciebie skarbie z naciskiem na to drugie, a potem możemy przejść do pierwszego.

— No cóż... kuisz, ale muszę cię ostrzec przed czymś. Możesz nie prędko spotkać taką kobietkę jak ja. Mamy w tej chwili Marka Morwina w drugim pokoju. Też jest przesłuchiwany. Twierdzi, że za zmniejszenie wyroku może zeznać, że to ty zaplanowałaś i przeprowadziłaś ucieczkę z raciborskiego więzienia kilkudziesięciu kryminalistów. Zresztą niektórych do dziś nie złapano. A ich zbrodnie wzbogacają twoje konto... — odparła Karina.

— Co on chrzani?! Dlaczego miałby mówić prawdę, to ścigany morderca, a wy uznajecie jego zeznania? To nie przejdzie.

— Cóż... policja potrzebuje sukcesu, więc jednego z was musimy skazać. Czy to będziesz ty, czy Morwin, to już obojętne. Sąd przyjmie jego zeznania, ty zaprzeczysz opowieści Morwina i oskarżysz go o coś. W ten sposób któregoś z was możemy skazać, a dla opinii publicznej będzie to „o jednego oprycha w Polsce mniej”.

— Brednie. Naprawdę myśli pani, że on mówi prawdę? Że ja mógłbym coś takiego planować? Ja jestem po studiach, a on to były esbek i morderca! — przekonywał Patryk, jakby chciał wpłynąć na Karinę, by ta stanęła po jego stronie.

— Otóż, Patryku, studiowałam we Wrocławiu. Pedagogikę resocjalizacyjną. Dlatego też wiem, że niektórzy więźniowie podświadomie chcą wrócić do więzienia. Mam taką teorię. Zatrudniłaś się w raciborskim zakładzie karnym, o ile się nie mylę, dwa, trzy lata po tym, jak trafił tam Marek Morwin. Następnie pomagasz mu w ucieczce. Razem wiejecie, jeden daje się złapać i siedzi we Wronkach. Morwin ucieka, by po kilku latach wrócić do kraju. I gdzie pędzi? Do Patryka Kowala. Obu was łapiemy przy próbie kradzieży skrzynki w tym małym banku. Nie udaje się wam i jesteście tutaj. Wrócił do Polski, by wydostać cię,

potrzebowaliście pieniędzy. Dla mnie jesteście homoseksualną wersją Bonny i Clyde. Tak to widzę... — powiedziała Karina z triumfem w głosie, jakby rozwiązała sprawę stulecia.

— My?! Gejami?! Nie no... masz szalenie bujną wyobraźnię dziewczyno! — Patryk skwitował całą historię z uśmiechem.

— Mój chłopak też mi to mówi. Patryk, nie oskarżają was o homoseksualizm, ale dla mnie to oczywiste. Obaj byliście w więzieniu, obaj chyba chcecie tam wrócić. Nie dostaniecie celi razem. Tak jak mówię, jeden z was beknie za ostatnie zdarzenia. Więc czekam, co masz mi do powiedzenia na temat Morwina i tego, czego szukaliście w tym banku? — mówiła Karina, trzymając się swojej teorii.

Po chwili milczenia i namysłu Patryk przemówił.

— Daj mi komórkę. Mam prawo do jednego telefonu.

— Telefon do przyjaciela? Wiesz co, załatwię ci to. Ale obiecaj, jeden telefon i zaczynasz mi śpiewać. Nie chcę być twoim wrogiem, tylko ci pomóc... — powiedziała Karina, czując, że zyskała zaufanie Patryka Kowala.

— Obiecuję — odparł, a po chwili dostał telefon do ręki.

Wyjął z kieszeni karteczkę z numerem, jaki dała mu Krystyna Kanis w limuzynie, gdy odjeżdżali spod więzienia we Wronkach. Wybrał te cyfry i przystawił słuchawkę do ucha, czekając na rozmowę z Krystyną Kanis.

Po chwili oczekiwania nikt jednak nie odbierał. Próbował więc jeszcze raz. Ponownie bez rezultatu. Potem znów, wystawiając na próbę cierpliwość Kariny Kamińskiej.

— Dobra Patryk, umowa to umowa. Oddaj telefon i mów — powiedziała Karina, wyciągając rękę po telefon, ale Patryk nie chciał go oddawać.

Raz jeszcze wybrał numer Krystyny.

Nikt nie odbierał telefonu.

— Nie, czekaj. Muszę się do niej dodzwonić — Patryk niemal błagał.

— Oddaj telefon.

— Chwila... — odparł Patryk, aż w końcu zdał sobie sprawę, że Krystyna nie odbierze telefonu. — Zdradziła mnie, szmata, wykorzystwała mnie i potem olała! — mówił do siebie coraz bardziej się wściekając, a Karina zawołała dwóch barczystych policjantów, którzy zaczęli uspokajać wściekle szalejącego Patryka.

W końcu po szarpaninie jeden wyciągnął paralizator i potraktował nim wijącego się jak wąż Patryka, który padł na ziemię dygocząc.

— Co z nim zrobić? — zapytał policjant.

— Na dołek go, niech pomyśli trochę — odparła Karina, widząc półprzytomnego Patryka.

Dwóch policjantów zaczęło wlec jego niemal nieruchome ciało. Mimo oszołomienia ciągnięty korytarzem Patryk zobaczył Morwina. Wyprowadzało go trzech mężczyzn w ciemnych garniturach. Kowal nie miał siły krzyknąć, zamknął oczy i film mu się urwał.

Minęło 48 godzin...

2009 — 14 kwietnia. (W TYM CZASIE STRZELANO DO MORWINA)

Karina Kamińska w towarzystwie dwóch policjantów stała przed celą, w której znajdował się Patryk.

— No witam panią Karinę. To co tam w końcu Morwin powiedział? — zapytał Patryk, przeciągając się na pryczy.

— Nic nie powiedział i nic nie powie. Nigdy — odparła.

— Co to znaczy? — zapytał zaskoczony Patryk.

— Marka Morwina zastrzelono przed Komedą Główną Policji w Opolu. Nie żyje, więc nie może zeznawać przeciw tobie. Nasz plan runął

więc w gruzach. Minęło 48 godzin, musimy cię wypuścić — powiedziała Karina, ale słowa te ciężko przechodziły jej przez gardło

— Wolny? Innych zarzutów nie ma? — zapytał Patryk, pamiętając, że ukradł policyjny radiowóz.

— O co mamy cię oskarżyć? O to, że pomyliłeś cyfrę na skrzynce? Czy o to, że być może zwinąłeś policyjny radiowóz? Sędzia oddali to, bo to mógł być Morwin, poza tym... nasz rzecznik prasowy ma w ostatnich dniach dosyć ogłaszania porażek i wpadek policji. Zejdź mi z oczu... — mówiła Karina, gdy strażnik otwierał drzwi celi. Patryk uśmiechnął się tylko, czując, że to jego szczęśliwy dzień. Opuścił posterunek wesóło nuczając jakąś melodię.

W kieszeni znalazł papierosa i zapalniczkę. Stał pod wysokim dębem i odpalił pogniecionego nikotynowego uspokajacza. Zaciągnął się mocno i spojrzał w niebo, po czym wypuścił z płuc dym, czując kojące działanie nikotyny w swoim organizmie. Chciał znów się zaciągnąć, ale nagle poczuł jakiś zapach. Ktoś zaszedł go od tyłu i przyłożył szmatkę z chloroformem do ust. Patryk nie zdążył nawet się szamotać. Po chwili jego nieruchome ciało napastnik włożył do bagażnika samochodu i odjechał z piskiem opon...

4 godziny później...

Patryk ocknął się, gdy poczuł lodowatą wodę wylewającą się na jego twarz. Próbował ogarnąć sytuację. Nie miał koszulki. Był przywiązany do krzesła, którego nie sposób było ruszyć.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Był w jakiejś ciemnej, możliwe, że działkowej altanie.

Nagle oniemiał, gdy zza pleców wyszła znajoma postać.

— Ty?! Po co mnie tu przywiozłeś?! Rozwiąż mnie psycholu! — wydzierał się Patryk, próbując wyrwać się z łańcuchów.

— Tak jak mówiłem — mamy niewyrównane rachunki — odparła postać.

— Daj spokój. Dalej się chcesz mścić? Nie zabiłem cię, gdy miałem okazję. Rozwiąż mnie.

— Cóż... ja nie jestem taki jak ty. To moja sala tortur, a wkrótce twój grób. Możesz się wydzierać, mam działkę na totalnym odludziu. Jesteśmy tu całkiem sami...

— Stary, przestań chrzanić rozwiąż mnie! Ty id... — krzyknął Patryk, ale wrzaski przerwał Zbigniew Majchrzak uderzeniem w twarz. — Dostanie ci się za nieszczęście mojej Sylwii gnido... — powiedział Majchrzak, przeczuwając jaką satysfakcję da mu długo oczekiwane zadośćuczynienie za krzywdę swojej córki.

Odcinek 34.

2009 — 16 kwietnia.

Cmentarz Główny w Opolu

Dwaj mężczyźni odkopywali trumnę z ciałem Marka Morwina.

— Nie wierzę, że to robimy. Moja babcia by się w grobie przewróciła, gdyby to zobaczyła.

— Nie chrzań, tylko ruszaj tą łopata. Nie chcemy, żeby nas ktoś zobaczył.

Po pewnym czasie, wyraźnie spieszący się, zasapani mężczyźni dotarli do wieka trumny z ciałem Morwina. Z trudnością wyciągnęli ją na zielony trawnik obok dołu, w którym jeszcze przed chwilą spoczywał Marek. Widocznie nie dane mu będzie spoczywać w pokoju...

Otworzyli wieko i zobaczyli Morwina. Błedego, nieruchomo spoczywającego z rękoma złożonymi na brzuchu.

— Wygląda, jakby spał, nie? — rzucił jeden z mężczyzn.

— Bo śpi, łosiu... — odparł drugi.

Po czym wyciągnął z kieszeni strzykawkę wypełnioną zieloną, oleistą cieczą. Wbił igłę prosto w serce Morwina. Chwilę po wstrzyknięciu specyfiku Morwin zerwał się, jakby przebudził się nagle z dręczącego go koszmaru.

— Gdzie jestem? Co to cholera jest?! — krzyknął zszokowany widokiem wbitej w serce strzykawki.

— To zastrzyk z adrenaliny. Nasze nazwiska nie są ważne. Twoja córka już czeka. W tamtej białej furgonetce. Szybko stąd znikaj, nim ktoś

nas zobaczy. My musimy tu posprzątać — powiedział mężczyzna najszybciej jak tylko umiał, wiedząc, że każda chwila jest na wagę złota.

Morwin skinął głową i rozejrzał się dookoła. Zauważył wspomniany samochód kilkadziesiąt metrów od jego niedawnego miejsca spoczynku. Wstając, czuł się dziwnie. Nogi miał odrętwiałe i omal się nie przewrócił. Gdy doszedł do siebie, ruszył w kierunku samochodu takim tempem, na jakie mógł sobie pozwolić po leżeniu w ciasnej trumnie kilka metrów pod ziemią. Po minucie dotarł na miejsce, a mężczyzna w ciemnym garniturze otworzył mu drzwi. Marek pospiesznie wsiadł i przywitał się siwobrodym mężczyzną.

— Witam, kapitanie Krysiak. Gdzie ona jest? — zagadnął Morwin.

— Witam panie Morwin. Jest tutaj — odparł kapitan Krysiak, a zza jego pleców wyłoniła się Ola.

Nie dowierzała własnym oczom. Najpierw spoliczkowała Marka, a potem przytuliła się do niego jak najmocniej tylko mogła. W międzyczasie kapitan Krysiak dał znak kierowcy, a ten ruszył, chcąc jak najszybciej opuścić cmentarz.

— Tato... jak mogłeś? — szlochała Ola.

Miała żal do ojca, a jednocześnie nie posiadała się ze szczęścia na jego widok. Jeszcze dziś była na jego pogrzebie, a teraz widzi go przed sobą.

— Przepraszam... musiałem.

— Myślałam, że nie żyjesz! Boże... tato, ty wiesz, jak się poczułam? Mama... Boże! Przecież ona myśli, że nie żyjesz. Pewnie widziała wszystko w telewizji! Musimy jej powiedzieć... — mówiła Ola, a Marek milczał przez chwilę.

Przypomniał sobie, że wciąż nie zdobył się na odwagę, by powiedzieć Oli o śmierci matki. Zmienił więc nieco temat, zwracając się do kapitana.

— Może pan wyjaśnić mojej córce, o co tu chodzi?

— Aha... No już, *okay* — powiedział kapitan Krysiak, jakby ktoś wyrwał go z zamyślenia. — Otóż... pani Aleksandro, nazywam się Krysiak, kapitan Krysiak. Zawarłem z twoim ojcem układ. On ma coś, czego bardzo poszukujemy już wiele, wiele lat. Chodzi o PANDORĘ... — zaczął tłumaczyć.

— O co?

— Cóż, nie zagłębiajmy się w szczegóły. Chodzi o to, że twój ojciec, Marek Morwin, obiecał oddać nam PANDORĘ. W zamian za to dostaniecie nowe życia. Statusy świadków koronnych. Będziecie bezpieczni. Dlatego upozorowaliśmy zamach na twojego ojca. Na szczęście wszystko poszło po naszej myśli. Tutaj mam wasze nowe personalia. Dostaniecie je, jak tylko dotrzemy na miejsce. Teraz tam jedziemy, a wy wygodnie siedźcie i będzie dobrze — zapewnił kapitan Krysiak.

Marek wciąż nie wiedział, jak powiedzieć Oli o śmierci jej matki...

Odcinek 35.

Końcówka marca 2009

Stara fabryka mebli — Racibórz

po wypadku na drodze Morwina i Kowala

Stara opuszczona fabryka mebli. Wybite szyby, zapuszczone ściany... zaniedbana i pełna kurzu podłoga. Wszystko to wskazywało, że czas lubił się pastwić nad tym miejscem.

W takiej scenerii znalazł się Patryk Kowal. Zadowolony z siebie prężył się niczym zwycięzca maratonu na podium. Stał nad zakurzoną, stalową skrzynią z napisem Pandora. Przypominała wyglądem nieco masywniejszy neseser.

Coś tak niewielkiego, a to pożądanie wielu osób. W tym zleceniodawcy Patryka. Uradowany sukcesem jej zdobycia zadzwonił na numer Krystyny Kanis. Wybierał numer dwa razy. Za każdym razem nikt nie odbierał. W końcu Patryk przesłał Krystynie SMS: *Mam PANDORĘ. Jeśli wciąż jesteś zainteresowana, to czekam pod tym numerem. Patryk Kowal.*

Po kilkunastu minutach telefon Patryka zaczął wesoło podskakiwać na skrzyni pod wpływem wibracji. Na ekranie widniał napis: Połączenie prywatne.

Patryk odebrał i usłyszał po drugiej stronie znajomy kobiecy głos:

— Tu Krystyna Kanis. Mam pieniądze. Prześlij mms ze zdjęciem PANDORY. Wiem, jak wygląda, nie oszukasz mnie — powiedziała,

Patryk spełnił jej prośbę, a po chwili telefon znów się odezwał.

— Widzę, że naprawdę masz Pandorę.

— Tak, mam. Masz pieniądze?

— Zdobę w ciągu godziny. Podaj miejsce i czas wymiany.

— Stara fabryka mebli. Racibórz, Fabryczna 14. Nie próbuj sztuczek.

Zadzwoń jeszcze. Tym razem radzę ci odbierać moje telefony... — powiedział Patryk, po czym rozłączył się, nie mając ochoty słuchać tłumaczeń Krystyny.

Odcinek 36.

maj 1988 — komunistyczna POLSKA

Bar mleczny „Zenbir” (Katowice)

Jakiś obskurny bar. Na półkach widniały tylko Polo-Kokta, wódka „Żytnia” i oranżada. Kolorowe drinki nie przyprawiły o zawrót głowy. Lokal przypominał nieco znany z westernów saloon. Zapewne właściciel nie zdawał sobie nawet sprawy, jak jego zaniedbana, mająca niewielu klientów melina może przypominać bar bogatej i mocarnej Ameryki.

— Jeszcze jeden towarzyszu... — powiedział Edward Krzywda do barmana.

Ten nalał kolejną setkę, którą Edward łąpczywie wypił. Nie skrzywił się nawet ani nie popił. Jego nieco podpite już oczy w końcu zobaczyły przy drzwiach Marka Morwina. Najwyraźniej oczekiwał go tutaj.

— Witaj, mój przyjacielu... — krzyknął nieco za głośno wstawiony Krzywda, unosząc ręce do góry.

Podszedł do Marka szybkim krokiem i poklepał go po plecach.

— Tam usiądziemy i pogadamy — powiedział Krzywda, wskazując palcem drewniany stolik w kącie baru.

— Co pijesz? — zapytał, ale Marek nie zdążył nawet odpowiedzieć, a już stała przed nim zamówiona butelka żytniej.

— Towarzyszu, ja prowadzę... — powiedział Marek, licząc, że uda mu się w ten sposób wykręcić od spożycia procentów tego wieczoru.

— A tam... Nic ci nie będzie. Mamy mocne głowy. Zauważ... najtwardsze głowy mają żołnierze, Polacy i nasi bracia Rosjanie. A my jesteśmy każdym po trochu. Więc pij — wytłumaczył Edward Krzywda.

— Spieszę się, miałem się spotkać z dziewczyną — odparł Morwin, po wypiciu pierwszego kieliszka.

— A no... kiedy mi ją przedstawiś? Wiesz, że traktuję cię niemal, jak syna... — wyznał Edward i łyknął kolejną setkę.

— Kiedyś mi pan doradził, bym nie miał bliskich albo trzymał ich w ukryciu.

— A no... brzmi jak moje słowa. Słuchasz mnie, to dobrze. Dlatego jesteś takim dobrym agentem. Ale i tak ją poznam. Obiecuj, że tak się stanie, gdy nasze chwilowe problemy się skończą — przymilał się Edward, nalewając następną kolejkę.

— Obiecuję towarzysz. Tymczasem chciałem powiedzieć, że misja zakończona... Pozbyłem się Dorskiego, tak jak pan rozkazał — mówił szeptem Marek, a Edward Krzywda nagle spowaźniał i odsunął butelkę na skraj stołu.

— Dobrze. Wiedziałem, że ci się uda. Zabrałeś mu najpierw to, o czym mówiłem? — również zaszeptał Krzywda.

— Mam Pandorę w aucie. Jest bezpieczna, a ciała nie odnajdą nigdy.

— Brawo. Przysłużyłeś się ponownie ojczyźnie. Gdyby ta akcja nie była ściśle tajna, dostałbyś medal. Nikt nie może się o tym dowiedzieć, ani twoja dziewczyna, ani nawet Zenon Burczyk. On szczególnie...

— Ale ja myślałem, że to pański przyjaciel — zdziwił się Marek i łyknął kolejny kieliszek wódki, krzywiąc się nieco po nim.

— Przyjaciele nie są ważniejsi od ojczyzny. Podejrzewamy go o zdradę. Dlatego musisz ukryć Pandorę w tym miejscu.

Edward Krzywda wyjął małą karteczkę i napisał na niej adres. Ukradkiem podsunął ją Markowi.

— Tam umieścisz Pandorę. Nie zajrzysz do środka. Nie będziesz o niej nikomu mówił.

— Co w niej jest? Dlaczego jest taka ważna?

— Dociekliwy się robisz, towarzyszu. To moje pamiątki rodzinne, Dorski, ten zdrajca, ukradł mi je kiedyś. A tobie coś powiedział?

— Różne rzeczy...

— Jakie różne rzeczy? — zapytał Krzywda, który patrzył wzrokiem podejrzliwym, ale i przestraszonym jednocześnie.

— Bredził, że nie jest zdrajcą, że to jakaś zmowa. Mówił, że Krzywda i Burczyk to zdrajcy... że go oszukali...

— Phi... bzdury. Czy ja cię kiedyś oszukałem?

— Nie. To nie byłoby mądre...

— No właśnie. I nie mam zamiaru. Dla mnie jesteś, jak syn. To ja cię wprowadziłem w to wszystko. Dzięki mnie przysługujesz się ojczyźnie, walcząc z tymi rebeliantami... Solidaruchy... Zero wdzięczności dla przyjaciół Rosjan za wyzwolenie... Gdyby nie oni, nie mielibyśmy w ogóle co jeść. Musimy mieć czas, a oni nie rozumieją, że komunizm i socjalizm to jedyna droga, by przeżyć w obecnych czasach. A ten Burczyk i Dorski... sam widzisz, że knuli za naszymi plecami. Zdrajcy Polski, zagryzają się nawzajem.

— Mam się pozbyć Burczyka? — zapytał Marek.

— Nie, jeszcze nie. Przyda się jeszcze. Zobaczymy, z kim prócz Dorskiego spiskował. Gdy schowasz Pandorę, masz kilka dni wolnego, pobaw się. Potem czeka nas wciąż dużo pracy.

— Mam jeszcze pytanie... Dlaczego sam pan nie zabierze tej Pandory i nie schowa?

— Powtórzę jeszcze raz — ufam ci, jak synowi. Ja jestem wysoko postawioną osobą, obserwują mnie. Za chwilę wyjdę i pojedą za mną. Ty wyruszysz kilka minut później. Upewnij się, że nie masz ogona i dokończ misję. Dałem ci miejsce, tam masz ukryć Pandorę. To takie zabezpieczenie...

— Zabezpieczenie...? Przed czym? Mówił pan... — Marek nie dokończył jednak zdania, bo Edward łyknął ostatni kieliszek wódki, po czym wyszedł ciut chwiejnym krokiem z baru.

Morwin wyjrzał za nim i widział, jak ktoś podążał za Krzywdą. Kilka minut później, gdy już zamykano, sam opuścił lokal. Rozejrzał się dookoła uważnie. Ulice były puste, nikt go nie śledził. Wsiadł do swojej syrenki i sprawdził, czy Pandora jest na swoim miejscu. Następnie spojrzął na pomiętą kartkę z instrukcją, którą dostał w barze od Edwarda Krzywdy. Miał w tym wskazanym miejscu ukryć Pandorę.

Ruszył więc w poszukiwaniu tego miejsca...

Następnego dnia...

Marek wyjął z tylnego siedzenia bukiet goździków i zwinięte w gazetę pęto kiełbasy. Miał nadzieję, że Marysia doceni trud, jakim było zdobycie tych kwiatków i kiełbasy w czasach kryzysu.

Gdy podjeżdżał na umówione miejsce, Marysia ucieszyła się i aż podskoczyła, rozpoznając auto Marka. Podjechał bliżej przystanku, a dziewczyna wsiadła. Szybko obdarzyła go ognistym pocałunkiem w usta.

— Yyy... to dla ciebie — odparł rozanielony Morwin i wręczył dziewczynie bukiet kwiatów i kiełbasę.

— Uuu... dziękuję kochanie — odparła po powąchaniu goździków i znów go pocałowała. — Oj Marek, wciąż nieśmiały jesteś. Musisz w końcu zaprzestać unikania moich rodziców. Polubią cię na pewno — powiedział Marysia, myśląc jednak, że uda się jej przekonać go w końcu.

— W swoim czasie, kochanie. Ale przecież mamy siebie, po co nam oni?

— A ty się zawsze wykręcasz, mój ty buntowniku. Dokąd jedziemy?

— A w pewne miejsce. Zaufaj mi Marysiu.

Kilkanaście minut później dotarli na polanę...

Nie było nigdzie żywej duszy, a jedno drzewo wyróżniało się wielkością. Wśród wątlej reszty, jabłoń ta wydawała się królem. Godnie górowała nad resztą. Oboje wysiedli z auta.

— Idealny dzień na piknik — powiedziała Marysia, patrząc na słońce, które szczerze dziś obdarowywało ziemię.

— Tak, tak... Ty jesteś idealna — powiedział Marek, wyciągając z bagażnika koc i koszyk piknikowy.

— Marek, skąd masz te znajomości. Ja stałam kilka godzin w kolejce, a i tak ani śladu kielbasy. A ty wyciągasz tu cały koszyk.

— Ano... mam dojścia... powiedzmy — odparł puszczając oko.

Morwin rozłożył koc w cieniu wielkiej jabłoni, a Marysia wyciągnęła z koszyka kielbasę i podała ją ukochanemu. Sama napiła się herbaty z termosu. Nalała też Morwinowi.

— Marek... Spotykamy się już bardzo długo. Kochasz mnie? — zapytała nagle.

— Oczywiście, że tak. Zastanawiam się, gdzie ty byłaś przez całe moje dotychczasowe życie.

— Ty kochasz mnie... Ja ciebie też, ale...

— Ale co... Coś się stało?

— Nie no, wszystkie moje znajome powychodziły za mąż, a mama wciąż mi marudzi, że starą panną zostanę. A wiesz, ciebie tyle nie ma, może odejdziesz pewnego dnia...

— Nie gadaj bzdurek, kochanie. Nigdy cię nie zostawię. A na ślub... na ślub przyjdzie czas, wiesz, że mam dużo pracy...

— Więc kiedy, Marek, kiedy? Ja nie wiem, co wy faceci zawsze się tak tego ślubu boicie... — obruszyła się nieco Marysia.

— Yyy... no wkrótce... W ciągu roku, dwóch. Obiecuję, jestem żołnierzem rezerwy. Wzywają mnie ciągle na konsultację. Ale kto wie. Mogą zażądać służby stałej. Wiesz, jaka sytuacja jest. Gdy tylko to wszystko się skończy, wtedy weźmiemy ślub — zapewniał Marek.

— Ja mogę poczekać, ale... — tutaj zawiesiła głos.

— Ale co?

— Ale nie wiem, czy on poczeka — powiedziała, kładąc rękę Marka na swoim brzuchu.

— Yyy... ale, co... to... to... znaczy... że... — dukał zaskoczony Marek.

— Jestem w ciąży. Z tobą, nie miałam nikogo innego. Byłam u lekarza i się upewniłam.

— O kurde... Ja... o rzesz kurka...

— Marek, powiedz, co zrobimy? — zapytała Marysia, a jej ukochany stał jak wryty. — Marek, Morwin, Morwin! Obudź się...! — krzyczała Marysia, a jej głos nagle zaczął się dziwnie zmieniać, aż w końcu przybrał męską tonację.

Marek otworzył oczy i zobaczył, że jest w aucie znów w czasach obecnych.

— Morwin, Morwin, obudź się...! — krzyczał kapitan Krysiak, cucąc śpiącego Morwina.

— Co jest? Kurde, długo spałem? — pytał zdezorientowany.

— Tato, zobacz! — krzyknęła Ola, kiwając głową na jakiś samochód jadący tuż obok.

Duże, terenowe auto przyspieszyło i uderzało raz po raz w samochód, w którym znajdował się Morwin.

— Co to za typ?! Rozwali nas! — krzyczał kierowca.

Marek tymczasem zapiął pasy Oli i swoje. Następnie przytulił ją tak mocno jak tylko umiał. Chciał ją chronić. Krysiak odsunął szybę od strony pasażera i otworzył ogień. Ścigający ich czarny, terenowy samochód nieco zwolnił. Skręcał raz po raz, omijając tyle kul wystrzelonych przez Krysiaka, ilu dało się uniknąć. Auto nie było zbyt zwrotne, ale miało mocną konstrukcją. Siedzący obok Krysiaka kierowca także nie ułatwiał zadania. Przyspieszając wpadał w dziury w jezdni, klnąc przy tym siarczyście.

Mijał także inne samochody, które widząc jednak włączoną syrenę na dachu auta, ustępowały z drogi ściganemu i ścigającemu. Marek jeszcze mocniej przytulił córkę, gdy kierowca krzyczał, że dłużej tak nie mogą jechać.

— Auto nie wytrzyma!

W końcu wjechali w jakąś głębszą dziurę. Przez co przy tak dużej prędkości odpadło lewe przednie koło. Samochód tarł teraz podwoziem o nawierzchnię drogi, podczas gdy samo auto kręciło się wokół własnej osi. W końcu uderzyło lewym bokiem w drzewo.

Gdy Marek lekko oprzytomniał, zobaczył, że ktoś go wyciąga z auta. Następnie jego córkę.

— Morwin, obudź się. Morwin! — mówiła postać, cucąc go klepaniem w policzki.

Gdy doszedł do siebie, natychmiast rozpoznał, że to Patryk Kowal. Morwin złapał go za szyję i zaczął dusić zaskoczonego... Wybawiciela czy oprawcę?

— Puść debil, puszczaj... — charczał Kowal, próbując coś powiedzieć.

— Ty gnojku, nigdy się nie odczepisz?! Chciałeś nas zabić! — syczał Marek.

Kowal, którego twarz nabiegła krwią z braku tlenu, po omacku dobył broni schowanej za paskiem z tyłu spodni. Poszukał wzrokiem Oli i wycelował w nią. Gdy Morwin to spostrzegł, jego uścisk natychmiast się rozluźnił, a Patryk cofnął się kilka kroków, z trudem łapiąc powietrze.

Odcinek 37.

miejsce: ALTANA NA ODLUDZIU

Na odludziu, gdzie żaden krzyk nie był w stanie wezwać pomocy, Zbigniew Majchrzak upajał się swoją zemstą. Trzymał swoją ofiarę w działkowej altanie, przywiązaną do krzesła przytwierdzonego do betonowej podłogi. Pomieszczenie było duże jak na altanę. Dobrze zabudowane, z plastikowymi oknami. Panował tam jednak bałagan, jakby ktoś się tu dawno nie pojawiał lub nie dokończył remontu. Wszystko było niedokończone.

— Aaaa! — krzyczał Patryk, gdy Majchrzak zaczął nacinać mu skórę na rękach. Było to kolejne małe nacięcie.

— No, widzę, że ci się podoba. To dopiero dwadzieścia nacięć. Na razie damy sobie spokój, bo jeszcze mi się tu wykrwawisz — mówił Majchrzak, diabolicznie się uśmiechając.

— Jesteś chory! — krzyknął Kowal i spróbował go opluć, ślina jednak nie znalazła celu.

— Nie bój się. Uśmierzę twój ból... Gdy cię zabiję — tłumaczył Zbigniew, zastanawiając się jaką torturę z przygotowanego wcześniej repertuaru wybrać.

— Pomyśl o twojej córce... Gdyby ona wiedziała, co robisz. Znienawidziłaby cię.

— Nie mów o niej! Nie jesteś godzien! — krzyknął wściekły Majchrzak.

Założył na głowę Kowala czarną szmatę. Następnie wziął butelkę z wodę i zaczął lać na twarz swojej ofiary. Kowal dusił się i krztusił. Tortura

ta była powtarzana co kilka sekund. Przerwy Patryk wykorzystywał, by łapczywie złapać oddech.

— Zmiana... To mnie znudziło. Wiesz, coś ci opowiem. We Francji tortury były zgodne z prawem już w wieku XII, a w Polsce dwieście lat później. No, ale my też byliśmy kreatywni. Na przykład za czasów Chrobrego za cudzołóstwo przybijano facetowi mosznę do deski, a na desce kładziono brzytwę. Dawano mu wtedy wybór, śmierć przez poderżnięcie gardła czy kastracja... Podobnie karali gwałcicieli. Przybijali im „narzędzie zarodni” do drzewa. I albo zjedzą cię wilki, czy coś... albo obcinasz i jesteś wolny.

— Co to za lekcja historii? Ile razy mam powtarzać, zresztą dobrze wiesz, że to nie ja zgwałciłem twoją córkę.

— Nie bezpośrednio. Ale jesteś tego winien. Tak samo, jak śmierci jej dziecka. Zaszła w ciążę z tym więźniem. Poddała się aborcji... Sam ją nakłoniłem...

— Nakłoniłeś ją? I to ja jestem ten zły?!

— Zamknij się! — krzyknął Majchrzak.

Strzelił w lewą dłoń Patryka. Ten zawył z bólu, a krew pociekła na podłogę.

— Nie bój się. Kula przeszła na wylot. Znam się na tym... — łagodnie perswadował Majchrzak, opatrując rękę Kowala.

To samo zrobił z ranami po nacięciach.

— Dlaczego mnie opatrujesz? Wypuścisz mnie teraz?— domagał się Patryk.

— Phi... Jaja sobie robisz? Nie po to tyle się namęczyłem i naszukałem, żeby ci tak łatwo pozwolić umrzeć. Wszystko w swoim czasie.

— To dlaczego nie ścigasz Morwina? Jest w kraju, widziałem go.

— Cóż... może i masz rację.

— To pomogę ci go dorwać, tylko mnie wypuść.

— Masz mnie za idiotę? Dobrze wiem, że Morwina zastrzelono. Po co mi trup? Jutro ma być pogrzeb na cmentarzu głównym. Może się wybiorę. Ty raczej nie... — powiedział Majchrzak, niweczając w zarodku pomysł wyplątania się Kowala z tej patowej sytuacji.

— Byłeś w to zamieszany? Przyznaj się. Jak mnie znalazłeś? A w ogóle, to przecież jesteś na emeryturze...

— Mam znajomości. Byłem starym gliną. Nie szanowałem zbirów. A dzięki temu, że byłem twardy, zyskałem szacunek kolegów po fachu. Uruchomiłem kiedyś kilka kontaktów i udało mi się ciebie zapuszkować. Nie na długo, ale i tak sporo się namęczyłem. Pewnie poznałeś Karinę Kamińską... Pani psycholog...

— Tak, przesłuchiwała mnie... Co z tego?

— Długo pracowałem z jej ojcem. Nasze córki znały się od dzieciństwa. Chciała cię załatwić zgodnie z prawem, ale... cóż, gdy zdała sobie sprawę, że legalnie się nie da... doniosła o tym mnie, a ja czekałem cierpliwie przed wskazanym budynkiem. W końcu pojawiłeś się, i oto mam cię tutaj. Bawimy się i jest fajnie...

— Dlaczego wybrałeś mnie, a nie Morwina? W ogóle... jak to go zabili, on był pod opieką policji?

— Pod opieką policji mówisz... Pewnie wziął któryś w łapę i wydał go. Zresztą, na razie nic nie wiedzą, zabili go przed Komendą Główną Policji w Opolu. Osobiście stawiam na snajpera strzelającego z naprzeciwka, z budynku poczty lub wieży radiowej. Zresztą po co ci to gadam, on nie żyje, ciebie też zabiję. Moja zemsta będzie dokonana — mówił Majchrzak, przeglądając swój stolik z nożami.

— A ten, który zgwałcił twoją córkę? Pozostanie bezkarny! Pogadajmy...

— Nie jesteś na pozycji do stawiania żądań. Mówiłeś, że zwariowałem. Obaj wiemy, że wariaci nie postępują logicznie. Tamtego zostawię Bogu. I tak już załatwiam za niego tyle roboty.

— Uważasz, że Bóg torturuje ludzi, tak jak ty?

— Nie tak jak ja, ale... Cóż, pozwalając na gwałt mojej córki... Tak, torturował mnie. Już w niego nie wierzę, więc oszczędź mi teologicznych kawałków. O... teraz coś ci złamię chyba...

— Wiem o tobie dużo. W więzieniu dowiedziałem się sporo o tobie. Kilka razy byłeś zawieszany za zbyt brutalne przesłuchiwanie, za bicie podejrzanych. Nieraz koledzy musieli cię odciągać. Właśnie, nie wystarczy ci, że przesiedziałem trzy lata? Sam mi to załatwiłeś!

— Nie, po prostu zemsta to sprawa osobista. Na zimno. Kompletna jest tylko wtedy, gdy dokona się jej osobiście. Twarzą w twarz... — mówił Majchrzak, łapiąc duży młotek.

Patryk zdał sobie sprawę, że wcale nie różni się tak bardzo od Majchrzaka, którego uważał za psychopatę. Sam przecież chciał zabić Morwina. Specjalnie po to zatrudnił się w więzieniu. By to zrobić osobiście...

To stało się jego obsesją. Przez chorą chęć zemsty omal nie zginął, przez to siedział w więzieniu. Przez to wylądował tutaj, na torturach. W końcu Patryk pogodził się z tym. Wiedział już, co teraz czuje Majchrzak. Przecież gdyby Patryk nie zatrudnił się w więzieniu, szukając zemsty na Morwinie, to pewnie ucieczka tych kryminalistów wcale nie miałaby miejsca. Nikt nie zgwałciłby Sylwii Majchrzak, nie byłoby martwego, nieślubnego dziecka. Rodzina byłaby w całości. Tymczasem, gdy Patryk był gotów oddać się pod osąd „więźniowi zemsty”, ktoś otworzył drzwi, a do pomieszczenia na moment wdarło się słońce, przerywając „godzinę sądu”.

Obaj spojrzeli kompletnie zaskoczeni w kierunku nowo przybyłej osoby. Ukazała się im kobieta. Dla Kowala była nieznajomą. Nie odczuł ulgi, raczej ogarnął go niepokój. Czy to wybawienie, czy ostateczny cios kierujący go do trumny. Natomiast Majchrzak natychmiast rozpoznał swoją żonę. Niewysoka, drobna kobieta o szaroniebieskich oczach w eleganckim kostiumie. Jej rude włosy wspaniale komponowały się z blaskiem słońca. Kobieta z klasą, dojrzała w najlepszym tego słowa znaczeniu. Patrząc na nią po raz pierwszy, nikomu nie przeszłoby przez myśl, że ma już czterdzieści pięć lat. Młodość więc zostawiła już dawno za sobą, a mimo to wciąż emanowała urodą i czarem. Nawet Patryk był pod wrażeniem, choć była od niego sporo starsza. Roztaczała też wokół siebie aurę spokoju i łagodności.

Pomimo rozsądku i pragmatyzmu była romantyczką. Dla mężczyzny, szczęściarza, który miał okazję żyć u jej boku, była zawsze oparciem i służyła pomocą. Przynajmniej tak zapamiętał ją jej mąż — Zbigniew Majchrzak.

— Danuta... — powiedział pod nosem, wpatrując się w nią kompletnie zaskoczony.

Jej obecność go rozbrajała.

— A więc to prawda... — stwierdziła Danuta, patrząc z trwogą i żalem na przywiązanego do krzesła Kowala.

— Danuta, co ty tu, do cholery, robisz?! — zawołał Majchrzak.

— Zbigniew, co ty wyprawiasz z tym człowiekiem? Na miłość boską, wypuść go!

— Ty nic nie rozumiesz... To zadośćuczynienie, zemsta. W końcu to da mi spokój.

— Wszystko rozumiem. Mam ten dziennik, pamiętnik tego nieszczęśnika, Patryka Kowala. Ktoś przysłał mi to jakiś czas temu — powiedziała, machając jakimiś kartkami spiętymi sznurkiem. — Na

początku chciałam wyrzucić. Jednak zdobyłam się w końcu na przeczytanie go. Czy to prawda, co tutaj napisał Patryk Kowal?

— To cała prawda! — krzyknął Patryk, ale widząc ostre spojrzenie Zbigniewa, zrozumiał, że nie powinien się wtrącać w rozmowę.

— To przez niego tak cierpiała nasza córka. To przez niego cierpiałaś ty. Ja też... To jego wina!

— Mylisz się... To ty zniweczyłeś dwadzieścia pięć lat naszego małżeństwa. Omal nie zniszczyłeś też Sylwii. Po usunięciu dziecka, już nigdy nie była sobą. A ty co zrobiłeś? Zamiast być z nami, to pracowałeś, piłeś, szukałeś zemsty, by dać upust swojej agresji. Ta obsesja zemsty cię zniewoliła.

— Mylisz się. Robiłem to dla nas. By Sylwia była znów normalna...

— Potrzebowała ojca, potrzebowała ciebie. A nie supergliny, goniącego za krwawą zemstą. A teraz, popatrz... Zobacz, czym się stałeś... Obsesja tobą zawładnęła.

— Ja, ja... Przecież... To przez niego to wszystko, to przez niego odeszłaś i zabrałaś mi córkę. Zostawiłaś mnie samego. To jego wina! — krzyczał pełen wściekłości Zbigniew i wymierzył z pistoletu w kierunku Patryka.

— Zbyt mocno cię kochałam, by patrzeć jak się unicestwiasz. Poczucie winy niszczyło cię. Chciałam być silna, ale... nie umiałam. Kocham też naszą córkę i nie mogłam pozwolić, by cierpiała.

— Zabiję go i wszystko wróci do normy. Obiecuję — będę znów ojcem i mężem.

Majchrzak przesunął palec na spust pistoletu.

— Nie! Zawróć, dopóki jeszcze możesz. Błagam cię! Nie jesteś sam. Masz mnie, córkę, przyjaciół. To Karina, ona... dręczyła się tym, że przyczyniła się do tego, że masz teraz tutaj tego nieszczęśnika i go torturujesz. Zrozumiała, że to może się źle skończyć. Wygadała się ojcu.

Płakała. Paweł szybko zadzwonił do mnie. Wiedziałam, że to jest jedyne miejsce, gdzie możesz go zabrać... Na naszą działkę. Naszą! Pamiętasz rodzinne pikniki, pamiętasz Zbigniew? Proszę odezwij się! — błagała Danuta.

Zbigniew zamyślił się.

Patryk tymczasem czuł, że ważą się losy jego życia, a on nie ma na to żadnego wpływu. Może siedzieć tylko przywiązany do krzesła i czekać.

— Pamiętam. Było wspaniale. Chcę je powtarzać. Ale to wymaga ofiary. Po jego śmierci ból minie...

— Nie! Zbigniew! — krzyknęła Danuta, podchodząc szybkim krokiem do Majchrzaka.

Chciała go odciągnąć. Ten jednak uderzył ją w twarz. Upadła na zimną betonową podłogę. Patrzyła teraz na Zbigniewa jak na obcego człowieka. Oczy jej przepelnione były strachem i żalem. Broń została teraz wymierzona w nią.

— Kim jesteś? Co zrobiłeś z moim Zbigniewem? — zapytała retorycznie.

— Tutaj jestem. Tylko wyzbyty słabości. Silniejszy niż wcześniej. Teraz będę potrafił was obronić. Ciebie i Sylwię. Możemy pomścić naszą córkę, naszego wnuka. Razem... — mówił Zbigniew, a oczy miał pełne szaleństwa.

— Zmieniłeś się... Proszę cię na miłość boską. Nie miałam dość woli, by zgłosić to na policję. Zbyt mocno cię kocham. Proszę cię, wypuść go i pokonajmy twoją chorobę razem. Pójdziemy do specjalisty.

— Nie jestem wariatem! — krzyknął Zbigniew, a pistolet wystrzelił.

Cała trójka zamarła w bezruchu. Dym z lufy wił się niczym wąż. Majchrzak położył broń na podłodze. Podszedł do bladej ze strachu Danuty. Była cała roztrzęsiona. Kula przeleciała tuż obok niej, robiąc małą dziurę w ścianie. Zbigniew chciał ją przytulić.

Danuta odsunęła się instynktownie, wciąż drżąc. Po chwili jednak dała się objąć Majchrzakowi, który nagle złagodniał, jakby w końcu zrozumiał, że źle robi.

— Zbigniew, proszę, daj sobie pomoc. Wypuść go... — prosiła Danuta.

Zbigniew wstał i jak gdyby nigdy nic rozwiązał Kowala, który był tak oszołomiony obecną sytuacją, że nawet nie potrafił się ucieszyć świeżo uzyskaną wolnością.

— Odejdź. Przepraszam — wydukał ze spuszczoną głową Zbigniew.

— Mam tak po prostu wyjść? Człowieku, omal mnie nie zabiłeś — stwierdził Kowal, nie wierząc, że ma tak po prostu wyjść i zostawić oprawcę samemu sobie.

— Zostaw nas. Zniknij z naszego życia. Ja się nim zajmę — dodała Danuta.

— Masz i nigdy już mi się nie pokazuj na oczy... — powiedział Zbigniew, oddając Patrykowi kluczyki do swojego samochodu.

Kowal zabrał prezent i postanowił odejść, nim wariat zmieni zdanie. Blask słońca uderzył w oczy Patryka, zasłonił twarz rękami. Długi pobyt w ciemnej altanie odzwyczaił go od tego widoku. Po chwili, gdy blask promieni nie męczył już jego wzroku, rozejrzał się.

Dookoła rzeczywiście nie było żywej duszy. Wszędzie łąki. Jak okiem sięgnąć. Spokój na zewnątrz był zupełnym przeciwieństwem tego, co działo się jeszcze kilka minut temu w środku altany Majchrzaka.

Patryk ruszył w kierunku dużego, terenowego auta. Zastanawiał się, jak za wątlą pensję policjanta mógł sobie pozwolić na taki wóz. Przecież musiał kosztować ogromne pieniądze. Kowal zdał sobie sprawę, że Zbigniew nie był „czystym” gliniarzem. Łapówki musiały być u niego na porządku dziennym.

„Jak ten psychol, sadysta i sprzedajny policjant mógł być kochającym ojcem? Był takim w ogóle? Czy może wmawiał sobie, że kocha córkę, by mścić się za jej krzywdę. Dając upust swoim sadystycznym żądom, musiał znaleźć usprawiedliwienie. Musiała nim być zemsta za gwałt na jego córce. Sam motał się w tym przecież. Gdy nie umiał znaleźć sprawcy, to przeniósł gniew na inną osobę...” — rozmyślał Patryk i nagle spostrzegł, że stoi w miejscu.

— Dlaczego stanąłem? Może, może... Dawno tego nie czułem. Sumienie... — mówił do siebie Kowal.

„Gdy nie ma sprawcy, przenosi gniew na kogoś innego — cytował sam siebie. — Muszę uratować tę kobietę. Nie mogę jej zostawić na pastwę losu. Jest tam sama z uzbrojonym wariatem. Zawdzięczam jej życie, a mogę tak po prostu odejść? Nie!”. — Kowal, walcząc sam z sobą, poczuł coś, czego dawno nie doświadczył. Wyrzuty sumienia. Troska o kogoś innego. Wdzięczność. Te uczucia już dawno nie gościły w jego sercu i głowie. Postanowił wrócić do altany i uratować Danutę z rąk niezrównoważonego Zbigniewa. Nie zdążył jednak ruszyć z miejsca, a już usłyszał strzał.

„Spóźniłem się? Nie, niemożliwe!” — myślał, biegnąc w stronę altany. Stwierdził, że dosyć czasu zmarnował na myślenie. Czas działać. Niemal wyłamał drzwi, wbiegając z impetem do środka. W środku zobaczył ciało. Zwłoki leżały na szarej, betonowej podłodze, którą zalewała teraz krew Zbigniewa Majchrzaka.

„Jak to?” — pomyślał zdziwiony, dostrzegając dopiero po chwili klęczącą nad zwłokami Danutę. Wydawało się, że kobieta kompletnie nie zwraca uwagi na Kowala. Nie wiedział, co zrobić. Żadne odpowiednie słowo pocieszenia nie potrafiło się wydobyć z ust Patryka. Postanowił odejść. Po cichu. By nie męczyć już Danuty.

Nim Kowal zdążył wyjść, ta jednak zaczęła coś do niego mówić.

— Słucham? Pomóc pani jakoś? — palnął bez namysłu Patryk.

— On... on chciał, byśmy byli szczęśliwi. Ja i Sylwia. Kochał nas, ale nie umiał tego odpowiednio okazać. Chciał nas obronić przed całym światem, a nie umiał przed samym sobą się ochronić. To go zabiło...

— Czy on... pani go... — spytał Patryk, zbliżając się niepewnym krokiem do Danuty.

— Czy go zabiłam? Tak, ale nie bezpośrednio. Zostawiłam go. Straszna ze mnie egoistka.

— Niech pani tak nie mówi... — próbował ją pocieszyć Patryk.

— Kiedy to prawda! — wykrzyczała ze łzami w oczach.

— Zostawiłam go w momencie, gdy byłam mu najbardziej potrzebna. Nie miał wsparcia, był sam... Gdy wyszedłeś, powiedział mi wszystko. Pożegnał się i... — tutaj słowa utknęły w gardle Danucie i za nic nie chciały się wydobyć.

— Zastrzelił się? — dokończył Patryk.

— Nie, nie według niego. On powiedział, że przeprasza i zabija osobę, przez którą tyle wycierpiałam ja i jego córka. Niedoszły wnuk... miał wyrzuty z tego powodu, że namówił Sylwię do aborcji.

Po tych słowach oboje zamilkli. Patryk znów nie wiedział, co zrobić, wreszcie spytał:

— Pomóc pani? Co z ciałem? — I położył rękę na ramieniu Danuty, ale ona się odsunęła.

— Zostaw nas. Po prostu odejdz. Mam dosyć was wszystkich... — odparła.

Patryk nic już nie powiedział. Podniósł broń, którą zastrzelił się Zbigniew i odszedł. Przy wyjściu raz jeszcze spojrzał na Danutę, która tuliła martwe ciało Zbigniewa. Po chwili zamknął drzwi i odjechał dużym, czarnym terenowym samochodem Majchrzaka...

Następnego dnia...

Patryk obudził się w samochodzie. Wszystko bolało go od ciasnoty, ale lepszy taki dach nad głową niż żaden. Przeciągnął się leniwie i poszedł do pobliskiego sklepu. Kupił kilka bułek, kielbasę i napój energetyczny, który miał go postawić na nogi. Kupił też kilka bandaży, plastrów i środków przeciwbólowych. Gdy stał przy kasie, zauważył gazetę. Jego uwagę przyciągnął artykuł z amatorskimi zdjęciami zakrwawionego Marka Morwina, leżącego na ulicy wśród tłumu. Wokół Morwina zgromadzeni byli policjanci, którzy walczyli z napierającymi dziennikarzami. Kupił także tę gazetę i wrócił do samochodu. Zmienił opatrunki na lewej ręce, którą tak mu okaleczył martwy już Majchrzak. Następnie łapczywie wgryzł się w bułkę i kielbasę, popijając co chwilę napojem. Następnie przeczytał artykuł o zabójstwie Marka Morwina. Z zamieszczonego nekrologu dowiedział się o miejscu i dacie pogrzebu. Wydało mu się dziwne upublicznianie tego obrzędu w tym wypadku, ale cóż... to wydarzenie w kraju.

„Sprawiedliwości stało się za dość!” — widniał nagłówek artykułu zamieszczonego tuż nad nekrologiem Marka.

Patryk musiał to zobaczyć na własne oczy. Wrócił raz jeszcze do sklepu po prowiant na drogę i ruszył we wskazane w gazecie miejsce pochówku Morwina.

Cmentarz główny w Opolu.

16 kwietnia 2009

Gdy dotarł na miejsce, zaparkował tak by wszystko widzieć, a jednocześnie nie zwracać niczyjej uwagi.

Obserwował przez lornetkę cały obrzęd. To był zwykły pogrzeb, tyle że zakłócił go jakiś dziennikarzyna, który chciał zostać bohaterem, udowadniając, że to nie ciało Morwina jest w trumnie.

Ów pismak nie wytrzymał napięcia. Wstał nagle, podszedł do trumny i otworzył wieko, marząc by to nie ciało Marka spoczywało w środku. Ku jego rozczarowaniu, były to jednak blade i nieruchome zwłoki Marka. Dwóch policjantów odciągnęło dziennikarza, na próżno szukającego sensacji i wyprowadziło go z pogrzebu. Ksiądz kontynuował ceremonię. Trzech fotoreporterów przygotowało aparaty, gdy ojciec Mateusz zakończył kazanie. Kolejni łowcy sensacji także się rozczarowali, widząc jak trumna z ciałem została zakopana. Wciąż po cichu liczyli na jakiś zwrot akcji. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Marek Morwin spoczął w drewnianej skrzyni kilka metrów pod ziemią.

Wszyscy bez wyjątku opuścili już teren wokół grobu Marka. Prawie po godzinie zjawiała się Ola Morwin, jego córka. Nie przyszła wcześniej, bo wiedziała, że tak będzie bezpieczniej, tak zrobiłby jej ojciec. W milczeniu wpatrywała się w świeżo wzniesiony nagrobek. Stała tak przez kilka minut płacząc. Położyła kwiaty, obróciła się i ruszyła przed siebie, niosąc w sercu żal do ojca za to, że ją zostawił. Po kilkunastu krokach, jak spod ziemi wyrosło dwóch mężczyzn w kominiarkach. Nie zdążyła zareagować. Złapali ją, a Ola wiała się jak oszalała, próbując się uwolnić. Na próżno.

Jeden z mężczyzn wstrzyknął jej coś w rękę, a próbująca się uwolnić dziewczyna zasnęła. Gdy podjechała furgonetka wrzucili jej bezwładne ciało do środka, po czym samochód ruszył z piskiem opon, opuszczając teren cmentarza.

Patryk omal nie udławił się bułką. Nie zdążył ruszyć za autem ani w ogóle w jakikolwiek sposób zareagować. Był w szoku. „O cholera jasna... To się porobiło. Nie mogę jej tak zostawić! Jestem to winien Morwinowi...” — myślał Patryk.

Po chwili w telefonie pojawiła się wiadomość: *Pogrzeb Morwina to fikcja. On żyje. Ratuj go, a uratujesz PANDORĘ. Przyjaciel.*

Wiadomość tekstowa od nieznanego nadawcy była kolejnym zaskoczeniem dla Patryka. Jednak największe miało dopiero nadejść. Otóż chwilę później zobaczył dwóch mężczyzn z łopatami, którzy stanęli na miejscu, gdzie pochowano Morwina. Zaczęli kopać. Po kilkunastu minutach energicznych ruchów szpadlami, wytarmosili z niemałym wysiłkiem trumnę Marka. Wstrzyknęli mu coś w serce.

— Adrenalina? — pomyślał Patryk.

Po chwili musiał się zgodzić ze swoim przypuszczeniem i sms-em od przyjaciela. Marek Morwin zmartwychwstał. Ciemny samochód, który przed chwilą porwał Olę Morwin, znów pojawił się na cmentarzu. Marek wsiadł do niego. Patryk Kowal postanowił dyskretnie podążać za nimi...

Jakiś czas później...

Patrykowi udało się nie zgubić samochodu, w którym jechał Morwin. Wiedział jednak, że nie może tak jechać wiecznie. W końcu jednak zdał sobie sprawę, że został zdemaskowany, gdy ścigany samochód przyspieszył.

„Czas działać” — pomyślał, po czym mocniej przycisnął pedał gazu.

Uznał, że na drodze poza miastem, gdzie jest mniej samochodów, łatwiej będzie zatrzymać jakoś ścigany samochód. Poza tym, już i tak go zauważyli. Po kilku minutach takiego ścigania auto, którym jechał Morwin, odmówiło posłuszeństwa. Odpadło im jedno koło, a samochód wpadł w poślizg, w końcu zatrzymując się na drzewie.

Patryk wyskoczył z auta i najszybciej, jak tylko umiał podbiegł do rozbitego wozu. Wyciągnął mającą coś Olę, a następnie Marka. Jednak gdy Morwin oprzytomniał, zamiast okazać Patrykowi wdzięczność, rzucił się na niego i zaczął go dusić...

Odcinek 38.

20 marca 1989

ARESZT ŚLEDZCY W WARSZAWIE

Marek Morwin miał na sobie ciemny, pasiasty strój, który przypominał nieco piżamę. Strażnik wprowadził go do sali widzeń, ze względów bezpieczeństwa wyizolowanego, dobrze strzeżonego pomieszczenia. Rozstawiono w nim stoliki, a przy nich krzesła. Po dwa przy każdym stole. Kilka było zajętych. Więźniowie spotykali się tutaj głównie ze swoimi adwokatami, by obmyślać strategię obrony.

Marek wszedł na salę, by się z kimś spotkać. Tą osobą był Edward Krzywda. Siedział już na krześle, czekając na Morwina. Gdy Marek zbliżył się do stolika, zerwał się na równe nogi i poklepał Marka po ramieniu. Miało to oznaczać jednocześnie gratulacje, jak i wsparcie. Obaj usiedli.

— Gratulacje towarzyszu. Spełniłeś swoją misję — stwierdził Krzywda, sztucznie się uśmiechając.

— Taa... gratulacje. Za co? Wpadłem. Wyciągnij mnie stąd.

— Spokojnie. Wszystko w swoim czasie.

— W swoim czasie? Zrobiłem, co chciałeś, włamałem się do Burczyka i zniszczyłem twoją teczkę.

— Musisz być cierpliwy. Jeśli wypuściliby cię tak szybko, to mogłoby to popsuć nasz plan...

— Twój plan? Ja jestem tylko pionkiem. To miało być moje ostatnie zadanie. Obiecałeś.

— Nie jesteś pionkiem. Odgrywasz bardzo ważną rolę. Przysłużyłeś się ojczyźnie. Razem uda nam się pozbyć tych zdrajców narodu.

— Ja już nie chcę nikogo zwalczać. Masz mnie stąd wyciągnąć... I to jak najszybciej!

— Ależ... Marku, po co te nerwy? Masz jakąś wiadomość? Mogę przekazać ją twojej dziewczynie. Musisz tylko powiedzieć, gdzie jest... Na pewno się martwią.

Morwin nie miał jednak zamiaru zdradzać miejsca ich pobytu. Jego ślepe zaufanie do Krzywdy znacznie zmalało. Marek wiedział, że Krzywda mógłby ich użyć jako swego rodzaju karty przetargowej. Postanowił tę grę toczyć sam. Według własnych reguł.

— Wkrótce czeka cię rozprawa, ale nie bój się. Wszystko idzie po naszej myśli — zapewnił Edward Krzywda.

— Zobaczymy... — powiedział Marek i na tym zakończyło się ich dzisiejsze widzenie.

28 marca 1989

Areszt Śledczy w Warszawie

Marek nabrał zwyczaju oglądania przez okno narastających protestów. Przez okno swojej celi widział wiele. Niemal codziennie ktoś strajkował. Kolejarze, robotnicy, lekarze. Tabuny ludzi przetaczające się za oknem uświadamiały Markowi, że w kraju trwa rewolucja. Rodzi się nowa Polska, a umiera stara. Demonstrowali wszyscy, a ich hasłem była SOLIDARNOŚĆ. Kilka razy Marek widział, jak tłum rozpędzono siłą, nieraz bardzo krwawo. Milicja biła pałkami kogo popadło. Czasami rozlegały się strzały...

„To nie miało tak być. Mieliśmy być wolni...” — myślał Marek, który siedząc w celi wiele przemyślał.

Zaczął go zastanawiać termin Solidarność. Choć wiedział wiele o tej organizacji, to chyba dopiero teraz poruszyło go głębsze znaczenie tego słowa.

„Czy naprawdę walczyłem za wolną Polskę? Czy może jestem tylko narzędziem komunistów? Nie mogłem być aż tak głupi” — myślał Marek. — „Solidarność, solidarność...” — powtarzał w duchu. Rozmyślania przerwał mu strażnik.

— Morwin, wizyta! — krzyknął i zabrał go do pomieszczenia, gdzie ponownie miał się spotkać z Edwardem Krzywdą.

Był schludnie ubrany. Elegancki, opanowany. Przywitał się z Markiem i zagadnął.

— Jak sobie radzisz towarzyszu?

— Żyję, jakoś żyję. Kiedy mnie stąd wyciągniesz? — Marek przeszedł od razu do konkretów

— Wiesz, zaszły pewne komplikacje... Nie zdajesz sobie sprawy, co teraz tutaj się dzieje. Czuję, że komunizm może wkrótce upaść. Wszystko się zmieni. A zostaną tylko najsilniejsi. Każdy walczy, by nie upaść z komunizmem...

— To znaczy?

— Te strajki... Nie możemy już ich stłumić. Trzeba coś innego zrobić. Pewna formuła się wyczerpała. No i mamy, teraz to się nazywa „Obrady Okrągłego Stołu”. Też w nich uczestniczę. Wydaje mi się, że ludzie z Solidarności zebrali nawet pieniądze, by część opozycji komunistycznej przekupić. Nadchodzi czas zmian i może wkrótce będę potrzebował Pandory. Ukryłeś ją tam, gdzie ci powiedziałem?

— Tak. Jest tam. Pojedziemy po nią razem, gdy wyjdę — skłamał Morwin, czując, że traci zaufanie do niedawnego guru.

Dostrzegł wreszcie egoistę i czuł, że zostanie zdradzony. Zdawał sobie coraz bardziej sprawę, że był tylko narzędziem w rękach Edwarda Krzywda. Niezwykle skutecznym narzędziem.

— To dobrze. A co u twojej dziewczyny? Radzi sobie? Może jej pomóc, przekazać coś? — zapytał Krzywda

— Nie wspominaj mi o niej towarzyszu. To była zła kobieta. Zdradzała mnie, szmata. Nie była mnie warta. Zostawiłem ją.

— Aha... cóż... rozumiem. Znam kobiety. To zdradliwe hetery. Gdy ten okrągły stół się zakończy, będziesz wolny i dostaniesz tyle kobiet, ile zapragniesz — powiedział Krzywda, po czym się pożegnali.

Gdy Marek upewnił się, że Edward Krzywda wyszedł, poprosił strażnika o telefon. Miał do tego prawo. Po kilkunastu minutach był już przy aparacie telefonicznym. Numer domu Marysi znał na pamięć, gdyż nie miał zwyczaju zapisywania rzeczy na kartce. Tak było bezpieczniej. Nauczyło go tego doświadczenie.

— Zamawiam zamiejscową — powiedział Marek do słuchawki.

— Karolczyk, słucham — odezwał się głos po około minucie.

— Zastałem Marysię?

— Tak, już proszę — odezwał się głos.

Po chwili Marek usłyszał znajomy, delikatny głos:

— Marysia Zamkowska, słucham.

— To ja, Marek.

— Marek? Boże! Gdzie ty się podziewasz? Od kilku tygodni nie dałeś znaku życia. Ty wiesz, co ja tu przechodzę?! Brzuch już rośnie, widać ciążę.

— Marysiu, jakie imię wybrałaś. Takie o jakim mówiliśmy?

— Tak. Chłopczyk będzie Aleksander, a dziewczynka Aleksandra.

— To ładnie. Czuję, że to będzie dziewczynka. Będzie piękna, jak ty...

— Marek, ale co się dzieje? Co z tobą? Jesteś jakiś smutny. Coś się stało?! — wypytywała Marysia.

— Nie stało się, ale się stanie. Nie możemy długo rozmawiać, bo cię wyśledzą. Nie jestem tym, za kogo się podaję. Nie do końca... — wyznał.

— Co? Ale... o co ci chodzi? Jacy oni?

— Nazywam się Marek Morwin. Jestem agentem SB. Zrobiłem wiele złych rzeczy, ale... kochałem cię... Tylko to było w moim życiu prawdziwe. Teraz muszę odpokutować za to, co zrobiłem. Ty... znikniesz. Nigdy nie powiesz nikomu, kim byłem.

— Marek, ale... porozmawiajmy... Nie możesz być złym człowiekiem. Znam cię. Gdzie ty w ogóle jesteś?

— Jestem w więzieniu i tu pewnie jeszcze trochę posiedzę. Ty nigdy nie będziesz mnie szukać, nigdy nie odwiedzisz. Nie mogą dowiedzieć się o nas. Jeśli kochasz naszą córkę, jeśli przez chwilę kochałaś mnie... zrozumiesz i zapomnisz.

— Ale Marek... — powiedziała cicho Marysia, a Morwin czuł, że dziewczyna płacze.

— Musisz być silna. Dla Oli, czy Olka... Niedługo wiele się zmieni. Muszę kończyć. Żegnaj...

Marek odłożył słuchawkę, słysząc jeszcze w głowie smutny głos Marysi. Wiedział, że strasznie ją skrzywdził. Nie było jednak wyjścia. Musiał ją chronić na tyle, na ile się da.

— Strażnik! — zawołał.

I po chwili strażnik odprowadził go do celi.

30. marca 1989

Rządowy budynek (spotkanie Krzywdy i Burczyka)

Do gabinetu Edwarda Krzywdy wpadł wściekły Zenon Burczyk.

— Witajcie, towarzyszu Burczyk — powiedział spokojnie Edward, przerywając lekturę książki.

— Przestań chrzanić! Nie wiesz, co się dzieje?! — krzyczał Zenon.

— Uspokój się, Zenek. Mów o co chodzi...

Burczyk opanował się i usiadł. Po chwili głębokich oddechów odezwał się nieco spokojniejszym tonem:

— Dorski zniknął. Pandora także. Wykiwał nas.

— Jak to wykiwał? Co ty bredzisz?! — teraz to Edward był zdenerwowany, a przynajmniej starał się, by tak wyglądało.

— Teraz to ty się uspokój. Złapano jakiegoś kolesia. Morwin Marek. Włamał się do mojego domu. Szukał czegoś, nie wiem, czy znalazł. Śmierdzi mi to...

— A co z Dorskim? Jakież ślady?

— Nie, nic. Zero. Zabrał pieniądze i Pandorę. Zniknął, to nielogiczne. Za grosz. Wiesz, że Pandora... Gdyby jej użyto, to może się dla nas bardzo źle skończyć... — stwierdził Burczyk.

— Dla ciebie. Dla mnie niekoniecznie.

— Co?! Zapomniałeś co tam jest?!

— Daj spokój. Dobrze wiesz, że Morwin jest ode mnie. Skończ z tymi gierkami. Przyznaję się. To ja go tam wysłałem, by zniszczył moją teczkę.

— Ale dlaczego to zrobiłeś?! Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi, że gramy w jednej drużynie.

— Bo gramy. Teraz jestem czysty. Jestem fair i przyznaję się.

— Hmm... Teraz mój ruch, przyjacielu. Tego Morwina ci nie odpuszczę. Przestraszył moją córkę, żonę... To plama na moim honorze, żeby byle kto wchodził do mojego mieszkania. Pozwól mi go chociaż użyć jako przestrogi dla innych...

— To znaczy, że czego oczekujesz ode mnie? — zapytał Krzywda.

— Użyję wszystkich znajomości, by posiedział trochę w pierdlu. Inni odważni rozumieją, że nie warto ze mną zadzierać. Teraz, gdy zniknął Dorski i Pandora, musimy sobie sami radzić — odparł Burczyk.

— Cóż... Morwin był dobrym agentem, ale... Cóż... daj mi kilka dni do zastanowienia. Na razie mamy kolejne zebranie Okrągłego Stołu.

— A właśnie! Chodźmy przyjacielu, bo się spóźnimy — powiedział Burczyk i po chwili razem opuścili gabinet Edwarda Krzywdy

5 kwietnia 1989 — upadek komunizmu

Marek Morwin, jak to miał w zwyczaju, wyglądał przez okno swojej celi, do której zdążył się już przyzwyczaić do oczekiwania na proces, bo przy obecnych czasach i takim natłoku ważnych wydarzeń nie mógł liczyć na szybkie zakończenie sprawy. Co dzień za oknem widział tłumy. Tym razem jednak nie było milicji tłumiącej strajki. Ludzie szli i wołali: „Solidarność zwyciężyła! Solidarność!”.

Marek zdał sobie sprawę, że tego dnia coś się zmieniło. Czuł, że teraz wszystko w Polsce będzie inaczej. Zrozumiał, że tacy jak on stają się dinozaurami poprzedniej epoki. Starą tapetą na ścianie, którą trzeba zedrzeć, by położyć nową, może lepszą, może nie, ale z całą pewnością świeżą i inną.

Tymczasem oglądanie tłumy przerwał Markowi strażnik.

— Masz gościa, Morwin — powiedział.

Marek widział, że ludzie dookoła są jacyś weselsi niż zazwyczaj. Kilku więźniów wołało:

— Władza dla ludu!

Lub:

— Solidarność!

Czy:

— Ruscy won!

Morwin znów spotkał się z Edwardem Krzywdą.

— Witaj, towarzyszu — powiedział pierwszy Morwin.

— Witaj towa... ekhm... panie Marku. Dajesz radę w tej celi? — zapytał Krzywda z udawaną troską.

— Przyzwyczailem się. Nie będę pytał już o wydostanie mnie stąd, bo wiem, jak to działa.

— To znaczy, jak co działa?

— Nieważne. Co tam się dzieje na zewnątrz? — zapytał Marek, zmieniając temat.

— Cóż... Okrągły Stół... Te zebrania zmieniły historię. Wałęsa... cóż... wygrał. Czekał, jak on to powiedział? Hmm... Ooo! „Gdy wygrywam ja, wygrywa cały naród”. Nie kraj — naród... Ciekawe. Umie porwać tłum, nie powiem. Marku, tak jak ci już mówiłem, teraz w Polsce wiele się zmieni, a my dinozaury starego ustroju musimy trzymać się razem. Nie chcemy zatonać razem z tym okrętem, choć tak jak mówiłem, przetrwają tylko najsilniejsi.

— Ty niby jesteś tym silnym? — zadrwił Marek.

— Oczywiście. A może myślałeś, że ty nim jesteś? Popatrz na siebie. Gniesz tutaj, a jeśli ja ci nie pomogę, to nikt ci nie pomoże.

— Jakoś nie widzę u ciebie chęci pomocy. Są tylko kłamstwa. W tym jesteś rzeczywiście „silny”.

— Słuchaj Morwin! Dobrze wiem, że nie ukryłeś Pandory tam, gdzie ci kazałem! Sprytnie, w końcu zaczęłeś sam myśleć. Dziś byłem ją zobaczyć, w końcu przestali mnie obserwować i łązić za mną. Mam dla ciebie propozycję — prosty układ. Oddasz mi Pandorę, to wyjdiesz na wolność. Dociera to do ciebie?

— Cóż... Nie mam ochoty słuchać już twoich rozkazów. Zbyt wielu ludzi zginęło przez twoje gierki. Dopiero teraz to rozumiem. Pandora pozostanie tam, gdzie jest. A gdy zechcę, zostanie ujawniona.

— Daj spokój, na mnie nic tam nie ma. Zresztą, nie wiesz, jak jej użyć. Jesteś na to za głupi.

— Za to ty jesteś taki inteligentny, aż musiałeś wysługiwać się mną. Udawany tatuś. Weź przestań, nigdy nie chciałbym takiego ojca. Śmierdzisz. Ja oddaję się pod osąd Bogu i nowej Polsce. Osądzą mnie sprawiedliwie i zacznę nowe życie. Bez ciebie!

— No proszę. Jaki teraz chrześcijanin z ciebie. Gdy zabijałeś dla mnie, to nie byłeś taki święty. Dla twojej informacji — Zenon Burczyk, tak, ten do którego się włamałeś... On załatwi ci długi pobyt w więzieniu. Zapewniam, że może. Bez mojej pomocy zgnijesz tutaj.

— Mam gdzieś twoją pomoc. Zostaw mnie w spokoju.

— Zobaczymy, jak długo będziesz mógł tak „spokojnie” żyć. Nie jesteś normalnym człowiekiem, jesteś uzależniony od przemocy, zabijania... Nie przetrwasz w normalnym świecie. Kiedyś wrócisz do mnie, zapewniam...

— Nie mam pewności, że gdy oddam ci Pandorę, to mnie wypuszczą. Że coś zrobisz. Więc nie mam powodów, by się jej pozbyć. Nie zabijesz mnie też, nie zlecisz tego, bo wiesz... czujesz, że kiedyś możesz jej potrzebować i liczysz, że mnie przekonasz... To twoje zabezpieczenie. I moje.

— Marku. Tyle lat dobrze mi służyłeś. Bez ciebie nie byłbym teraz w tym miejscu, w którym jestem. Teraz jednak zaczynam nowy etap kariery. Wbrew moim obawom, jak na razie daję sobie radę sam, bez tej całej Pandory. Może kiedyś się przyda, ale... No cóż, posiedzisz to przemyślisz pewne sprawy. Może jak twoja dziewczyna, czy dzieciak zatęsknią, to zmięknie.

— Zostaw je w spokoju! Jeśli coś im zrobisz, to zabiję. Zabiję jak psa!
— wykrzyczał wściekły Marek.

Strażnik stojący na końcu sali chciał podejść, ale Edward Krzywda uspokajającym gestem ręką dał znak, że wszystko w porządku.

— A więc jednak jej nie zostawiłeś i masz dzieciaka... No proszę, nie myślałem, że tak łatwo cię podejść. Tracisz czujność, Marek. Oj, wychodzisz z formy.

Marek zrozumiał swój błąd i głupotę.

— Nie znajdziesz ich... poza tym, zawsze mogę wygadać się Burczykowi. To twój przyjaciel, nie? Ciekawe, jakby zareagował, gdyby znał prawdę.

— Oj, strasznie by się zmartwił. Ojej... Wszystko się zmienia Morwin. Ludzie, czasy, sposób działania. Po pierwsze, wątpię, by uwierzył jakiemuś kryminaliście, a nie swemu przyjacielowi. Po drugie, już mnie to nie obchodzi. Spaliłeś moją teczkę, jestem czysty, a on nic na mnie nie ma. Po trzecie: wie, że jest mi jeszcze potrzebny, tak jak i ja jemu. Razem potrafimy działać więcej. Zajedziemy daleko, zobaczysz. Kto wie, może kiedyś zostanę prezydentem tego kraju?

— Nie bądź śmieszny. Nigdy nie wybiorą kogoś takiego jak ty.

— Heh... Może nie dawnego mnie, ale kto wie, co będzie za ileś tam lat. Idę w górę, ty idziesz w dół. Takie życie. Pognijesz w więzieniu, to będziesz miał czas na przemyślenia. Może napiszesz książkę? Mam nawet tytuł. „Więzień zemsty”. Dobrze, co?

— Strasznie... — przyznał ironicznie Marek.

— Oj, poczucia humoru już ci brakuje. No dobra, Marek, będę zniknął... Obowiązki wzywają. O twoją kobietę i dzieciaka na razie się nie martw. Może bym ich znalazł, może nie. Na razie nie mam ochoty znów brudzić sobie rąk i sumienia. Dopiero, co je wyczyściłem. Mam ochotę się zmienić...

— Zmienić? Ty?!

— Kto wie, może zostanę dobrym człowiekiem. Miłego gnicia, więźniu zemsty — zadrwił Edward Krzywda i lekkim krokiem opuścił salę przesłuchań, zostawiając Marka samego na długi, długi czas.

W końcu doszło do procesu. Stało się tak, jak mówił Krzywda. Zenon Burczyk użył swoich układów i znajomości. Zapewne nakłonił go do tego sam Krzywda, a jeśli nie, to i pewnie zbytnio się nie sprzeciwiał. Tak czy owak, wyrok był skazujący. Spreparowane dowody umieściły Marka Morwina w więzieniu we Wronkach na długie 10 lat...

Podczas tego czasu miał okazję zrobić rachunek sumienia. Nie zdawał sobie sprawy, że czas spędzony za kratkami może go zmienić. W tym czasie sporo czytał. Dowiedział się także prawdy o komunizmie. Musiał pogodzić się, z tym, że przez wiele lat był wykorzystywany i ulegał manipulacjom.

Często cytował w duchu słowa pewnego autora: „Nowy ustrój, nowa władza kiedyś i tak staną się starym ustrojem i starą władzą. Więc w gruncie rzeczy to to samo”.

Marek szczególnie upodobał sobie notatkę z pewnej książki. Była dla niego symbolem własnej głupoty. Rzeczą, która przypominała mu o błędach przeszłości. Brzmiała ona tak:

„Ruch komunistyczny oddzielił się od ruchu socjalistycznego w pierwszej połowie XX wieku. Komunizm to ideologia społeczno-polityczna, dążąca do przebudowy

społeczeństwa, której celem było zdobycie władzy drogą rewolucyjnej przemocy, a nie w sposób demokratyczny. Ustrój ten po II wojnie światowej został wprowadzony w niektórych państwach europejskich (m.in. w Polsce) drogą terroru przez partie komunistyczne przy pomocy Związku Radzieckiego.

Rządy partii komunistycznych realizowano metodami przymusu i terroru o różnym stopniu nasilenia, przy równoczesnym odcięciu kontaktów ze światem zewnętrznym. W fazie rozwoju komunizm charakteryzował:

- szybki wzrost gospodarczy (nacisk na produkcję, wykorzystanie rezerw siły roboczej, zwiększona eksploatacja zasobów naturalnych),*
- zmniejszenie funduszy na przemysł lekki i spożywczy i ochronę środowiska,*
- mobilizacja ludności metodami przymusu politycznego i policyjnego,*
- masowe przemiany społeczne (urbanizacja, wzrost wykształcenia, ruchliwość społeczna).*

Te cechy rozwoju decydowały o poparciu komunizmu przez te grupy społeczne, które odniosły korzyści ze zmian.

Jako datę kończącą okres Polski Ludowej można przyjąć 29 grudnia 1989 roku, kiedy to uchwalono ustawę o zmianie Konstytucji PRL i w której zmieniono nazwę państwa na Rzeczpospolitą Polską, bądź datę 4 czerwca 1989 roku — datę pierwszych, częściowo wolnych wyborów. Data taka jest związana też ze słynnym, wygłoszonym nieoczekiwanie 28 października 1989 r. w Dzienniku TVP oświadczeniem znanej aktorki Joanny Szczepkowskiej: »Proszę państwa, 4. czerwca 1989 roku skończył się w Polsce komunizm« — oświadczenia

przyjętego wówczas niejednoznacznie, a po latach uznawanego za symboliczne”.

(źródło:

http://strefawiedzy.polska.pl/historia/kalendarium/powojenny/article,Upadek_komunizmu_1989,id,169764.htm)

Tymczasem Marek po kilku latach odsiadki we Wronkach, dostał pierwszy list. Podpisany Janek Kopacz...

Odcinek 39.

PATRYK KOWAL — MAREK MORWIN

po wypadku na drodze (Morwina i Kowala)

Kowal, którego twarz zdążyła już przybrać zielony odcień spowodowany brakiem tlenu, po omacku dobył broni schowanej za paskiem z tyłu spodni. Poszukał wzrokiem Oli i wycelował w nią. Gdy Morwin to spostrzegł, jego uścisk natychmiast się rozluźnił, a Patryk cofnął się kilka kroków, z trudem łapiąc powietrze.

— Omal mnie nie udusiłeś typie! Ratowałem was!

— Ratowałeś? Omal nie zginęliśmy przez ciebie! Co ci strzeliło do łba, by nas taranować?!

— A co niby miałem zrobić? Stanąć przed rządowym samochodem i powiedzieć: „Stój muszę pogadać”?

— Nieważne. Myślałem, że zmądrzejesz i w końcu dasz mi spokój. Dzięki mnie nie siedzisz w pudle.

— Co?! To właśnie przez ciebie miałem tam wylądować.

— Ty debil. Gdy poszedłem z nimi na układ, dla wszystkich miałem być martwy. A trup przecież nie siądzie w sądzie nie zacznie sypać!

— I ty im uwierzyłeś? Durny jesteś.

— Tak. Uwierzyłem. W końcu pozbyłbym się tej Pandory, a moja córka żyłaby w spokoju. Skąd w ogóle pomysł, że to przekręt? Nie zrobili nic, co nie pozwoliłoby im ufać.

— Ta... Przybrali inną strategię. Zamiast cię zabijać, wyciągną z ciebie dla pewności Pandorę i wtedy zabiją. To nie Krystyna Kanis jest wrogiem. Ona chce tylko Pandorę. Rząd chce się ciebie pozbyć...

— Ciekawe teoria. Ale nauczyłem się, że nie można ci wierzyć.

— To nie wiem. Poszukaj czegoś w aucie. Papiery czy coś. Założę się, że pusto.

Marek zajrzał do rozbitego samochodu. Znalazł tam dokumenty, dwie teczki, w których miały znajdować się nowe dokumenty dla Oli i Marka. Były tam tylko puste kartki, które rozwiął nagły podmuch wiatru.

— Tato, jak to? — zapytała Ola, dochodząc do siebie.

Morwin, pełen wściekłości, walnął pięścią w dach auta.

— Mówiłem Morwin? Miałem wiadomość od przyjaciela i założę się, że to Krystyna Kanis. Zawdzięczasz jej życie. No i mnie... — powiedział Patryk, odczuwając ulgę, że tym razem przeczucie go nie zwiodło i warto było zaufać Krystynie.

Markowi to nie wystarczało. Sprawdził puls nieprzytomnego kapitana Krysiaka. Był wyczuwalny.

Morwin ocucił go kilkoma mocnymi uderzeniami otwartą dłonią w twarz. Krysiak przebudził się i zawył z bólu. Miał w nogę wbity kawałek blachy. Zabrał telefon jemu i martwemu kierowcy.

— Morwin... o, jak dobrze. Pomóż mi to wyjąć — wycedził, widząc stojącą koło siebie postać.

— To nie jest dobry pomysł. Blacha tkwi w tętnicy udowej — odparł Marek, badając ranę wzrokiem.

— No i co? To wezwij karetkę, wyjmij to. Nie wiem, pomóż mi!

— Zostaw go tam. Znam się na tym, ale jakoś nie mam ochoty pomagać — rzucił Patryk, badając Olę.

— Zostaw ją! — krzyknął Morwin.

Patryk odsunął się i podniósł ręce do góry.

— Spokojnie. Wszystko z nią okej. Bez szwanku — dodał, odchodząc do tyłu.

— Kto to jest? — zapytał Krysiak.

— Ja tu zadaję pytania, Krysiak. Dlaczego chcieliście mnie oszukać?
— zapytał Morwin.

— Co? Nie wiem, o co ci chodzi. Dostaniesz status świadka koronnego za Pandorę, mam z tyłu... — tłumaczył się Krysiak, ale nagle zawył z bólu.

To Marek złapał blachę wbitą w udo Krysiaka i wepchnął ją ciut głębiej.

— Co ty wyprawiasz!? Cholernie boli! – krzyczał.

— Przestań bredzić. Jeśli powiesz prawdę, to zadzwonię po pogotowie. Jeśli nie, to wyjmę tę blachę. Przystanie boleć, ale wykrwawisz się w mniej niż cztery minuty. Wybieraj! — powiedział ostro Marek i znów wepchnął blachę ciut głębiej.

Krysiak zawył.

— To moi zwierzchnicy... — mówił z grymasem cierpienia kapitan. — Nie udało się ciebie wyeliminować w Chorwacji. Zmieniliśmy więc strategię... Kilka wysoko postawionych osób chce odzyskać Pandorę. Stwierdzili, że eliminacja ciebie bez wcześniejszego zdobycia Pandory jest zbyt ryzykowna.

— Co mieliście zrobić ze mną i moją córką po zdobyciu Pandory?!

— Natychmiastowa eliminacja. Ale ja nie... Wezwij karetkę... proszę...
— błagał Krysiak ledwie słyszalnym szeptem.

— Czy twoi zwierzchnicy... ludzie wysoko postawieni... nie wiem, kto ci tam szefuje... mówiłeś, że ktoś z rządu? Zapytam tylko raz. Czy to wy zabiliście moją żonę, Marię Morwin? Czy to wy wysadziliście mój dom w Chorwacji? — cedził przez zęby Morwin, tak by tylko Krysiak go usłyszał.

— Tak — powiedział słabnącym głosem Krysiak.

W tym momencie Morwin wyjął kawałek blachy, a kapitan Krysiak zaczął coraz mocniej krwawić.

— Teraz zadzwoń... Oddaj telefon... Cokolwiek... Wykrwawię się...
Proszę.

— Jeśli przeczołgasz się kilkanaście metrów, nim się wykrwawisz, to wezwiesz karetkę i przeżyjesz. Dam ci szansę, której wy nie daliście mojej żonie. Technicznie rzecz ujmując, to nie ja cię zabijam. Teraz żegnam — skwitował Morwin.

Rzucił oba telefony agentów rządowych do rowu, oddalonego kilkanaście metrów od rozbitego auta i wykrwawiającego się kapitana Krysiaka.

— Niezły rzut — stwierdził Patryk.

— Zabieramy się stąd — odparł chłodno Morwin.

— Czeka! — wypalił nagle Kowal.

— Co jest? — zapytał zdziwiony, gdy ten podał mu broń.

— To po to byś mi zaufał. Będziesz panem sytuacji.

— Dobra. Jedziemy po Pandorę — powiedział Morwin, chowając broń za pasek.

Raz jeszcze sprawdził, czy nic się nie stało Oli. Chciał pomóc jej wstać, ale obyło się bez tego. Dała radę sama.

— To dokąd mam jechać? — zapytał Kowal.

— Opole. Jana Kazimierza 3/16, ale najpierw do sklepu. Potrzebne nam będą młoty i kilofy... — odparł Marek.

Jakiś czas później...

OPOLE — osiedle Jana Kazimierza

Trzech studentów turystyki miało tego dnia wolne. Wykorzystali więc owy czas na małą imprezę.

— Irek odłóż laptopa w końcu. Impreza jest, a nie ciągle F1. Zajedziesz się. Dosłownie! — rzucił Tomek okularnik.

Poprawił swój szary sweter, podciągnął czarne spodnie, czekając na reakcję kolegi. Gdy kolega nie zwracał uwagi na Tomasza, ten nie wytrzymał — wyłączył elektryczne korki.

Ireneusz siarczyście przeklął.

— Ej, debilu! Ściągałem coś! — krzyknął siedzący nieopodal Mariusz, któremu brak prądu nagle też wyłączył komputer.

— Sam jesteś debil. Uspokój się. Palimy w końcu, czy nie? Mariusz, Irek, co jest? — Wyraźnie hamując swój gniew, pytał Tomek, zwracając się do Mariusza, wysokiego chłopaka o krótkich czarnych włosach,.

Mariusz poprawił swoje niebieskie polo z logiem reprezentacji Włoch i uśmiechnął się. Irek także zapomniał o wcześniejszych urazach. Tomasz wyciągnął z kieszeni małe białe karteczki zwane bletkami i zmieszał marihuanę z tytoniem. Zrobił trzy skręty, po czym rozdał i odpalił. Nagle Irek zakaszał, podobnie jak i Mariusz.

— A Rafał dokąd znów polaził? — zapytał Ireneusz, trąc ręką łzawiące, przekrwione oczy.

— Pewnie jutro przyjedzie dopiero. Jego strata. He, he, he... — zaśmiał się Tomasz.

Zawtórowali mu pozostali imprezowicze.

Minęło kilka minut na śmiechach z niczego. Nagle wszystko dookoła stawało się śmieszne. Od nosa Mariusza, po firanki powieszzone przez Rafała. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Tomek pobiegł, by otworzyć. Zajrzał przez wizjer, by zobaczyć, kto to, ale wzrok już zawodził.

— Kto tam? — zapytał, śmiejąc się pod nosem.

— Ekipa remontowa — odezwał się głos.

— Właściciel — dodała druga osoba.

Tomek niewiele myśląc otworzył. Stał przed nim Marek Morwin i Patryk Kowal. Obaj trzymali wielkie młoty. Weszli bez ceregieli do mieszkania i skierowali się do pokoju. Tomek szedł za nimi, mówiąc coś, ale nie zwracali na niego uwagi. Usadowił się więc na kanapie obok Ireneusza i Mariusza. Tak jak i oni szeroko otworzył buzię i wpatrywał się w nowo przybyłych. Mężczyźni zaczęli walić w ścianę wielkimi młotami. Po kilku minutach takiego kucia zrobili wielką dziurę. Wyjęli z niej jakąś skrzynię i po prostu wyszli z mieszkania. Studenci nie zareagowali, tylko palili dalej.

Kilka godzin później...

Niski, niebieskooki chłopak otworzył drzwi mieszkania na osiedlu Jana Kazimierza. Zdjął z pleców duży plecak i wszedł do zadymionego pokoju. Kaszlnął mocno. Zobaczył Mariusza, Irka i Tomka. Spali koło siebie na kanapie na siedząco. Rafał odganiał dym machając ręką, ale dopiero gdy otworzył okno, to po chwili zobaczył wielką dziurę w ścianie i dwa wielkie młoty koło niej. Zaklął siarczyście, dając wyraz swemu zdziwieniu i zdenerwowaniu. Trzej studenci przebudzili się nieprzytomni. Irek wrócił do spania po sekundzie, tylko zmienił pozycję.

— Co się dzieje? — zapytał z zamkniętymi oczami Mariusz, wciąż jakby pochłonięty snem.

— To się dzieje! — krzyknął Rafał, wskazując ręką na wielką dziurę w ścianie.

— Aha... Nie no, dziś twoja kolej sprzątnięcia — rzucił Tomek, a Irek wraz z Mariuszem zaśmiali się przez sen.

Rafał znów siarczyście zaklął i wściekły wyszedł z pokoju.

Jakiś czas potem w Opolu w starej, opuszczonej fabryce mebli...

Patryk niósł Pandorę, która przypominała nieco większy neseser. Rzucił to na podłogę i usiadł.

— Kurde, tyle zachodu dla jakiejś skrzyneczki. Nigdy nie chciałeś zajrzeć, by dowiedzieć się, co w niej jest? — zapytał Patryk.

— Nie. Nigdy. Myślałem, że pewnych zasad trzeba przestrzegać. Poza tym znałem legendę o Pandorze. W posagu otrzymała ona szczelnie zamkniętą glinianą beczkę, którą Epimeteusz i Pandora z ciekawości otworzyli. Znajdowały się w niej wszelkie nieszczęścia, które rozeszły się na cały świat. Na dnie puszek była jednak, zgodnie z wolą Zeusa, nadzieja. Według innej wersji mitu to Pandora ją otworzyła z ciekawości, gdy Epimeteusza nie było w domu; nieszczęścia uleciały, nadzieja zaś została uwięziona, gdyż Pandora zatrasnęła wieko.

— Spoko... Widzę, że czytałeś. A ja na przykład wiem, że puszka Pandory to symbol nieszczęść, czegoś, co wywołuje mnóstwo nieprzewidzianych trudności, źródło nie kończących się smutków i kłopotów.

— To sobie pogadaliśmy o historii, ale czas brać się do roboty — rzucił Morwin.

— Czemu zamknąłeś Olę w aucie na dole? — zapytał Patryk.

— Nie chcę, by była przy tej rozmowie. Boję się, że mogę coś zrobić Krystynie Kanis.

— No, ej... Nie taki był nasz plan. Pamiętaj, że przybywa tutaj...

— Wiem, wiem. Pozbywamy się ochrony i ucinamy sobie z nią pogawędkę. Dzwon czy tam pisz do niej. Nie będę tu siedział wiecznie...

— zniecierpliwiał się Morwin, spoglądając na zegarek.

Patryk przesłał Krystynie sms: *Mam PANDORĘ. Jeśli wciąż jesteś zainteresowana, to czekam pod tym numerem. Patryk Kowal.*

Po kilkunastu minutach jego telefon zaczął wesoło podskakiwać na skrzyni pod wpływem wibracji. Na ekranie widniał napis: „połączenie prywatne”.

Patryk odebrał i usłyszał po drugiej stronie znajomy kobiecy głos.

— Tu Krystyna Kanis. Mam pieniądze. Prześlij mms-a ze zdjęciem Pandory. Wiem, jak wygląda, nie oszukasz mnie — powiedziała, a Patryk spełnił jej prośbę.

Po chwili telefon znów się odezwał.

— Widzę, że naprawdę masz Pandorę.

— Tak, mam. Masz pieniądze?

— Zdobędę w ciągu godziny. Podaj miejsce i czas wymiany.

— Stara fabryka mebli. Racibórz, Fabryczna 14. Nie próbuj sztuczek. Zadzwoń jeszcze. Tym razem radzę ci odbierać moje telefony... — zagroził Patryk, po czym rozłączył się, nie mając ochoty słuchać tłumaczeń Krystyny.

Po godzinie była już na miejscu. W towarzystwie dwóch barczystych ochroniarzy weszła na piętro po niepewnych schodach. Zobaczyła Patryka, stojącego obok Pandory.

— A jednak naprawdę ją masz — ucieszyła się.

— A mam. A pieniądze są? — zapytał Patryk.

— Tak, tak. Pięćdziesiąt tysięcy złotych — odparła zapatrzona w Pandorę.

— Niech twój goryl przyniesie — rozkazał Kowal.

Wysoki mężczyzna o szerokich ramionach podszedł z walizką pełną pieniędzy do Patryka. Ten zajrzał do środka, upewniając się, że zawartość jest dla niego w pełni satysfakcjonująca. Tuż po tym jak zamknął walizkę znikąd pojawił się Marek Morwin i złapał za szyję

jednego z ochroniarzy. Gdy kolejny sięgał po Pandorę, Patryk uderzył go z całej siły w głowę ciężką walizką z pieniędzmi.

Krystyna nie spanikowała. Wiedząc, że i tak nie ma drogi ucieczki, stała spokojnie i niczym wódz na polu bitwy obserwowała zdarzenia, które przed chwilą zaszły.

— Myślałem, że masz mądrzejszych ochroniarzy — rzucił żartobliwie Patryk.

— A ja myślałam, że to wy jesteście mądrzejsi. Trzeba było oddać mi Pandorę i odejść — stwierdziła szyderczo Krystyna Kanis.

— Ależ my nie mamy zamiaru jej pani zabierać. Zadowolili nas za to kilka odpowiedzi. Mamy kilka pytań. Im szybciej to załatwimy, tym szybciej się rozstaniemy i wrócimy do swoich spraw — mówił Patryk, podsuwając Krystynie krzesło.

W tym czasie Marek związał jej dwóch nieprzytomnych ludzi. Raz jeszcze obszedł całe pomieszczenie, jakby czegoś szukał. Spozstrzegł kilku innych ludzi Krystyny. Stali dwa piętra niżej.

„Dlaczego nie interweniują?” — zastanawiał się Morwin.

— Myślisz dlaczego ich jeszcze tu nie ma? Kazałam im czekać na mój znak, choćby nie wiem co, a oni są jak ty... jak ty kiedyś, ślepo posłuszni. Wystarczy odpowiednio zapłacić — powiedziała Krystyna Kanis, a w jej głosie dało się odczuć nutkę pogardy

Rzeczywiście nie wchodzili na górę. Wyglądało na to, że czekają na czyjś rozkaz.

— Kowal, na dole jest ich więcej — stwierdził Morwin.

— Tak, jest ich więcej. Wkroczą tu, zabiją wszystkich. Chyba, że ja postanowię inaczej. Macie kilkanaście minut. Jeśli zechcę, to żywi stąd nie wyjdziecie. To ja jestem panią sytuacji... — stwierdziła Krystyna z triumfem w głosie. Tymczasem Patryk podniósł broń ochroniarza pani Kanis i wycelował w nią.

— A co jeśli cię tym grzecznie przekonam?

— Nie rozśmieszaj mnie. Jesteś fizjoterapeutą, a nie mordercą.

— Chcesz się przekonać? — odparł Kowal zbliżając się do niej.

— Nie jesteście tu po to, by mnie zabić, inaczej dawno byście to zrobili. Więc? — Kowal wiedział, że musi przyznać jej rację. Opuścił więc broń.

— Widzę, że się rozumiemy. Pogadajmy szybko i konkretnie. Kim naprawdę jesteś i czym jest ta cała Pandora. Taka walka o jakąś walizę? Po co ci ona? — zapytał Morwin.

— Hmm... Tak się zastanawiam, dlaczego niby miałabym odpowiedzieć?

— Bo pytamy! — odparł rozbijając szczerze Patryk.

— Skoro mnie tak znasz, to wiesz, że potrafię być niemiły. Za chwilę mogę zapomnieć, po co tu jesteśmy i po prostu cię zabić — wysyczał wściekle Morwin do pani Kanis.

— Marku, a gdzie jest twoja córka, co? Co ty robisz tutaj z tym kryminalistą, hmm? — kontynuowała swą grę Krystyna.

— Skończ z tymi gierkami. Przestań zrzedzić i gadaj, teraz! — naciskał Marek, przystawiając jej lufę pistoletu do skroni.

— Dalej, strzelaj, a zaraz będzie tu cała brygada moich ludzi, czekających na dole — stwierdziła z wyższością Krystyna.

Morwin zrezygnowany schował broń.

— Ona nam nic nie powie... kurde. Uparte babsko — powiedział Patryk.

— Mam pomysł. Otwieramy to — odparł Marek i otworzył Pandorę. Była pełna przeróżnych plików papierów, zdjęć i teczek. Teczek SB.

— I co tam jest? — zapytał Patryk.

— To, co myślałem. Teczki SB, wszystko zgromadzone tu to oryginały. Rachunki, papiery, dowody zbrodni komunistycznych... Popatrz,

czyje tu są nazwiska? Nielegalne operacje... przekręty... Wszystko. Haki na wiele znanych osób... — tłumaczył Marek, przeglądając zawartość Pandory. — To albo nam odpowiesz na nasze pytania, albo będziemy przez następne kilkanaście minut mieli tu fajne ognisko. Pieniądze już mamy, ciebie też mamy... Co nam zależy...

— Nie bądź żaloszny. Nie zrobisz tego. Znam cię — stwierdziła Krystyna z udawanym spokojem.

Wtedy Marek chwycił jakąś teczkę i podpalił zapalniczką. Gdy tylko zajęła się ogniem, Krystyna złagodniała, a Marek zdmuchnął płomień.

— Powiem wam, powiem. Wygraliście. Co chcecie wiedzieć?

— Kim jesteś? — zapytał Morwin.

— Moim mężem, byłym mężem był... jest nieboszczyk Zenon Burczyk. Po jego śmierci wróciłam do panieńskiego nazwiska. Mam córkę, Martę Kunis... Ją już znacie...

— Zenona też miałem okazję poznać... Nie pochwalił się żoną czy córką... — przerwał Marek.

Po chwili Krystyna kontynuowała:

— Po jego śmierci wyjechałam z córką do USA, by mieć spokój. Założyłam firmę, trochę zarobiłam... Zenon też gołej mnie nie zostawił...

— Gadaj, po co ci Pandora i skąd się wzięła?

— Więc... hmm... Krzysztof Dorski, czyli Pan Dorski, który tak nazwał Pandorę. Przez wiele lat pracował w rządzie komunistycznym, właściwie był tam od początku. Jego zadaniem było gromadzenie akt i raportów z przeróżnych przekrętów ludzi rządzących w tamtych czasach w Polsce. Z czasem zakazano mu tego, ale on dalej to robił. Tylko w tajemnicy. Wszyscy myśleli, że on to niszczy, ale... Nie. Był cwańszy. Gdy odkryli to Zenon Burczyk i Edward Krzywda, to postanowili go wykorzystać. Gromadził te akta dla nich. We trójkę planowali mieć zabezpieczenie na lata po komunie. Ta upadła w roku 1989, jak wiecie. Czuli, że czas

obecnej władzy kończy się, a czas zmian przetrwają najsilniejsi. Nie chcieli zatonać razem z okrętem ustroju komunistycznego...

— Co z tym Dorskim? — zapytał Morwin, nie pamiętając już, że to on go zabił dawno temu na zlecenie Krzywdy.

— Krzysztof Dorski zniknął bez śladu. Puszka Pandory także. Zenon Burczyk przez wiele lat myślał, że to Dorski uciekł ze swoim skarbem... Dowiedziawszy się, że jest to sprawka knowań Edwarda Krzywdy, jego wieloletniego przyjaciela, wypowiada mu wojnę. Przegrywa ją, trafiając przez to za kratki. Tam zostaje zabity. Niby nie wiadomo już przez kogo... Ja jednak wiem, czyja to sprawka. Po to mi Pandora...

— Dobra... Ale po co ci to? — zapytał Morwin.

— Po co? Po prostu chciałam pomścić męża... Ale z czasem, cóż... Mam ochotę pójść w ślady męża. Może ciepła posadka w rządzie to będzie coś... Nie sądziłam, że aż tyle może mnie to kosztować.

Nagle Patryk wyciągnął broń i namierzył. Na zmianę w Krystynę i Morwina.

— Co ty wyprawiasz? — zapytał zaskoczony Marek, szeroko rozstawiając ręce.

— Zaczyna myśleć... — wtrąciła Krystyna.

— Marku, Marku... Ona ma rację. Chcesz to baw się tutaj w przesłuchanie jej. Ja nie mam zamiaru dzielić się pieniędzmi i spotykać z koleśkami, czekającymi na dole. Zresztą... zaraz tu przyjdą. Zabieram mamonę i znikam z twojego życia. Sam tego chciałeś, czyż nie? — powiedział Patryk

Marek milczał, gdyż nie mógł zaprzeczyć.

— Kolejny raz cię oszukał... Może ufasz niewłaściwym osobom? — zapytała Krystyna.

— Zawsze myślałem, że znam się na ludziach. Myliłem się?

Tymczasem Patryk wystrzelił kilkakrotnie w powietrze, krusząc nieco tynku na suficie. Następnie machnął ręką. Czuł, że czas odejść. Wiedział, że jedyna możliwość ucieczki to winda. Nacisnął przycisk i czekał na jej przyjazd... Po kilkunastu sekundach przybyła...

Tymczasem na parterze....

Jeden z ludzi Krystyny usłyszał odgłos starej windy.

— Panowie, coś jedzie z góry. Zabezpieczamy obiekt — rozkazał najwyższy z ubranych w ciemne garnitury trzech mężczyzn.

Każdy dobył broni i wycelował w miejsce, gdzie za chwilą będzie pasażer windy.

— Panowie, tak jak rozkazała Krystyna, strzelać tylko na rozkaz. W razie zagrożenia eliminować.

Winda zbliżała się. Mężczyźni nie wiedzieli, czego mają się spodziewać. Stali półkolem.

Chwila napięcia zdawała się dłużyć niemiłosiernie. Byli jednak profesjonalistami. Wiedzieli, że jeśli nie popełnią błędu, to osoba, którą za chwilę zobaczą, nie ma szans. W końcu drzwi się rozsunęły. W środku jednak było pusto. Ostrożnie sprawdzili wewnątrz. Nie było żywej duszy.

— Musiał wsiąść na wyższym piętrze! Musi iść schodami — zawołał znowu najwyższy z mężczyzn i dał znak reszcie.

Pobiegli szybko do schodów, by uciekinier nie mógł się wymknąć.

Tymczasem Patryk słyszał, że głosy ucichły. Jego dywersja powiodła się.

— Naprawdę mam dziś szczęśliwy dzień. Nie sprawdzili dachu windy — gratulował sobie.

Następnie otworzył wieko wjazdu w suficie windy i wychylił się powoli. Gdy upewnił się, że teren jest czysty, zeskoczył na dół. Wiedział, że ma tylko chwilę, nim któryś z ochroniarzy ruszy głową.

„Fuks, że głupki pobiegły po schodach” — pomyślał.

Po chwili usłyszał strzały i krzyki. Dobiegały z ostatniego piętra, gdzie znajdował się Morwin.

„Może powinienem wrócić? Pomóc mu?” — myślał.

Powstrzymał się jednak. Sam czy we dwóch, i tak nie mieliby szans z taką ilością ochroniarzy.

— Za daleko zaszedłem, by się wycofać. To moje życie i muszę zacząć znów żyć. Tutaj rozchodzą się nasze ścieżki — powiedział do siebie Patryk, jakby chciał przekonać samego siebie co do słuszności swojego postępowania.

Coś jednak zmusiło go do sięgnięcia po telefon. Zadzwoił do Morwina. Ten odebrał, ale nie odezwał się.

— Dostał! Mamy go! — tyle usłyszał Patryk tuż przed odgłosem, jaki wskazywał na roztrzaskanie się telefonu.

Nagle strzały ustały, a Patryk zdał sobie sprawę, że to nie był głos Marka. Wiedział, że nie ma odwrotu. Musi uciekać, nim ludzie Krystyny przyjdą po niego. Ile tylko sił w nogach popędził w kierunku samochodu, którym wcześniej przybył z Morwinem i jego córką. Przypomniawszy sobie, że w swoim planie nie ujął rozmowy z Olą.

„Jak mam jej to powiedzieć? Wyłaż, twojego ojca mordują na górze?” — myślał chaotycznie Patryk. Żadne słowa nie byłyby wystarczająco szczerze czy mądre.

Gdy jednak dotarł do samochodu, okazało się, że jest on pusty.

„Spryciuła. Musiała zwać. Może ułoży sobie życie bez Morwina? Tak muszę zrobić i ja” — pomyślał Kowal.

Ruszył z piskiem opon. Nie wiedział, dokąd jedzie. Ruszył przed siebie, jak najdalej od symbolu swej „ciemnej przeszłości”. Jak najdalej od Marka. Po nowe życie, by nie być więźniem zemsty. Chciał się uwolnić. Z każdym przejechanym kilometrem w jego sercu panowała coraz większa ulga.

Czuł się, jakby zrzucił ogromny ciężar z serca i duszy.

„Nadchodzi oczyszczenie... Moje katharsis...” — powtarzał w duchu Patryk Kowal.

Odcinek 40.

Kilka miesięcy po zdarzeniach w starej fabryce mebli...

MATEUSZ MAKOWSKI

Mateusz Makowski właśnie skończył egzamin. Po niemal godzinie oczekiwania zobaczył wyniki.

— Jest! Zdałem! — krzyczał, przyjmując gratulacje od kumpli.

— Mati, idziesz z nami oblać egzamin do „Parafki”? — zaproponował Tobiasz.

— Yyy... może później do was dołączę. Teraz muszę jeszcze gdzieś jechać.

— Okey, jak chcesz. Wiesz, gdzie jesteśmy. Narka! — dodał Tobiasz i ruszył wraz z innymi kolegami do małego studenckiego klubu „Parafka”.

Tymczasem Mateusz, żegnając znajomych, czuł, że o swoim sukcesie musi jak najszybciej powiedzieć swojej dziewczynie.

„Pewnie już kciuki jej odpadają od trzymania” — pomyślał, wyciągając telefon.

— Kochanie! Zdałem! Dziewięćdziesiąt procent punktów! — wykrzyczał radośnie, gdy tylko połączył się z dziewczyną.

— To wspaniale. Będziemy mieli więcej czasu dla siebie. Nie zdajesz sobie sprawy, jak się stęskniliśmy za tobą.

— A ty kochanie nie tęskniłaś? — zapytał Mateusz

— No nie wiem, zobaczysz, jak przyjedziesz do mnie — droczyła się dziewczyna, wzbudzając uśmiech na twarzy swojego chłopaka.

— Jak tam maluch? Ciągłe szaleje?

— Tak, tak. Biega tutaj koło mnie i widzę, jak się cieszy gdy mówię, że dziś będziesz z nami.

- Nie mogę się już doczekać. Mam coś dla ciebie. Niespodziankę.
- Co to? No... powiedz — prosiła zniecierpliwiona dziewczyna.
- Jak ci zdradzę co to, to nie będzie niespodzianki. Zobaczysz, to coś ma związek z tym, jak się poznaliśmy — tłumaczył zagadkowo Mateusz swojej dziewczynie.
- Nie mogę się doczekać. Tęsknię skarbie.
- Ja też, jeszcze kilka godzin i byłabyś oskarżona o zabicie mnie tęsknotą.
- Dobra, dobra, już tak nie czaruj. Pozdrowię małego od ciebie.
- Kocham cię Madziu — dodał Mateusz na pożegnanie.
- Wiem... Pa. — odparła dziewczyna i rozłączyła się.

OLA ZAMKOWSKA (MORWIN)

Brzuch Oli zdradzał już błogosławiony stan. Jego objętość znacznie wzrosła.

Po rozłączeniu kolejnej nadzorowanej rozmowy, usiadła ciężko na kanapie głęboko oddychając.

Rozejrzała się po wielkim domu, w którym się znajdowała. Zaczęła głaskać się po brzuchu. Czuła, że dziecko kopie. Wtedy dopiero Ola zauważyła przyglądającą się jej Martę Kunis. Siedząca na wózku inwalidzkim kobieta patrzyła na nią z obrzydzeniem. Podjechała blisko. Ciężarna dziewczyna przestraszyła się, jakby ktoś wyrwał ją z innego świata.

— Czego chcesz? — warknęła wrogo Ola.

— Niczego. Czekasz na chłopaka czy tatusia z tym brzuszkiem? — zapytała Marta.

— Nieważne. Na nikogo nie czekam. To nie twoja sprawa. Ciągle mnie prześladujesz i nagabujesz.

— No, chętnie bym sobie stąd poszła, ale widzisz jakoś nie mogę.

— To, że jesteś inwalidką nie upoważnia cię do tego, by ciągle być dla mnie tak wredną.

— Ty pewnie w końcu wyjdiesz z tego domu. Ja nigdy... Zresztą, to w końcu przez ciebie jestem uwięziona na tych pieprzonych kółkach. Tak wiele mi zabrałaś... — po tych słowach Marty zapadło niezręczne milczenie.

— To nie moja wina... To ty nas zaatakowałaś, nie my cię skatowaliśmy...

— Jak zwał, tak zwał... — powiedziała Marta.

— Za chwilę będzie obiad... Kazali mi przekazać, ale nie wiem, czy twoje towarzystwo nie popsuje mi apetytu — dodała wrogo, po czym złapała za koła wózka i ruszyła w stronę jadalni.

Mimo, że Marta ciągle dogryzała córce Morwina, była niemiła w każdej możliwej chwili i przy każdej okazji, to jednak wzbudzała litość. W tej swojej „skorupie kalectwa”, do którego doprowadziła ją pośrednio Ola i Mateusz Makowski. Mieszanka litości i nienawiści targała nią w stosunku do Marty, podobnie jak to miało miejsce wobec Marka Morwina, którego Ola nie widziała od dawna... bardzo dawna... Sama też nie wiedziała, czy chce go znów spotkać, jeśli kiedyś to będzie możliwe... Takie rozważanie kończyły się jednak zawsze jedną myślą:

— Jakikolwiek jest, to jednak mój ojciec. Mój ojciec kocha mnie.

PATRYK KOWAL

Patryk Kowal szczęśliwie uciekł z tamtej fabryki mebli, zostawiając Morwina samemu sobie. Jedni nazwaliby to tchórzliwą ucieczką, drudzy odważnym zostawieniem przeszłości za sobą. Jadąc tak samochodem kilka godzin, dotarł do małej miejsciny.

Tam postanowił się zatrzymać. Za pieniądze, które dostał od Krystyny Kanis kupił mały budynek. Postanowił wrócić do zawodu fizjoterapeuty. Na początku było trudno wiązać koniec z końcem, ale cieszył się w końcu normalnym życiem. Szczęście miało się do niego w końcu uśmiechnąć.

Pewnego słonecznego, leniwego dnia do jego gabinetu zajrzała młoda, atrakcyjna kobieta. Oniemiał. Próbował coś dojrzeć przez oślepiające promienie słoneczne, które wpadały tu z okna korytarza, jeśli się otworzyło drzwi.

Zazwyczaj drażniło to Patryka, ale nie tym razem. Promienie słoneczne wpadły do gabinetu wraz z przybyłą dziewczyną.

Słoneczna aureola dodawała jej magii.

„Anioł” — pomyślał Patryk.

— Czy pan jest tutaj fizjoterapeutą? — zapytała głosem, który wydał się nadzwyczaj znajomy.

Jakby go już słyszał. Nie umiałby zapomnieć tak delikatnego głosu, który swą barwą wręcz pieścił uszy.

— Tak... Jes... tem... fizioterpeutą — wydukał.

— Fizjoterapeutą? — ponowiła pytanie dziewczyna i zaśmiała się.

Jej śmiech jednak nie uraził Patryka. Nie poczuł się dotknięty tym pytaniem. Wręcz odwrotnie, gdy zobaczył jej uśmiech, zagapił się. Dziewczyna czuła się nieco zakłopotana milczeniem.

„Niemożliwe. To nie może być ona. Umarłem i anioł zabiera mnie do nieba” — myślał w duchu Patryk.

— Yyy... witam. Mam na imię Agata — przełamała lody dziewczyna, podając rękę zamyślonemu Kowalowi.

— A ja jestem zauroczony... yyy... to znaczy... Patryk — odparł.

Dziewczyna znów zachichotała.

— Czy my się już nie spotkaliśmy? — zapytała.

— Nie w tym życiu... — odparł, nie mogąc wyjść z podziwu, jak przypominała mu dawną dziewczynę.

— Chciałam zapytać o pracę. Mieszkam niedaleko. Niedawno skończyłam studia.

— Gdzie pani... yyy... gdzie studiowałaś? — zapytał.

— Wydział Wychowania Fizycznego na Politechnice Opolskiej. Fizjoterapia, rzecz jasna.

— Niemożliwe, ja też tam studiowałem. Czy profesor Grzybek wciąż kosi studentów?

— Mało powiedziane. Z wiekiem wszystko się tępi, a on nadal kosi.

— No, ciężko u niego było... Widzę, że mamy dużo wspólnego.

— Możliwe. A co z pracą, potrzebne panu moje c.v., czy wystarczy rozmowa kwalifikacyjna? — pytała dziewczyna.

— Yyy... tak... tak... oczywiście — plątał się wciąż Patryk, natarczywie wpatrując się w Agatę.

Jej twarz zapłonęła rumieńcem.

— Przepraszam, że pytam, ale tak mi się pan... yyy... przyglądasz. Rozmazałam się?

— Nie, nie. Po prostu kogoś mi bardzo przypominasz.

— Mam nadzieję, że nie profesor Dumbałę? — rzuciła dziewczyna, uśmiechając się ironicznie.

— Iii... Nie z całą pewnością nie. Co tam u niej? Nie rozleciała się jeszcze?

— Ha, ha. Nie, no trzyma się dobrze.

— Kawa? — przerwał Patryk.

— Słucham? — zapytała zaskoczona Agata.

— Yyy... to znaczy... Wybacz, jakiś leniwy dzień dziś mam. Zamotany jestem. Może pójdziemy gdzieś na kawę? To będzie znacznie ciekawsza rozmowa kwalifikacyjna — zaproponował, przygotowując się jednak na odmowę.

— Tak, bardzo chętnie. Mam jutro wolny wieczór — odparła, ku zaskoczeniu Patryka.

— To jesteśmy umówieni.

— Tak. Do widzenia — odparła i wyszła, rzucając jeszcze jeden piękny uśmiech na do widzenia.

Patryk stał tak, wpatrując się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą była Agata. Uśmiechał się przy tym głupawo, jakby dostał skurczu mięśni twarzy. Pogratulował sam sobie umówienia się na randkę z tak fajną dziewczyną.

— Eh... Agata... ale... yyy... zaraz — tutaj Patryk przebudził się nieco. — Przecież znam tylko imię. Nie mam numeru, nie mam nazwiska. Nie wiem, gdzie się umówiliśmy i o której. Czy może powiedziała, a ja byłem tak nieprzytomny, że nie usłyszałem? Kował, zakuty łbie — wyrzucił sobie Patryk i pukał się w czoło.

Nie zdjął fartucha, nie zmienił obuwia. Tak jak stał, wybiegł w pogoni za dziewczyną, zostawiając za sobą zdziwioną sekretarkę i czekających w kolejce pacjentów...

Czuł, że między nim a Agatą zaiskrzyło. Dla niego historia miała zatoczyć koło...

MAREK MORWIN

Okolo godziny 21:00

Niski, gruby mężczyzna w wieku 55 lat, ubrany w czarny, dosyć drogi garnitur szedł szybkim krokiem, raz po raz spoglądając na zegarek. Musiał się spieszyć. W lewej ręce trzymał skórzany neseser, a w prawej telefon komórkowy przyłożony do ucha. Był tak zajęty sobą i rozmową, że kilka razy obił się o przechodniów. Na szczęście dla niego wystarczyło im zdawkowe „przepraszam”, więc mógł dalej szybko zmierzać przed siebie.

— Tak, prezesie, rozumiem pańskie pretensje, ale nic nie mogę zrobić... — mówił do telefonu. Najwyraźniej prowadził na odległość ożywione negocjacje. — Przecież mówię, że nie da rady. To poza moimi kompe... Ile?! Może pan powtórzyć? — Mężczyzna widocznie był pod wrażeniem usłyszanej odpowiedzi, bo aż zamarł. — No cóż... To inna rozmowa. Za takie pieniądze nasza partia może zaryzykować więcej — odparł, a na jego twarzy zagościł chciwy uśmiech. — Musimy umówić się na spotkanie. Jestem teraz niedaleko swojego domu. Powiadomię resztę i zapraszam na jutro, na spotkanie. O której, panie prezesie, panu pasuje? — zachęcał osobę po drugiej stronie słuchawki.

Najwyraźniej był bardzo zadowolony z siebie. Gdy przechodził przez jezdnię, nagle zza horyzontu wyłonił się pędzący samochód, mający za nic ograniczenie prędkości na terenie zabudowanym. Kierowca nadjeżdżającego auta nawet nie próbował hamować. Uderzył z całym impetem w przechodnia, tak jeszcze przed momentem zajętego negocjacjami. Rozległ się potężny trzask łamanych kości. Pogruchotane, zmasakrowane ciało przeleciało kilka metrów i padło tuż za samochodem, który nagle się zatrzymał z piskiem opon tuż przed kolejnym znakiem

ograniczenia prędkości. Marek Morwin zdjął ręce z kierownicy i odetchnął głęboko. Rozejrzał się dookoła, czy są jacyś świadkowie. Nie było nikogo. Ulice pomimo niezbyt późnej pory świeciły pustkami. Jednak hałas spowodowany zderzeniem mógł zwabić gapiów. Morwin, ubrany w czarną, skórzaną kurtkę i ciemne dżinsy, podbiegł do potrąconego osobnika. Sprawdził mu puls. Nie był wyczuwalny. Mężczyzna z pewnością nie żyje.

Wrócił więc biegiem do auta, widząc, że dookoła zaczęły się zapalać światła w oknach pobliskich bloków. Szybko odpalił samochód i ruszając z głośnym piskiem opon, uciekł. Po chwili na miejscu wypadku zaczęli pojawiać się gapie.

Tymczasem Marek wyciągnął telefon i wybrał pewien numer. Przyłożył słuchawkę do ucha i czekał chwilę na połączenie, aż po drugiej stronie usłyszał głos:

— Cel numer 3 wyeliminowany. Tyle chciałem ci zgłosić. Na razie...
— powiedział krótko i zwięźle Morwin, i rozłączył się.

Odcinek 41.

Kilka miesięcy przed wydarzeniami przedstawionymi powyżej...

OPOLE — STARA OPUSZCZONA FABRYKA MEBLI

— Po co? Po prostu chciałam pomścić męża... Ale z czasem, cóż... Mam ochotę pójść w ślady męża. Może ciepła posadka w rządzie to będzie coś... Nie sądziłam, że aż tyle może mnie to kosztować.

Nagle Patryk wyciągnął broń i mierzył. Na zmianę w Krystynę i Morwina.

— Co ty wyprawiasz? — zapytał zaskoczony Marek, szeroko rozstawiając ręce.

— Zaczyna myśleć...— wtrąciła Krystyna.

— Marku, Marku... Ona ma rację. Chcesz to baw się tutaj w przesłuchanie jej. Ja nie mam zamiaru dzielić się pieniędzmi i spotykać z kolesiami czekającymi na dole. Zresztą, zaraz tu przyjdą. Zabieram mamonę i znikam z twojego życia. Sam tego chciałeś, czyż nie? — powiedział Patryk.

Marek milczał, gdyż nie mógł zaprzeczyć.

— Kolejny raz cię oszukał. Może ufasz niewłaściwym osobom? — zapytała Krystyna.

— Zawsze myślałem, że znam się na ludziach. Myliłem się?

Tymczasem Patryk wystrzelił kilkakrotnie w powietrze, krusząc nieco tynku na suficie. Machnął ręką. Czuł, że czas odejść. Wiedział, że jedyna możliwość ucieczki to winda. Nacisnął przycisk i czekał na jej przyjazd... Po kilkunastu sekundach przybyła. A Kowal zniknął w środku.

Morwin stał jak wryty, natomiast na twarzy Krystyny widniał uśmiech.

— I co teraz zrobisz Marku? Za chwilę będą tu moi ludzie — powiedziała.

— Zamknij się! — krzyknął Morwin, chcąc zebrać myśli.

Nie zdążył jednak porządnie pomyśleć, a już do pomieszczenia wbiegło trzech mężczyzn z wyciągniętą bronią. Marek szybko wyjął broń i otworzył ogień.

Oni odpowiedzieli tym samym. Krystyna przewróciła się z krzesłem, do którego była przywiązana i na tyle, na ile mogła przesunęła się pod ścianę, unikając kul.

Świstały z obu stron. Rozpętała się regularna strzelanina. Ochroniarze ostrzeliwali Morwina, próbując go oskrzydlić. Zupełnie nie zwracali uwagi na krzyki Krystyny. W końcu Marek wystrzelił ostatni nabój ze swojej broni. Nie miał już amunicji.

Telefon zaczął mu dzwonić. Spojrzał na telefon. Wyświetlił się numer Kowala.

— Dostał! Mamy go! — tyle usłyszał Patryk po drugiej stronie telefonu, gdyż Marek z wściekłością rzucił telefonem o podłogę, rozwalając go na kawałki.

Do pomieszczenia wbiegło kilku kolejnych ochroniarzy Krystyny. Morwin wstał zza kolumny i podniósł ręce do góry. Poddał się, licząc, że tylko tak zyska trochę na czasie, może wtedy uda się uciec jego córce.

Żałował, że ją tutaj sprowadził. Trzech ochroniarzy złapało Marka i przewróciło. Leżąc tak, przygnieciony do podłogi przeklinał wszystko dookoła.

Tymczasem inny ochroniarz w końcu rozwiązał Krystynę i postawił ją na nogi. Ta wściekła ledwo panowała nad sobą. Najpierw jednak uderzyła tego, który ją rozwiązał.

— I co się wściekasz paniusiu? O to ci chodzi, co? Masz mnie... Możesz mnie zabić. Mam to gdzieś — powiedział Marek i splunął ostentacyjnie.

— Lepiej się nie odzywaj. Coś ci poszło nie tak. Twój kumpel był mądrzejszy i zwiął. Ani ty nie masz kasy, ani ja. Wy, faceci macie chyba za dużo testosteronu. Wpadacie na siebie i od razu strzelacie jak dzieci — wycedziła Krystyna, pukając się w czoło.

— A co niby mieliśmy robić? Rzucać się śnieżkami? Przestań zrędzić, bo mam cię dosyć. Zakończ to — odrzekł zrezygnowany Morwin.

— Co? A czy ja wam kazałam strzelać? Po co ja mam cię zabijać? Za dużo bałaganu... — zaripostowała.

— To mnie wypuścisz? — zdziwił się Marek.

— Tak. Powiedzmy, że tak. Ale będziesz dla mnie pracował.

— Co ty bredzisz? Nie będę nic dla ciebie robił. Całkiem ci odbiło?

— Będiesz, będziesz. Jesteś dinozaurem, ale dobrym w tym co robiłeś. Jesteś do tego stworzony, a mój budżet nieco się uszczuplił przez ucieczkę twojego kumpla.

— Możesz sobie zjeść ten pomysł, bo do niczego więcej ci się nie przyda. Ja odpadam — stwierdził Morwin, ale mina mu zredła, gdy wprowadzono do pomieszczenia jego związaną i zakneblowaną córkę.

Na widok ojca Ola zaczęła się wić jak oszalała, ale była zbyt wątpa i słaba, by poradzić sobie z ochroniarzem.

— Znaleźli ją na dole, w aucie. Myślę, że to cię przekona. A tak w ogóle, to byłeś aż tak tępy, żeby ją tu sprowadzać? Nie tego się spodziewałam po wielkim Morwinie. A słyszałam o tobie legendy.

— Puść ją suko! — syknął wściekle Morwin.

Nie umiał się jednak wyrwać trzymającym go ochroniarzom.

— Uspokój się Morwin. Gdy przedstawię ci w końcu moją ofertę, możesz zmienić zdanie.

— Czego chcesz?

— Wiele lat walczyłeś po złej stronie barykady. Pomagałeś komunistom utrzymać władzę w Polsce. Wielu dzięki tobie się wzbogaciło. Co ty za to dostałeś? Nic. Wyrok w więzieniu. Ja dam ci okazję zemsty, odkupienia. Jak wiesz, czy może nie, komunę przetrwało wielu komunistów. Wzbogacili się wtedy na krzywdzie wielu Polaków. W czasach, gdy nikt ich nie pilnował. Nie upadli wraz z ustrojem komunistycznym. Wielu sfałszowało lub zniszczyło swoje teczki SB. Rządzą w kraju do dziś i niszczą go od środka. To jest prawdziwa mafia w Polsce. W rządzie są wpływowi i bogaci. To grupa trzymająca władzę. Po to mi była potrzebna Pandora. Nie tylko by ich nastraszyć, ale i po to, by się ich pozbyć. Ty jesteś do tego stworzony.

— Co ty bredzisz, kobieto?! Jestem już na emeryturze. Proszę, zostaw mnie w spokoju z córką, a ty rób co chcesz. W zamian obiecuję, że nie będę mścił się na tobie — mówił Morwin, niezbyt wierząc w pomysł Krystyny.

— Wiesz... cóż... nie chciałam tego robić, ale użyję tego... Marku, nie pozostawiasz mi wyboru — powiedziała Krystyna, a następnie zwróciła swój wzrok w kierunku córki Morwina, Oli. — Kochanie... jak widzisz twój tata jest niezbyt chętny do pomocy. Słyszałaś, czego oczekuję. Daję mu okazję do odkupienia win i przy okazji zemsty za śmierć twojej matki.

Po tych słowach Ola spojrzała w oczy ojca. Ten po chwili odwrócił wzrok i opuścił głowę. Ola zdała sobie sprawę, że to prawda, że jej mama nie żyje. Z oczu mimowolnie pociekły jej łzy.

— Tak kochanie, przykro mi, ale to właśnie oni zabili twoją matkę. Wysadzili ją wraz z waszym domem w Chorwacji. Grupa trzymająca władzę. Złe osoby z rządu, które siedzą sobie teraz wygodnie i popijają

drinki za pieniądze podatników. Pomóż mi sprowadzić na nich karzącą rękę sprawiedliwości. Twój ojciec ma być tą ręką... Co mu powiesz? Czy przekonasz go, by pomścił swą ukochaną Marię, a twoją matkę? — przemawiała patetycznie Krystyna, chcąc odwołać się do ciemnej strony duszy skrzywdzonej, młodej dziewczyny.

Widząc w oczach Oli smutek zmieniający się w nienawiść, wiedziała, że ma ją po swojej stronie. Krystyna dała więc znak jednemu ze swoich ludzi. Ten wyjął knebel z ust Oli i zaprowadził ją w objęcia ojca. Jego także puszczono. Wtulili się w siebie tak mocno, jak tylko potrafili.

— Tato, czy to prawda? Czy mama naprawdę...?

— Tak, Olu. Przykro mi. Bardzo chciałem ci to powiedzieć delikatniej. Przepraszam — szeptał Marek.

Po dłuższej chwili szlochów i lamentów tuląca się do ojca dziewczyna otarła łzy, uspokoiła się.

— Tato?

— Tak, kochanie?

— Zabij ich. Zabij wszystkich. Chcę, by cierpieli. Niech zapłacą za śmierć mamy. Chcę zemsty. Zrób to dla mnie — nieoczekiwanie poprosiła Ola.

— I co, zrobisz to? Dla swojej córki? Dla spokoju duszy swojej żony? Dla oczyszczenia sumienia? — dopytywała się Krystyna.

Morwin wahał się. Nigdy nie widział swojej córki w takim stanie. Nie poznawał jej zimnego, pełnego złości i żalu spojrzenia. Bał się, że Ola staje się taka jak on. Obawiał się, że ta chęć zemsty pożre ją tak, jak wiele lat temu pożarła i jego.

—Tato... Nigdy tak o nic cię nie prosiłam, jak teraz. Jeśli ty tego nie zrobisz, to ciężar spokoju duszy mamy spadnie na moje barki. Zabiję ich, tato, przyrzekam. Przyrzekam na Boga przyrzekam — mówiła Ola, pełna nienawiści jak nigdy przedtem.

— Tak, zrobię to... — cicho powiedział w końcu Morwin, choć wiedział, że to nie przyniesie mu ulgi.

Było mu przykro, że widzi w oczach córki to zło, które niegdyś gościło tak zażarcie w nim samym.

— Widzisz? Jednak da się z tobą robić interesy. Zabierzcie ją — rozkazała Krystyna.

— Cooo? Miałaś ją zostawić! Taka była... — krzyczał zaskoczony Marek.

— Umowa? Ja ją ustalam i ja ją najlepiej znam. A twoja córka będzie bezpieczna, otoczona opieką w specjalnym miejscu. Nie bój się. Zadbam o nią i gwarantuję, że nikt jej nie zagrozi. Zwłaszcza nikt z obecnego rządu. Ty gdzie byś ją ukrył, co? Co jej zapewnisz? Nie masz pieniędzy, nic. Widziałeś, co się stało, gdy ją tu sprowadziłeś? Grozi jej niebezpieczeństwo. Poza tym to moje zabezpieczenie na wypadek, gdybyś się rozmyślił.

— Ale... ona jest... — Marek bił się z myślami, ale wiedział, że Krystyna ma rację.

— Co ona?

— Ona jest w ciąży. Dbaj o nią — dodał, widząc jak Ola znika za horyzontem, prowadzona przez dwóch ochroniarzy.

Morwin wiedział, co teraz będzie. Chciał to zakończyć inaczej. Ale tak się nie da. Nie wygra z przeznaczeniem. Musi być źle, by stało się dobrze. Grupa trzymająca władzę w Polsce musi zostać zniszczona.

To ostatnia droga do odkupienia. Do zadośćuczynienia ojczyźnie.

Ludziom, których skrzywdził przez tak wiele lat swojego istnienia.

Cena oczyszczenia sumienia będzie, niestety, wielka.

Morwin wiedział, że na zawsze pozostanie już więźniem zemsty...

KONIEC